

# MAREK STELAR

POCZUCIE KRZYWDY JEST JAK ŁAWA  
W UŚPIONYM WULKANIE – GDY ZNAJDZIE  
UJŚCIE, TO SPALI WSZYSTKO  
NA SWOJEJ DRODZE.

## KRZYWDA

FILIA



MAREK  
STELAR

KRZYWDA

FILIA



# SPIS TREŚCI

Strona tytułowa

- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6
- 7
- 8
- 9
- 10
- 11
- 12
- 13
- 14
- 15
- 16
- 17
- 18
- 19
- 20
- 21
- 22
- 23
- 24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

OD AUTORA

Reklama 1

Reklama 2

Reklama 3

Karta redakcyjna



1946

Przyszli nocą. Ciemną, bezksiężycową i zimną.

Młody milicjant siedział przy stole w budynku posterunku i w świetle lampy naftowej odkrawał tępowym nożem kawałek kiełbasy. Prądu znowu nie było, jak zwykle o tej porze. Czapka chłopaka leżała obok, mundur miał rozpięty pod szyją, bo w pozbawionej jakichkolwiek wygod głównej izbie było dość ciepło, trzeba było tylko dokładać do kaflowego pieca, w którego wyłożonej szamotem duszy odświeżał się lekko czerstwy chleb.

– Knot trzeba przyciąć, strasznie kopci – powiedział drugi, siedzący naprzeciwko.

– To przytnij. – Ten pierwszy skwitował uwagę lekkim wzruszeniem ramion, nie przerywając krojenia kiełbasy.

Robił to niemal z namaszczeniem. Służba była długa, zapowiadała się spokojnie, choć tu nigdy nie można było mieć pewności, ale nie miał się dokąd spieszyć, a wojna nauczyła go staranności w obchodzeniu się z żywnością. Nic nie mogło się zmarnować. Drugi milicjant, nieco starszy, zdjął z lampy wąski, szklany klosz, odstawił go na bok, wziął leżące nieopodal nożyczki i zbliżył rozchylone ostrza do długiego knota. Płomień zamigotał na jego końcu i cienie na twarzach obu mężczyzn zatańczyły. Niespodziewane szczeknięcie psa za oknem sprawiło, że ręka milicjanta drgnęła, ale nie zdążył zrobić nic więcej. Nagle rozległ się potwornie głośny huk strzału, któremu towarzyszył brzęk tłuczonej szyby. Mężczyzna z nożyczkami zgiął się w pół i potracając lampę, runął z krzesła na podłogę, pociągając ją za



sobą. W momencie uderzenia o deski był już nieprzytomny i nie czuł, jak nafta oblewa jego tułów, wsiąka w mundur i natychmiast zajmuje się płomieniem.

– Karol! – W głosie jego kolegi był szok i niedowierzenie.

Zerwał się od stołu i w tym samym momencie drugi pocisk przebił jego czaszkę, natychmiast pozbawiając go życia. Sekundę później leżał obok swojego płonącego towarzysza, wpatrując się w ogień niewidzącym wzrokiem.

Kolejny głośny huk wystrzałów dobiegł od strony wejścia, kiedy kule wbiły się w drewno w pobliżu zamka i stare, drewniane drzwi wyskoczyły z ościeży wypchnięte zdecydowanym kopnięciem jednego z trzech mężczyzn. Wszyscy mieli twarze zasłonięte chustami, na głowach czapki, a w dłoniach jednakowe pistolety Parabellum. Wpadli do środka, oświetlając sobie drogę latarkami. Podeszwy zadudniły na drewnianej podłodze, potem zaszurały, kiedy napastnicy zatrzymywali się kolejno, patrząc, jak ciało milicjanta ogarniają coraz większe płomienie.

– Zgaś go, bo zaraz wszystko się spali.

Polecenie padło po niemiecku. Mężczyzna, któremu zostało wydane, zdjął wiszący na haku płaszcz i rzucił go na płonące zwłoki, przydeptując materiał do chwili, aż płomień zniknął.

– Szukajcie – warknął ten pierwszy. – Jego i reszty. Tylko ostrożnie, nie dajcie się zabić.

Chrobot klucza w zamku sprawił, że wszyscy nagle się odwrócili, uginając kolana i odruchowo pochylając głowy. Palce zacisnęły się kurczowo na kolbach pistoletów. Zza drzwi sąsiedniego pomieszczenia dobiegły ich gorączkowe szepty, a potem nieco głośniejsze: „Halo, halo”. Ten, który wydawał pozostałej dwójce polecenia, uśmiechnął się złośliwie, kabel telefoniczny na zewnątrz był przecież przecięty, o co sami wcześniej zadbali. Podeszedł powoli do drzwi z wyciągniętą przed siebie bronią, wymierzył w nie na wysokości swojej piersi i strzelił.

Kiedy echo wystrzału przebrzmiało, zza drzwi dobiegł ich zduszony jęk, a potem nadeszła odpowiedź. Cztery następujące tuż po sobie strzały nie zrobiły mężczyźnie krzywdy, bo zszedł już z ich linii. Schowany bezpiecznie za ścianą czekał, zerkając na pozostałych, skulonych przy wyjściu. I wtedy usłyszał metaliczny stuk, potem zduszone przekleństwo. Podeszedł do drzwi ponownie i zdecydowanie w nie kopnął. Stary zamek puścił, skrzydło odskoczyło i uderzyło w ścianę od wewnątrz, a zamaskowany mężczyzna wpadł do środka pomieszczenia rozświetlonego mocnym płomieniem lampy stojącej na stole pod ścianą. Jego wzrok napotkał wzrok kolejnego funkcjonariusza, który skulony próbował zrobić coś z zaciętym zamkiem pistoletu. Kiedy chłopak w mundurze zobaczył zimne oczy napastnika, zdążył tylko przełknąć ślinę, a potem poleciał do tyłu odrzucony impetem trzech pocisków, które ugodziły go w klatkę piersiową. Mężczyzna podeszedł do stołu i przyjrzał się temu drugiemu, który leżał skulony na podłodze, przyciskając łokcie do prawego boku. Czubkiem buta odsunął leżący obok pistolet na bezpieczną odległość, a potem odwrócił się. W drzwiach stali jego kompani, przyglądając się bałaganowi, jakiego narobił.

– Idź go poszukać – zwrócił się do tego po lewej, a potem przeniósł wzrok na drugiego. – A ty chodź tutaj.

Pierwszy spełnił polecenie, znikając w mroku, a drugi z lekkim wahaniem wszedł do środka. Pistolet był opuszczony, wisiał w jego dłoni jak zbędny ciężar.

– To ten wojskowy – powiedział cicho przywódca. – Chcesz to zrobić? Mówiłeś, że zalaż ci trochę za skórę?

– Tak. – Twarz rozjaśnił okrutny uśmiech, kiedy mężczyzna pochylił się nad leżącym milicjantem. – Jak tam, polska gnido? Już nie jesteś taki arogancki, co? Co teraz powiesz?

Młody chłopak zasłaniał wykrzywioną przerażeniem twarz rękami.

– Ja nic nie rozumiem po waszemu... – jęczał cicho. – Darujta, ludzie... Darujta, błagam, na Boga jedyne go was zaklinam, litości...

Trzeci mężczyzna pojawił się nagle w drzwiach izby.

– Nie ma go tu – powiedział z wyraźnym strachem w głosie.

– *Scheisse* – syknął ten, który był przywódcą. – Idziemy do niego do domu. Tylko szybko, bo jeśli usłyszał strzały, to już się pewnie ubiera... Kończ! – zwrócił się do stojącego nad swoją ofiarą kompana.

Sam wyciągnął zza pazuchy jakieś zawiniątko i w mdłym świetle latarki zamigotała mała blaszka. Zamoczył skrawek materiału we krwi trupa leżącego obok stołu i rzucił w kąt, a po chwili padł ostatni strzał, po izbie rozszedł się smród spalonego prochu i krwi, i wszyscy żywi w pośpiechu opuścili posterunek, znikając w mroku nocy. Kiedy ucichło już skrzypienie sprężyn siodełek i chrobot wyrobionych łożysk rowerowych pedałów, na miejscu na powrót zapadła niczym niezmacona cisza.



2018

– Witam pana aspiranta. – Komendant Furda siedział rozparty za biurkiem, obserwując, jak Przeworski idzie ku niemu prosto od drzwi gabinetu.

Furda miał wrażenie, że odkąd aspirant zawitał u niego w polickiej komendzie powiatowej, skąd posłał go na sam koniec świata, gdzie psy dupami szczekają, Przeworski nieco zmężniał. Praca na stanowisku, którego nie chciał z własnej woli objąć zaden z policjantów, może niekoniecznie zrobiła z niego mężczyznę, bo w końcu jego wcześniejsza służba w sekcji kryminalnej szczecińskiej komendy miejskiej o czymś świadczyła, ale niewątpliwie aspirant okrzepł nieco i zdecydowanie stał się pewniejszy siebie. Przynajmniej w kontaktach z przełożonym. Prawda była taka, że aspirant Przeworski nie miał problemów z powiedzeniem mu różnych rzeczy prosto w oczy.

– Dzień dobry. – Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć, do czego Furda zdążył się już przyzwyczać. – Pan komendant chciał mnie widzieć.

– Owszem. Mam tu pismo dla pana. – Podał mu z rozbawieniem papier.

Przeworski wyciągnął rękę i z lekkim wahaniem wyjął go komendantowi z dłoni.

– Znowu bez nadawcy? – zapytał, nawiązując do anonimu z paszkwilem, który wysłał pewien człowiek kilka miesięcy temu.

– Nie, nadawcę pan zna i chyba nawet pan się ucieszy, że do pana napisał.

Przeworski zaczął czytać i w miarę jak docierała do niego treść pisma od komendanta miejskiego policji w Szczecinie, jego mina się wydłużała.

– Pan sobie usiądzie, panie aspirancie. – Furda wskazał krzesło, ale Przeworski na niego spojrział takim wzrokiem, jakby był zupełnie gdzie indziej, i wrócił do czytania, nie zmieniając pozycji.

Kiedy skończył, opuścił rękę i stał niezdecydowanie, patrząc w okno, za którym właśnie zaczynało się lato.

– Pokuta zakończona, co? I nawet długo nie trwała. – Komendant się roześmiał. – Tak między nami: ja wiem, co pan zmalował i czemu pan tu trafił. Nie jest to faktycznie powód do chwały, ale podzielam opinię pańskiego bezpośredniego przełożonego, że da się zrozumieć powody takiego postępowania. Co nie oznacza, że to pochwalam. No, ale to nieważne, wraca pan do siebie. Wakacje się skończyły, a w kryminalnym pewnie huk roboty. – Furda wstał. – Jeszcze to do pana nie dociera, widzę. Nie sądziłem, że będzie pan skakał pod sufit z radości, ale szczerze mówiąc, jestem lekko zaskoczony, bo wygląda pan, jakby co najmniej panu pies zdechł.

– Panie komendancie... – Przeworski zagryzł usta i na chwilę uciekł spojrzeniem gdzieś w bok. – Ja... Zamierzam złożyć wniosek o przeniesienie mnie do powiatowej na stałe.

– Co? – Furda nie był świadomy, że ma wciąż otwarte usta.

– Jeśli dostanę zgodę, będę wnioskował również, już u pana, o pozostawienie mnie na dotychczasowym stanowisku dzielnicowego rejonu numer dziewięć.

– Eee... Dobrze się pan czuje?

Przeworski wyprostował się, spojrział Furdzie prosto w oczy i uśmiechnął się lekko. To rzadko mu się zdarzało w tym gabinecie. A w zasadzie, o ile Furda pamiętał, nie zdarzyło się nigdy.

– Tak, dziękuję – odparł. – Czuję się świetnie, chyba nigdy nie czułem się lepiej.

– To o co chodzi?

Aspirant położył list na biurku i przesunął go w kierunku komendanta.

– O nic, panie komendancie. – Wzruszył ramionami, prostując się. – Ja po prostu bardzo chcę zostać w Nowym Warpnie...





– Dawno się nie widzieliśmy, co? – Natalia nie patrzyła Przeworskiemu w twarz.

Było sobotnie popołudnie. Siedzieli przy zewnętrznym stoliku przed „Szczupakiem” nad szklankami z piwem; to, które stało przed Natalią, było lekko zabarwione na czerwono sokiem malinowym. Przeworski wystawiał twarz do słońca, było ciepło, wręcz upalnie, czerwiec przypominał środek lipca i wszyscy mieli nadzieję, że pogoda nie wyprztyka się przed wakacjami i słońca starczy na kolejne dwa miesiące.

Jeziro skrzyło się w jego promieniach, blady błękit nieba był jak sprany światłem. Na plaży było sporo ludzi, nieliczni pluskali się w płytkiej, zielonkawej wodzie, a inni zerkali nieufnie w niebo, bo aplikacje pogodowe ich telefonów wieszczły ponuro wieczorne ulewy, choć na razie nic na to nie wskazywało. Trzciny, które do tej pory jawiły się aspirantowi jako sztywne, sterczące z wody kije w kolorze ochry, klekoczące sucho na wietrze, zmieniły się w zielone chaszczki i dopiero teraz dźwięk, jaki wydawały przy nawet lekkim wietrze, można było nazwać szumem.

Przed barem „U Magdy”, który z racji braku miejsc Przeworski zdradził ze „Szczupakiem”, kręciło się mnóstwo rowerzystów i motocyklistów. W „Szczupaku” było ich z nieznanym jeszcze Przeworskiemu powodów dużo mniej, ale niemal wszyscy stukali o bruk twardymi podeszwami butów SPD. Było dość głośno i to nawet nie jak na standardy Nowego Warpna, tylko po prostu głośno i gwaro.

Przeworski upił łyk piwa i zapatrzył się w twarz Natalii, bawiącej się słomką zanurzoną w piwie. Faktycznie dawno się nie

widzieli. Od śmierci jej byłego chłopaka spotkali się może dwa razy i to przypadkiem, na ulicy. Prawie wtedy nie rozmawiali, nie o sobie, opowiedzieli tylko jedno drugiemu, co słyhać, i tyle, zupełnie tak samo jak przed chwilą. Kilka razy był u niej w Podgrodziu, gdzie pracowała jako kierownik domu opieki dla osób starszych, ale udawał, że jest tam służbowo i tylko zaszedł na chwilę. Aspirant szanował jej wybór, choć nie było mu łatwo, ale czekał. Wciąż nie potrafił powiedzieć, czy to, co jest między nimi, można nazwać związkiem. Wyznali sobie miłość w dość dramatycznych okolicznościach, byli ze sobą w łóżku tylko raz, ale był pewien tego, że wciąż bardzo ją kocha. I wiedział, że ona jego też. Z dużym prawdopodobieństwem w tej dziurze na końcu świata, którą przestał tak nazywać już jakiś czas temu, znalazł miłość swojego życia. Tylko że od tamtej pory minęły prawie dwa miesiące. Kawał czasu spędzony właściwie w samotności. Co więc było nie tak? Poczucie winy? Strach przed porażką? Nadeszła wreszcie pora, żeby się tego dowiedzieć.

– Mogę cię o coś zapytać? – zaczął, trochę niepewnie.

– O co? – Uśmiechnęła się.

– A mogę? – droczył się, choć pytanie, jakie zamierzał zadać, było bardzo poważne.

– Możesz – stwierdziła, a jej uśmiech przygasł, kiedy po wyrazie twarzy Przeworskiego zorientowała się, że na razie koniec z rozmową o pierdołach.

– Będziemy rozmawiać szczerze? – upewnił się.

– Będziemy – przytaknęła.

– Czy ty masz depresję?

Patrzyła na niego dłuższą chwilę.

– Późno – oznajmiła w końcu. – Trochę ci zajęło, zanim zapytałeś.

– Możliwe. – Aspirant spojrział w kierunku jeziora. – Ale wcześniej nie odbiegałaś zachowaniem od ogólnych standardów. Widziałem, że jesteś bardzo wrażliwa, po śmierci Remusa twoja

reakcja też wydała mi się na miejscu, choć nie zdawałem sobie sprawy, że to będzie tyle trwać. Dlatego pytam dopiero teraz. Przepraszam, jeśli cię zawiodłem, ale uznałem, że jeśli naprawdę będziesz mnie potrzebować, to mi to powiesz. A jeśli nie, to nie będę się narzucał...

– Nie – powiedziała cicho, tak cicho, że prawie jej nie słyszał. – To nie jest depresja. Mam chorobę afektywną dwubiegunową. Leczę się. Pracuję nad sobą. Jeżdżę na terapię. Biorę leki normotymiczne, które stabilizują nastrój. Powoli z tego wychodzę, choć może sobie to tylko wmawiam, bo ChAD jest nieuleczalna. Nie da się do końca z tego wyjść, ale myślę, że jest dużo lepiej i jeśli... Jeśli będziesz chciał być w tym ze mną, chętnie przyjmę twoją pomoc.

Wciąż wbijała wzrok w szklankę. Opuszką palca wskazującego śledziła odrywające się od dna bąbelki gazu, zostawiając na szkle mokry ślad. Przeworski poprawił się na krześle.

– Popatrz na mnie – poprosił.

Zrobiła to. Jej jasne oczy były wypełnione smutkiem. Uśmiechnęła się, choć widać było, że robi to trochę z przymusem.

– Powiedziałem ci w szpitalu, co do ciebie czuję. Nic się nie zmieniło, Natalia. Ten czas bez ciebie tylko mnie w tym upewnił. Więc tak, będę w tym z tobą. Będę z tobą.

Wyciągnęła rękę i pochyliła się w jego stronę. Przeworski poczuł na swojej dłoni jej zimny palec, który przesunął się w kierunku nadgarstka. Wysunął ją spod niego i przykrył nią dłoń Natalii, lekko zaciskając na niej swoje palce. Przyszło mu to naturalnie, jakby robił to już setki razy. Nie wyciągając swojej ręki z jego uścisku, wstała, obeszła stół i usiadła na krześle obok niego. Oparła głowę na jego ramieniu i przez dłuższą chwilę nic nie mówili, splatając tylko palce.

– Pamiętasz, mówiłam ci przez telefon, że matka Remka wyzwała mnie na ulicy od kurew – powiedziała nagle.

– Tak – mruknął Przeworski. – Pamiętam.

– Przeprosiła mnie niedawno.

– Naprawdę? – Zmarszczył brwi.

– Tak. Przyszła kilka dni temu do mnie do domu, poprosiła mamę, żeby mnie zawołała, bo nie chciała wchodzić. Nie chciałam na początku, ale... Może miałam lepszy dzień i coś mnie naszło, żeby chwycić byka za rogi.

– I co?

– I wyszłam do niej. – Natalia wzruszyła ramionami, a jej włosy załaskotały Przeworskiego w szyję. – Pani Remus była moją nauczycielką w pierwszych klasach podstawówki, wiesz? Nie wspominam jej mile. Chyba nikt jej dobrze nie wspomina. Ale wtedy, te kilka dni temu... To była inna kobieta. Nie patrzyła mi w oczy, ale jej ton świadczył, że nie robi tego z jakiegoś przymusu i że jest jej autentycznie przykro. Przez chwilę... Przez chwilę miałam ochotę ją nawet przytulić, tak żałośnie wyglądała.

– Co ją naszło?

– Może po prostu przemyślała sprawę? Niewielu ludzi na to stać, wiesz, Dominik? Niewielu ma na tyle wgląd w siebie, żeby przyznać się do błędu przed kimś innym, a przed sobą to już w ogóle. Powiedziałam, że ją rozumiem, rozumiem ból matki po stracie syna i przeprosiłam, że to się tak skończyło. Mój związek z Remkiem. Pokiwała głową i powiedziała, że czasem lepiej w porę sobie pewne rzeczy odpuścić.

– Jakie?

– Nie dopytywałam, co ma na myśli. Ale pewnie chodziło jej o nas. – Zerknęła na Przeworskiego szybko. – Mnie i Remka.

– I co dalej?

– Nic. Poszła sobie. I... To dlatego chciałam się z tobą spotkać, wiesz? Na zewnątrz, wśród ludzi. Nastroiła mnie pozytywnie. Wylazłam wreszcie ze skorupy, może wreszcie przepracowałam Remka i wiem już, że nic nie dało się zrobić i że to nie moja wina.

– Zgadza się. To nie twoja wina.

– Zamiast zamartwiać się, że cię prawie zabił, zaczęłam się cieszyć, że cię nie zabił, rozumiesz? – Spojrzała na niego badawczo.

– Rozumiem. – Pokiwał poważnie głową. – Zasadnicza różnica w podejściu.

– Otóż to...

Przerwał im nagle ryk przegazowanego silnika motocyklowego, który dobiegał zza budynku. Natalia skrzywiła się, kilka osób z niechęcią odwróciło głowy w tamtą stronę, mimo że ze swoich miejsc nie mogli nic zobaczyć. Przeworski pokręcił głową. Odkąd zrobiło się ciepło i słonecznie, miał już kilkanaście skarg na motocyklistów, którzy rozpędzali się na głównej drodze kończącej się dość nagle strefą zamieszkania i rynkiem otoczonym siatką wąskich uliczek. Niewiele mógł z tym zrobić, o ile akurat nie jechał ulicą Kościuszki czy Wojska Polskiego albo wijącymi się wśród lasów drogami na Dobieszczyń czy Trzebież, które upodobali sobie fani dwóch kółek. W takich sytuacjach po prostu zatrzymywał motocyklistę i rozmawiał z nim, nie wykorzystując nawet części posiadanych uprawnień do karania przewinień. Będąc chłopakiem, jeździł trochę na ścigaczu o mniejszej pojemności, choć nigdy nie przekraczał pewnych granic jako człowiek z zasady rozważny i świadomy istnienia rzeczy, na które nie ma wpływu jako kierowca, wciąż jednak rozumiał to coś, co sprawiało, że z jazdy na jednoślądzie ze sporą jednostką mocy pod sobą miało się fantastyczne wrażenia.

Nie rozumiał jednak tego, co zrobiło właśnie dwóch motocyklistów, i wyglądało na to, że nie jest jedyny. Nagle wyłonili się zza budynku, powoli wjechali na promenadę i zatrzymali się przed schodkami prowadzącymi na miejską plażę. Silniki „ścigaczy” dudniły na wolnych obrotach, ludzie oglądali się zdumieni i komentowali cicho między sobą.

Przeworski westchnął i wzniósł oczy ku błękitnemu niebu.

– Przepraszam na chwilę. – Odsunął się od stolika i wstał.

- Praca wzywa? – Natalia obejrzała się.
- Dziś mam wolne. Więc to nie praca, tylko... No, wiesz.
- Wiem, szeryfie. – Uśmiechnęła się i tym razem jej uśmiech nie był tylko grymasem, co Przeworskiego bardzo ucieszyło.

Podszedł do motocyklistów, którzy stali okrakiem na maszynach, silniki wciąż chodziły na wolnych obrotach, bo żadnemu z nich nie wpadło do głowy, żeby je wyłączyć. Wyglądało na to, że po prostu wjechali sobie najdalej, jak się dało, przynajmniej teoretycznie, bo wjazdu kilkanaście metrów wcześniej zakazywał znak i broniły słupki. Może chcieli mieć lepszy widok na jezioro, może pragnęli pochwalić się maszynami, a może po prostu byli idiotami, i Przeworski zamierzał się zaraz tego dowiedzieć.

– Jakiś problem? – zapytał ten w czerwonym kasku, kiedy się przed nim zatrzymał.

Miał go teraz pod pachą, a jasne, pozlepiane potem włosy falowały na wietrze.

– Owszem. – Przeworski czuł na sobie spojrzenia gości obu restauracji, słyszał też, że gwar wyraźnie ścichł.

Nie do końca to przewidział i czuł się teraz trochę głupio, ale nie zamierzał rezygnować. Młody mężczyzna położył kask na baku i spojrzał na niego kpiąco.

– Wracaj do swojej pani, bo ci ucieknie. – Wskazał na Natalię.

Przeworski sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyciągnął odznakę.

– Aspirant Przeworski, komenda powiatowa policji w Policach. Wyłącz silnik – powiedział spokojnie jednym tchem i nie spuszczać go z oczu, rzucił do jego kolegi. – Ty też.

Kolega sięgnął do stacyjki i zrobił to, o co poprosił Przeworski, jednak blondyn założył ramiona, wyprostował się i patrzył na aspiranta. Silnik wciąż chodził na jałowym biegu.

– Tu jest zakaz wjazdu, panie kierowco – powiedział Przeworski.

– Nie zauważyłem.

- Widzę. Ta przegazówka sprzed chwili, to twoje dzieło?
- Bo co?
- Siwy... – Drugi z motocyklistów widział już chyba, co się święci, i starał się odwieść kolegę od dyskusji, ale bezskutecznie.
- Chyba od niedawna jeździsz – rzucił Przeworski.
- Bo co?
- Bo pyskujesz przy kontroli.
- To to jest kontrola? Panie władzo, pan mi wlepi mandat, i już. Stać mnie.

Przeworski wpatrywał się w bezczelnego typa, który nic sobie z tego nie robił. Był cholernie pewny siebie, arogancki i po prostu Przeworskiego wkurwiał.

- Koledzy ci nie mówili, żeby uważać z głośnym wydechem? – Mimo to pozostał opanowany, a jego głos nie zmienił intonacji.
- Jest w normie. Poniżej dziewięćdziesięciu sześciu decybeli.
- A ja ci mówię, że nie jest w normie.
- Słowo przeciwko słowu.
- Racja. Więc chyba trzeba będzie skontrolować.
- Na ucho? – parsknął chłopak. – Czy na telefon komórkowy?

Przeworski wiedział, że wojna między motocyklistami a funkcjonariuszami drogówki trwa od dawna, bo przepisy, jak to często bywa, są nieprecyzyjne, a poza tym i jedni, i drudzy są tylko ludźmi, ze wszystkimi tego konsekwencjami.

- Wyłącz ten silnik i posłuchaj, co mam do powiedzenia. Daję ci szansę, chłopie, więc skorzystaj z niej.

Motocyklista spojrział na kolegę i miało to chyba być porozumiewawcze spojrzenie. Ale zrobił w końcu to, o co został ładnie poproszony.

- Obaj wiemy, że to nie jest dziewięćdziesiąt sześć. Poza tym jest weekend, pewnie wieczorem masz imprezę, ale my możemy się tak bawić jeszcze ze dwie godziny. A niedługo ma zacząć lać, ty jesteś ze Szczecina, więc zanim tam dojedziesz, jak już skończymy, to zmokniesz do gaci. Ponieważ nie mam przy sobie

bloczka mandatowego, zadzwonię do Polic, żeby mi go tu przywieźli, a dziś sobota, ludzi nie ma, więc to może potrwać. Mogę zadzwonić też po ekipę z mikrofonem, która przeprowadzi kontrolę zgodnie z przepisami rozporządzenia, jeśli się tak upierasz, ale przecież jest sobota, więc patrz wyżej. Mogę też stwierdzić usterkę niebezpieczną w stopniu uniemożliwiającym używanie pojazdu w ruchu drogowym i zadzwonić po lawetę, a ty wrócisz do domu z kolegą, jeśli zechce na ciebie zaczekać, ze skierowaniem na powtórne badanie techniczne. I będzie cię to wszystko kosztować dużo więcej, niż zakładałeś, wyjeżdżając z domu. Takie są opcje. A najdziwniejsze jest dla mnie to, że o tym wszystkim dobrze wiesz, ale mimo to pajacujesz. – Przeworski patrzył na chłopaka z autentycznym zdziwieniem. – Więc jeśli jeszcze raz zobaczę, że wjeżdżasz za znak, albo ktoś mi to zgłosi, popłyniesz na kasie. Będziesz płacił za mandat, lawetę, badanie techniczne, skoro cię stać. I jeszcze jedna kwestia: skoro nie zauważyłeś ocojebnego znaku zakazu wjazdu metr od siebie, może należałoby sprawdzić twoje kwalifikacje do prowadzenia motocykla i skierować cię na powtórny egzamin? Co ty na to?

Chłopak milczał. Widać było, że jest wkurzony, ale opanował się jakoś, najprawdopodobniej Przeworski przemówił mu jednak do rozumu i argumenty wreszcie do niego trafiły.

Aspirant nie musiał mówić niczego więcej. Patrzył tylko, jak obaj motocykliści wyjeżdżają z deptaka, powoli przejeżdżają między budynkami „U Magdy” i „Szczupaka”, a potem znikają za budynkiem biblioteki. Chwilę później dobiegł go ryk silnika i Przeworski prawie się uśmiechnął, bo wiedział, że gnojek sobie tego nie odmówi. Wrócił do stolika i usiadł. Piwo smakowało wybornie. Natalia popatrzyła na niego znad swojej szklanki, która była już prawie pusta.

– No co miałem zrobić? Udawać, że nic się nie dzieje?

– Przecież nic nie mówię. – Odsunęła szklankę, zerkając na niego z rozbawieniem.



– Ale patrzysz.

– Mój bohaterze. – Parsknęła śmiechem.

Przeworski dopił piwo, poszedł zapłacić rachunek, a potem ruszyli na Kilińskiego, do jego lokum na poddaszu.

Nie wyszli z łóżka do rana, nie licząc małej przerwy na kolację.



– Dzień dobry...

Głos kobiety dobiegający z głośnika nie był Przeworskiemu znany. Siedział przy biurku w rewirze i nadrabiał zaległą papierkową robotę.

– W jakiej sprawie? – zapytał.

– Chciałam z panem porozmawiać.

Aspirant wcisnął przycisk otwierający drzwi zewnętrzne i zaczął zbierać papiery z biurka. Kiedy kobieta stanęła w drzwiach, uniósł wzrok i zdziwił się. Teraz wiedział, z kim ma do czynienia, choć nigdy wcześniej nie rozmawiali. Nawet po śmierci jej syna.

Regina Remus przypominała Przeworskiemu emerytowaną, apodyktyczną nauczycielkę, której mimo upływu lat nie przeszedł zapał do pomiatania uczniami. Inna sprawa, że faktycznie była emerytowaną nauczycielką. Miała wąskie, zacięte usta, prosty, spiczasto zakończony nos, siwe, przypominające konopne sznurki włosy upięte w luźny, niedbały kok wiszący z tyłu głowy jak torbiel, a z przodu coś w rodzaju rzadkiej grzywki. Zgarbione plecy prostowała co chwila z wyraźnym wysiłkiem, jak gdyby nie chciała pokazać, że coś jest w stanie ją złamać. Aspirant nie potrafił wyobrazić sobie, jak ta kobieta wygląda, kiedy się uśmiecha.

– Słucham panią. – Chrząknął, starając się nie dać po sobie poznać, jakie myśli przechodzą mu przez głowę na jej widok.

– Chciałam przeprosić...

– Mnie? – zdziwił się.

– Tak. W imieniu syna. Czy może raczej za syna, nie wiem, jak to wyrazić.

Przeworski przełknął ślinę.

– To... – Nie wiedział, co powiedzieć, więc wstał i wyszedł do niej zza biurka.

Remigiusz Remus, były chłopak Natalii, załamany po rozstaniu z nią dwa miesiące temu zaatakował go w nocy nożem, powodując masywny krwotok. Przeworski dosłownie uciekł śmierci spod kosy. Remusa znaleziono kilkanaście dni później w pokoju jednego z łódzkich hoteli, gdzie ukrywał się przed policją. Martwego. Popełnił samobójstwo i zapewne głównie z tego powodu Natalia na jakiś czas praktycznie zerwała z Przeworskim kontakt. Ale ponieważ ostatnio wyjaśnili sobie wszystko, aspirant nie pozwalał, żeby myśli o Remusie dłużej go zaprzątały, a przynajmniej nie na tyle, by mógł uważać to za jakiś problem. Nie zjawiał się też na jego pogrzebie na tutejszym cmentarzu, uznając, że byłoby to w jakiś sposób niestosowne i chyba niepotrzebne.

– Naprawdę nie trzeba... – bąknął, bo wstanie i zrobienie tych kilku kroków niewiele pomogło: dalej nie wiedział, co powiedzieć.

Remus rozejrzała się po pomieszczeniu, a właściwie zlustrowała je, jak gdyby przyszła na kontrolę. Przeworski przystanął.

– Może pani usiądzie – zaproponował.

Pokręciła przecząco głową.

– Ja tylko na chwilę, nie zajmę panu dużo czasu. Może pan uważa, że nie trzeba przeproszać, ale jestem innego zdania. Dlatego przyszłam i proszę mi pozwolić powiedzieć to, co chcę.

– Oczywiście. – Przeworski spuścił głowę.

Remusowa trochę go onieśmielała. Wszystkim. Wzrokiem, tonem, mową ciała. Stała na środku pomieszczenia, tym razem przyglądając się Przeworskiemu, i aspirant poczuł się jak wywołany do odpowiedzi. Czekał. Stał i czekał, co powie.

– Nie zostało mi już nic w życiu – zaczęła powoli, z namysłem. – Kompletnie nic. Mój syn, moja jedyna ostoja, nie żyje. To nie pana wina. Ani jej. To niczyja wina. Przykro mi, że mój syn pana

napadł. Że pana skrzywdził. On też uważał, że został skrzywdzony. Ja też tak uważałam, ale od jakiegoś czasu myślę, że ta dziewczyna dobrze zrobiła, zostawiając go teraz, a nie za kilka lat. Za kilka lat byłoby gorzej, dla niej, bo dla niego nie mogło być już gorzej. Ale takie jest życie. Niektórzy mają w nim dobrze, inni źle. Znam ten gorzki smak, panie dzielnicowy. Smak samotności. Potrafi zatruć. Remigiusz nie był złym człowiekiem, tylko zagubionym. Nie chciał dużo od życia, tylko świętego spokoju. Dla niej to widać było za mało. Co zrobić? Nie nam to oceniać, wszystko rozstrzygnie się przed Jego obliczem. – Spojrzała na sufit, a wzrok Przeworskiego odruchowo powędrował w to samo miejsce.

Aspirant przysiadł na skraju biurka i założył ramiona na piersi. Remusowa powiedziała to wszystko krótkimi zdaniami, które nie wiedzieć czemu skojarzyły się Przeworskiemu ze szczekaniem psa. Zwrócił uwagę, że powiedziała o synu „Remigiusz”, a nie Remek, Remik czy jeszcze inaczej, ale zdrobniale. Czy to mogło świadczyć o chłodnym stosunku do syna? Obejrzał się, szukając natchnienia w słojach na blacie biurka, ale ponieważ mimo to ono nie nadeszło, postanowił, że nie będzie się silił na tłumaczenia czy słowa pociechy. Nie taka była chyba jednak jego rola i nie po to też Remusowa do niego przyszła. Bądź co bądź, jej syn próbował go zabić i ona to również wiedziała.

– Stało się, czasu nie cofniemy – powiedział po prostu. – Przykro mi z powodu pani straty. Nie wiem, co jeszcze mógłbym dodać.

Remusowa powoli pokiwała siwą głową i Przeworski nie wiedział, czy zgadza się z nim, czy to wyraz dezaprobaty z powodu jego braku empatii. Ale nie zamierzał o to pytać. Znowu w milczeniu czekał, aż ona się odezwie, a atmosfera była co najmniej dziwna. Kobieta sięgnęła do wiszącej jej na ramieniu torebki, otworzyła ją i poszperała chwilę w środku, a potem wyciągnęła paczkę chusteczek higienicznych. Powolnymi, starannymi ruchami wyciągnęła jedną i wytarła oczy.

– Ludzie bywają okrutni, wie pan? – rzekła nagle, chowając pomietą, białą kulkę do torebki.

– Owszem, wiem – odparł poważnie.

– Nie trzeba bać się duchów ani upiorów, tylko właśnie ludzi – stwierdziła, patrząc mu w oczy. – A najbardziej tych, których ścigają duchy. I upiory. Upiory przeszłości.

Zmarszczył brwi.

– Pani się kogoś boi? – zapytał.

Wzruszyła ramionami.

– Tylko Boga. Choć tak jak wspomniałam, niektórych ludzi też trzeba się bać.

– Których? Ma pani na myśli kogoś konkretnego?

Ponowne wzruszenie ramion jeszcze bardziej zdziwiło aspiranta, choć przed chwilą liczył na to, że Remus rozwinie swoją wypowiedź. Przeliczył się, nic takiego nie nastąpiło w ciągu następnej minuty. Nie zamierzał jej dalej wypytywać, to w końcu nie było przesłuchanie. Kiedy jednak rzuciła nagle ciche „do widzenia” i ruszyła w stronę drzwi, zdziwienie Przeworskiego sięgnęło zenitu. Odnosił wrażenie, że Remusowa sama nie do końca wiedziała, po co tu właściwie przyszła. Wszystko mogło skończyć się na monologu o życiu i synu, i to by jeszcze zrozumiał, ale się nie skończyło. W tym, co powiedziała, a w zasadzie w tym, czego nie powiedziała, było coś zagadkowego, jednak koniec końców Przeworski uznał, że wiek ma swoje prawa i nie zawsze trzeba się zastanawiać nad wszystkim, co się od starszych ludzi usłyszy. Wyjaśnienie całej sytuacji mogło być banalne, choć niezbyt optymistyczne: starsza pani po prostu zdziwaczała, a tragedia, którą ostatnio przeżyła, tylko ten proces pogłębiła. Przeworski popatrzył jeszcze na drzwi, za którymi zniknęła, a potem wrócił do swojej roboty.

Kiedy Regina Remus zginęła kilka dni później, jej słowa, a przede wszystkim dziwne zachowanie, nagle nabrały dla aspiranta nowego znaczenia.



Gdy Przeworski zjawił się na miejscu, oprócz ekipy techników kryminalistycznych w domu Reginy Remus był już prokurator Cehak ze szczecińskiej rejonówki, której podlegało Nowe Warpno, oraz koledzy Przeworskiego z powiatowej komendy policji w Policach.

Okazało się, że aspirant przybył ostatni, poinformowany o zbrodni przez mieszkańca, który był wyraźnie zdziwiony faktem, że dzielnicowy nie wie takich rzeczy. Kiedy dotarł na Jeziorną, niewielka, wąska uliczka w pobliżu domu Remusowej zastawiona była autami. Sąsiadka, która znalazła ciało, zadzwoniła pod sto dwanaście, operator zawiadomił dyżurnego w Policach, na miejscu pojawiła się najpierw ekipa z powiatowej razem z karetką pogotowia, która przydała się wyłącznie lekko spanikowanej sąsiadce. Lekarz stwierdził zgon. Potem dojechał Cehak i technicy oraz karawan. Pracownicy zakładu pogrzebowego stali teraz przy swoim samochodzie i oglądając starocie wystawione na minitargu w ogródku nieopodal domu Reginy Remus, czekali, aż zakończą się czynności na miejscu zbrodni. To na nich pierwszych natknął się Przeworski.

– Czemu nikt mi nie dał znać? – zapytał lekko zdenerwowany jednego ze swoich, kiedy wszedł do domu Remusowej.

Rzadko mu się zdarzało denerwować, nigdy nie okazywał też po sobie emocji, ale teraz czuł, że zaraz zaleje go krew. Ktoś tu trochę przegiął.

– A po co? – Krzemiński, kryminalny z Polic, był autentycznie zdziwiony.

– Bo to mój teren?



– Jesteś tylko dzielnicowym, nie? To o co ci chodzi?

Przeworski patrzył na Krzemińskiego zimno, zastanawiając się, czy facet autentycznie nie widzi problemu, czy sobie jawnie pogrywa, ale nie zamierzał teraz tego rozstrzygać. Nie teraz i nie tutaj. Ale nie było chyba też sensu w ogóle tego robić.

Odwrócił się i podszedł do Cehaka, który stał w drzwiach i zaglądał do pokoju, gdzie jeden technik krzątał się koło ofiary, a drugi zdejmował odciski palców ze stołu. Zajrzał prokuratorowi przez ramię i zobaczył ciało.

Regina Remus leżała skulona na podłodze, tyłem do drzwi, z jedną ręką wyciągniętą przed siebie. Było bardzo ciepło, ale ona miała na sobie włóczkowy sweter i długą, grubą spódnicę, która podwinęła się lekko, ukazując stopy i wełniane skarpety. Aspirant nie widział twarzy ofiary, głowa też była ukryta za wysoko uniesionym ramieniem i ta pozycja wydała się Przeworskiemu nieco nienaturalna, jakby kobieta leżała na czymś, co nie pozwalało ciału ułożyć się płasko. A pod nim była ogromna plama krwi.

– Najlepsze jest tam, za nią – mruknął Cehak, wyciągnął szyję i zapytał głośniej technika: – Możemy wejść?

– Tak, tylko ostrożnie. Zebraliśmy, co się dało, ale postarajcie się nie dołożyć swoich śladów.

Przeworski obejrzał się: Krzemiński gdzieś zniknął, więc wszedł za prokuratorem do pokoju. Teraz zobaczył, że Remus zdołała jeszcze przed śmiercią odwrócić głowę w stronę napisu, wykonanego krwią na deskach podłogi. O tym chyba mówił Cehak. Czerwona plama dotarła prawie do dużych, wręcz wykaligrafowanych liter, które układały się w dwa wyrazy.

GEORG KUSTLER

– Wstrząsające, co? – Cehak potarł czubek nosa. – Słyszałem kiedyś o takim przypadku, chyba z Francji, że ofiara narysowała krwią portret swojego zabójcy. Jakiś charakterystyczny typ, ponoć

nie mieli wątpliwości. Wyobrażasz sobie? – Odwrócił się do technika. – Napis na osobnym ujęciu zrobiony?

Technik pokiwał głową i zapytał:

– Obracamy ją?

– Tak. – Cehak cofnął się, lekko odsuwając aspiranta.

Wycofali się kawałek, a technicy z niejakim trudem odwrócili zwłoki i stało się jasne, co niemal na pewno spowodowało zgon Reginy Remus. Wyjaśniła się również nienaturalna pozycja zwłok. Z klatki piersiowej kobiety, pomiędzy fałdów zakrwawionego swetra sterczał trzonek noża. Był plastikowy i masywny, co mogło świadczyć o tym, że to nóż kuchenny. Cała czwórka przyglądała się temu, kiedy nagle dobiegł ich czyjś głos.

– A pan dzielnicowy będzie się tak tu kręcił? – zapytał Krzemiński, stojąc oparty o framugę z rękami założonymi na piersi.

Przeworski znów prawie stracił nad sobą panowanie. Przez chwilę myślał, że udzieli Krzemińskiemu jasnej i wyczerpującej odpowiedzi z półobrotu, ale się powstrzymał, choć niewiele brakowało. Znał swoje miejsce, co nie oznaczało, że oficer nie zachował się jak nędzny chujek.

– Pan komisarz pozwoli, że jako gospodarz śledztwa to ja będę decydował, kto tu będzie się kręcił, a kto nie, dobra? – Głos Cehaka był lodowaty.

Krzemiński nie był świadomy, że być może Cehak oszczędził mu właśnie sporo grosza na implantach zębów. Wzruszył tylko ramionami i wyszedł na zewnątrz, a prokurator zerknął na Przeworskiego z troską.

– Fajnych masz kolegów.

– Nie znam człowieka – mruknął Przeworski, a Cehak uśmiechnął się tylko z przekąsem.

Kucnęli obok ciała. Ubranie powalane było krwią, a martwe, szkliste spojrzenie oczu ofiary skierowane było w bok, jak gdyby z pozycji, w której leżała w momencie śmierci, próbowała jeszcze

sięgnąć gdzieś wzrokiem. Przeworski przyjrzał się prawej dłoni. W poprzek wnętrza biegło długie, czerwone nacięcie wyglądające na obrażenie obronne. Zobaczył, że Cehak również zwrócił na to uwagę.

– Walczyła – mruknął. – Niedługo, ale próbowała... Zwróć uwagę, że rana nie jest zakrwawiona. Świeża, ale nie pokryta krwią. Jakby to stało się wcześniej. Coś tu musiał się dziać. Terroryzował ją?

– Pewnie znała sprawcę, bo nie ma śladów siłowego wejścia. Musieli się pokłócić. Ciekawe, kto to ten Kustler?

Przeworski wstał, wyciągnął z kieszeni telefon i przeglądał go przez chwilę w ciszy. Cehak czekał, sądząc, że ktoś do niego dzwoni, tylko komórka jest wyciszona i teraz Przeworski odpisuje temu komuś, że nie może odebrać.

– Najbliższy ma stocznię jachtową w Stralsundzie. „Kustler Bootswerft GmbH” – powiedział nagle aspirant. – Starszy gość, na oko po siedemdziesiątce.

– Co!? Skąd wiesz?

– Syn ci nie powiedział, do czego służy internet? – Aspirant pokazał mu swój telefon.

Na wyświetlaczu widniała uśmiechnięta twarz starszego mężczyzny w okularach. Białe jak śnieg zęby i budzące zaufanie zmarszczki mówiły wszystkim: oto solidny i godny zaufania partner.

– Co emerytowana nauczycielka ma wspólnego z właścicielem niemieckiej stoczni? Jeśli to on... – Cehak pokręcił ze zdziwieniem głową, a potem dodał, zerknąwszy na Przeworskiego: – Dziwne takie. Jej syn dźgnął cię nożem, a teraz ktoś jej zrobił to samo, tylko skutecznie.

– Zabrzmiało to dwuznacznie – stwierdził Przeworski, dotykając odruchowo pachwiny.

– Nie miało. To tylko takie filozoficzne rozważania nad dziwami tego świata.

– Pseudofilozoficzne.  
– Niech ci będzie, że pseudofilozoficzne. Ale sam przyznasz, że to lekko zastanawiające.  
– To też nie jest dobre słowo.  
– Fakt. No to dziwne.  
– Może i dziwne, ale co ci poradzę...  
Cehak cmoknął kącikiem ust.  
– Cholera, jeszcze trochę do końca zostało, a ja głodny jestem...  
– Zerknął na zegarek.  
– Ile to już trwa?  
– Dwie godziny. Pewnie jeszcze ze dwie zejdzie.  
– Przynieść ci coś?  
– A mógłbyś? – Oczy Cehaka nabrały nagle blasku. – Te słynne tutejsze pierogi są w zasięgu?  
– Owszem. Ile i jakie?  
– Pięć ruskich i pięć z mięsem.  
– Dziś jest ładnie, więc pewnie z pół godziny zejdzie.  
Wytrzymasz?  
– A to jest jakaś zależność?  
– Jak jest słońce, to jest więcej ludzi.  
– W sumie proste. – Prokurator zmarszczył nos. – Wytrzymam.  
Przeworski przeszedł się jednak do baru „Argus”, a nie na deptak koło plaży, bo tak było szybciej. Tam zamówił pierogi dla siebie i dla Cehaka. Swoje zjadł na miejscu, a resztę w styropianowym pudełku zabrał ze sobą i wrócił na Jeziorną. Był już wieczór i coraz więcej ludzi zbierało się nieopodal domu Remusowej. Sporo z nich na rowerach, które pamiętały lepsze czasy i były tutaj powszechnym środkiem lokomocji, choć większość gapiów stanowili mieszkańcy okolicznych domów. Dyskutowali zawzięcie, w końcu nie co dzień zdarzały się tu takie rzeczy jak zabójstwo. Na co dzień przeważnie nie działo się tu nic, więc aspirant nawet im się nie dziwił.

Kiedy Przeworski z pudełkiem w ręku zbliżał się do domu, znów natknął się na Krzemińskiego. Kryminalny obrzucił go rozbawionym, a nawet kpiącym spojrzeniem i aspirant wiedział już, że w komendzie pójdzie fama o służącym prokuratora albo kimś takim. Ale miał to głęboko w bardzo ciemnym miejscu.

– Dzięki, nie trzeba było, ale chętnie zjem. – Krzemiński wysilił się na żart.

– Rzuciłbym jakąś ripostą, ale mi się, kurwa, nie chce. – Przeworski minął komisarza, nie patrząc na niego, i wszedł do domu.

Kiedy podał Cehakowi pudełko z pierogami, prokuratorowi znów zaświeciły się oczy. Podstawił je sobie pod nos, zaciągnął się zapachem, a potem rozejrzał po pomieszczeniu.

– Robota głupiego, będę tu jeszcze tkwił nie wiadomo ile czasu... Chodź, zjem w aucie, przecież nie będę jadł przy zwłokach. A potem popytamy ludzi na szybko. Pokażesz mi okolicę.

Przy wejściu minęli się z Krzemińskim, który z wystawioną do słońca twarzą udawał, że ich nie zauważa, skupiony na trzymanym w dłoni papierosie. Przeworski przestał już nawet mu je liczyć. Wsiedli do samochodu Cehaka i prokurator rzucił się na pierogi, jakby nie jadł trzy dni.

– Noo... – powiedział z uznaniem z pełnymi ustami.

Przeworski uśmiechnął się lekko, a potem oparł się wygodnie o zagłówek i zamknął oczy, czekając, aż prokurator zje.

– Ta sąsiadka, która ją znalazła... – Ocknął się z zamyślenia wyrwany słowami Cehaka i zobaczył, jak wyciera palce w serwetkę. – Banasik... Banasiak Jadwiga. Znasz? Wiesz, gdzie mieszka?

– Znam i wiem, ale nie musimy do niej iść. Tam stoi. – Przeworski wskazał ją prokuratorowi przez przednią szybę.

Stała po przeciwnej stronie ulicy w grupce gapiów i była w centrum zainteresowania, co rusz zagadywana przez kogoś w wiadomej sprawie. Aspirant wysiadł z samochodu, podszedł do

niej i poprosił cicho o pójście ze sobą. Wzrok jej koleżanek był pełen współczucia. Oraz ciekawości.

– Kilka pytań, dobrze? – zagaił prokurator, kiedy ją przyprowadził do samochodu.

Stał oparty o maskę, widać zdecydował, że nie będzie robił biura z auta ani nie wprowadzi Banasiakowej do domu Reginy Remus.

– A będziemy tam wchodzić? – Kobieta zerknęła strachliwie w stronę drzwi do domu, przy którym wciąż stał Krzemiński z papierosem.

– Nie ma takiej potrzeby. – Cehak uśmiechnął się uspokajająco.  
– To pani znalazła ciało?

– Tak... Byłyśmy umówione na herbatę. Przyszłam, zadzwoniłam, potem zapukałam, a kiedy nie odpowiadała, po prostu nacisnęłam klamkę i drzwi się otworzyły. Same. Znaczący, nie były zamknięte na klucz. A ona raczej należała do ostrożnych.

– Weszła pani do środka... – odpowiedział Cehak.

– No tak, zawołałam ją, cicho, bo pomyślałam, że może śpi. A potem weszłam do dużego pokoju i... – Zagryzła wargi i opuściła wzrok.

– Rozumiem. Dobrze się znałyście?

– Tak, od ponad czterdziestu lat. Może nie byłyśmy przyjaciółkami, ale myślę, że znałyśmy się całkiem dobrze.

– Sporo o sobie wiedziałyście?

– Czy sporo... Każdy ma jakieś tajemnice. – Kobieta wzruszyła ramionami.

– Na zwłokach... To znaczy, ofiara... – Cehak chrząknął w zwinętą dłoń i schował ją znów pod pachę. – Pani Remus nie miała na sobie żadnej biżuterii.

– Regina nosiła kilka złotych pierścionków, miała je zawsze na palcach, poza tym wisiołek po mamie, musiał być stary. Bardzo mi się zawsze podobał i ostatnio Regina mi go podarowała. Nie chciałam przyjąć, ale nalegała. Miała go dać kiedyś synowej, ale...

– Jej oczy nagle zwilgotniały, lecz szybko się otrząsnęła. – I kiedyś

widziałam u niej sygnet, podobno złoty. Z tego, co pamiętam, była na nim jakaś łódka. O ile wiem, nie miała niczego więcej.

– Nie wie pani, czy posiadała większą ilość gotówki?

– Nie mam pojęcia. Nie rozmawialiśmy o takich rzeczach. Ale narzekała, że chciałaby synowi pomnik ładniejszy sprawić, tylko nie ma pieniędzy. Więc chyba nie miała.

– Czy ona pani mówiła, że ktoś jej groził? – wtrącił się Przeworski, a Cehak spojrział na niego lekko zdziwiony.

– N-nie... – Sąsiadka zerkała na boki, jakby szukała w pamięci takiej sytuacji, a po chwili, już pewniej, powtórzyła: – Nie, nie przypominam sobie czegoś takiego.

– A zna pani kogoś o nazwisku Kustler? Georg Kustler? Nie wspominała o kimś takim?

Banasiak zmarszczyła brwi. Wyglądało na to, że nie zauważyła napisu na podłodze, co w zasadzie Przeworskiego nie dziwiło. Musiała przeżyć szok, choć teraz widocznie otrząsnęła się z niego.

– Nie. – Wykrzywiła usta. – Ale ona miała niemieckie pochodzenie, więc pewnie również sporo niemieckich znajomych, choć nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Była raczej skryta i zawsze samotna.

– Dobrze, dziękuję pani na razie. – Prokurator westchnął, a kiedy Banasiakowa poszła sobie z wyraźną ulgą, spojrział na Przeworskiego. – Z tym grożeniem to jakieś macanie na ślepo czy...?

– Kilka dni temu była u mnie w rewirze – wyjaśnił aspirant. – Przyszła przeprosić za syna, a potem zaczęła coś mówić o ludziach, których trzeba się bać. Wypytywałem, czy ma kogoś konkretnego na myśli, ale nie kontynuowała tematu, a ja nie naciskałem. Może jednak trzeba było... – Pokręcił głową i jego wzrok padł na stojącego przy ogrodzeniu mężczyznę, który był sąsiadem Reginy Remus zza ściany.

Jego część domu wyglądała jeszcze gorzej niż jej, a on sam był Przeworskiemu znany. Znajdował się na liście Zajdla i jako

osobnik karany zajmował na niej dość wysoką pozycję.

– Pan podejdzie do nas! – zawołał w jego kierunku, wzbudzając w Rafale Błachu popłoch. – Zapraszamy. Tak, tak, do pana mówię... Proszę tu podejść.

Mężczyzna obejrzał się jeszcze za siebie, jakby miał nadzieję, że to nie jego woła dzielnicowy, ale za nim nie było nikogo. Rad nierad otworzył furtkę i wyszedł na ulicę, człapał powoli, najwyraźniej chcąc maksymalnie opóźnić moment, w którym znajdzie się przy nich. Przeworski z Cehakiem czekali cierpliwie, świadomi nieuchronności spotkania, Błach też miał tę świadomość, co widać było na jego zapuchniętej od alkoholu twarzy.

– Dobry, panie Błach – zagadnął aspirant.

– Ja nic nie zrobiłem!

– Co pan taki wrywny, przecież nikt nie powiedział, że pan zrobił. Prokurator chciał zadać kilka pytań, to wszystko.

– Aaa, no dobra... – Mężczyzna machnął ręką niezbornym ruchem.

– Znaliście się, oczywiście? – Pałeczkę przejął Cehak.

– Taa, to była moja dawna nauczycielka. Uczyła mnie polaka.

– Bywał pan u niej?

– Noo... – Błach wciąż był wyraźnie spłoszony. – Pomagałem jej drewno przygotować albo węgiel nosiłem, ścianę jej podmalowałem, takie rzeczy... Remkowi w remoncie pomagałem. Jej syn to się nie garnał do tych rzeczy, czasem na nocki w Azotach robił, a ja z zawodu tynkarz jestem. I malarz. Pokojowy znaczy, no... – Spuścił wzrok, jak gdyby uświadomił sobie, że nikomu nawet przez myśl nie przeszło posądzanie go o bycie artystą malarzem.

– Kiedy był pan u niej ostatnio?

– Nie pamiętam.

– Nawet w przybliżeniu?

– Parę dni temu? Tydzień?



– Ktoś się koło niej kręcił? O kimś takim mówiła?

– Nie mówiła, ale był tu dziś taki starszy facet, czarnym mercedesem przyjechał. Obce blachy.

– Obce? W sensie nie polickie?

– Nie, w ogóle nie polskie. Niemieckie.

Przeworski spojrzał znacząco na Cehaka.

– Jak wyglądał ten człowiek? – zapytał, ubiegając prokuratora.

– Wysoki, siwy, w pinglach.

– W czym?

– W okularach, znaczy. Widziałem, jak wychodzi od Niem... Od pani Remus z domu i wsiada do auta. Niedawno. Szybko szedł. Był podkurwiony... Znaczy... Przepraszam, no.

Przeworski nagle podstawiał Błachowi pod nos telefon.

– Ten? – zapytał krótko, pokazując mu zdjęcie Georga Kustlera ze strony internetowej jego firmy.

Twarz Błacha rozpromieniła się.

– No przecież, że ten! To on!

– Dobra, skontaktuję się jeszcze z panem przez pana dzielnicowego, proszę na razie nigdzie nie wyjeżdżać. – Cehak miał minę jak dziecko, które w wesołym miasteczku ustrzeliło z wiatrówki misia, tylko jeszcze nie bardzo może w to uwierzyć.

– A gdzie ja mógłbym wyjeżdżać? – Błach zarechotał, a potem nagle umilkł, kiedy prokurator spojrzał na niego karcąco.

Kiedy mężczyzna szedł do siebie, Przeworski odprowadził go przeciągłym spojrzeniem, a Cehak westchnął.

– Dobra, trzeba to kończyć. Chodź.

Weszli do domu Remusowej. Rozmazana na podłodze ogromna plama krwi przyciągała wzrok, ale Przeworski patrzył nie na nią, tylko na napis.

– Na nożu były odciski, zjąłem je – poinformował ich technik, który właśnie rozpinał kombinezon.

– No i pięknie. – Cehak uśmiechnął się szeroko. – Czyli można zabierać ciało.

Wyszedł po karawaniarzy, a kiedy wrócił, na twarzach całej trójki widniała ulga. Smutna procedura trwała krótko. Ludziom powaga śmierci kojarzy się z powolnością ruchów, które wykonuje się przy ciele nieżyjącego człowieka. Tak widzą to w kaplicy, kościele, na cmentarzu, o wiele rzadziej w innych momentach, takich jak ten. A tymczasem pracownicy zakładu pogrzebowego sprawnie rozłożyli na podłodze szary, szczelny pokrowiec, rozpięli zamek błyskawiczny i rozchylili poły na boki, a potem podnieśli ciało i włożyli je do środka. Zgrzyt zamka aż zabolał, po chwili obaj chwycili uszy wystające z rogów pokrowca, podnieśli go i niecałe piętnaście sekund później Przeworski z Cehakiem zostali sami.

Na moment zapanowała absolutna cisza.

– Na pewno dobrze przemyślałeś swoją rezygnację ze służby kryminalnej? – Prokurator spojrzał na aspiranta krzywo. – Właśnie wykryłeś sprawcę morderstwa. – Prychnął nagle. – Nie do wiary, najprostsza sprawa świata.

– Nie ma prostych spraw. – Przeworski zbliżył się do napisu i pochylił nad nim, a potem spojrzał na prokuratora. – Trzeba będzie zabezpieczyć próbki jej pisma.

– Po co? Myślisz, że to nie ona napisała?

– Teoretycznie mógł to napisać sprawca, żeby skierować na kogoś podejrzenia lub po prostu skierować śledztwo na ślepy tor. Zrobić z tego międzynarodową sprawę, żeby wszystko skomplikować. Takie rzeczy się już zdarzały.

– A to nie ty teraz komplikujesz?

– Ej, panie prokuratorze. Chcesz iść po linii najmniejszego oporu?

– Bo?

– Popatrz na tę plamę krwi. Masywny krwotok z dużej rany. Ile czasu to mogło trwać, zanim straciła przytomność i zmarła? A teraz spójrz na ten napis. Staranny i równy. A ona leżała, rozumiesz? I z tej pozycji udało jej się napisać to tak starannie?

Moim zdaniem litery byłyby pochylone i nierówne. Nie było czasu ani możliwości wykonania go w ten sposób.

– Była nauczycielką starej daty. A kiedy ona chodziła do szkoły, dawali po łapach za krzywe litery. Przekombinowane, Dominik. Przykro mi, ale nie zgadzam się z tobą.

– Okej. – Przeworski uniósł ręce w geście kapitulacji. – Ty tu jesteś szefem. Ale przyszła mi do głowy jedna rzecz...

– No?

– Ten Błach... Mógł wykorzystać okazję. Zobaczył, jak ten facet, który jest mu znany, od niej wychodzi. Poszedł do niej, zabił, napisał jego imię i nazwisko na podłodze i zabrał biżuterię.

– Naciągane. To pewnie wtórny analfabeta, który od czasów podstawówki nie postawił ani jednej literki, i myślisz, że tak by teraz wyczelował ten napis? Ale okej, zobaczmy, co z odciskami palców na nożu: jeśli nie będą należeć do Kustlera, sprawdzimy tego Błacha. – Popatrzył krzywo na Przeworskiego. – Żeby nie było, że jestem betonem, który nie zmienia zdania, bo nie, i już.

Cehak rozejrzał się, jakby szykował się do ogarnięcia bałaganu i zastanawiał, od czego zacząć.

– Będę musiał uderzać do komendy wojewódzkiej, to pewne, że przejmą postępowanie. Miałeś kiedyś taką sprawę, w której była wymagana współpraca z policjami albo prokuraturami państw obcych? – Zerknął na aspiranta.

– Ukrywanie się podejrzanego za granicą, ale nigdy nie miałem podejrzanego obcokrajowca.

– Postępowania przygotowawcze w takich wypadkach prowadzi wydział dochodzeniowo-śledczy KWP. Nasza wojewódzka ma dobrze, bo na podstawie konkretnej umowy między województwem zachodniopomorskim a landem Mecklemburg-Vorpommern nie muszą niczego załatwiać przez Warszawę i Biuro Międzynarodowej Współpracy Policji. Nasz, znaczy ich, zespół ma możliwość bezpośredniej współpracy z policją meklemburską i jeśli faktycznie ten Kustler jest ze Stralsundu, to

znacznie uprości sprawę. Szef nazywa się Suder i jest konkretnym facetem, podejrzewam, że to pójdzie piorunem.

– Okej – mruknął aspirant. – Rozejrzę się jeszcze trochę.

Przystanął przy napisie, wyciągnął komórkę i zrobił zdjęcie, nie przejmując się znaczącym spojrzeniem Cehaka. Potem przeszedł do małego, przechodniego pomieszczenia, które najwyraźniej pełniło funkcję sypialni ofiary, i rozejrzał się po nim. Pojedyncze łóżko przykrywała kapa, na której leżał stos poduszek. Na ścianie wisiał wielki portret Jana Pawła II i Benedykta XVI oraz obraz Jezusa Miłosiernego, a pomiędzy nimi stary krucyfiks z ułamaną podstawą, dzięki czemu dało się go powiesić. W regale stało sporo książek, głównie dzieł klasyki polskiej i niemieckiej wydanych jeszcze w zeszłym wieku, a także Pismo Święte. Przeworski nie zauważył żadnego pudełka, w którym kobieta mogła chować kosztowności. Wystrój pokoju był skromny, wręcz ubogi. W sąsiednim pomieszczeniu musiał mieszkać jej syn i tam wyglądało to nieco lepiej.

Przeworski, wchodząc do jego pokoju, zastanawiał się, jak Natalia się tu czuła, odwiedzając go, gdy byli jeszcze razem. Oba pokoje dzieliły stare, poniemieckie drzwi, nie było żadnej intymności, a za ścianą siedziała wtedy pewnie jego matka. Co można robić w takich okolicznościach? Nawet zwyczajna rozmowa jest krępująca, nie wspominając o czymś więcej. W dodatku, żeby wyjść na przykład do łazienki, trzeba było przejść przez pokój matki.

Czuł się lekko niezręcznie, choć nie potrafił określić dokładnie dlaczego. Oto wkraczał w czyjś świat. Robił to wielokrotnie w poprzedniej pracy, poznanie przeszłości i środowiska ofiary było nieodłącznym elementem tej roboty i podobne uczucie towarzyszyło mu często, ale to było co innego, w końcu to nie Remus był ofiarą. Przeworski nie miał wrażenia, że wchodzi w ten świat z buciorami, już raczej infiltrował go, zakłócał jakąś intymność i być może przyczyną tego był fakt, że Remigiusz

Remus nie żył, że wcześniej próbował go zabić i że był kiedyś z Natalią.

Opuścił pokój i kiedy mijał regał z książkami należącymi do jego matki, postanowił przejrzeć go dokładniej. Wiedział już, że nie przekonał Cehaka do swojej teorii dotyczącej napisu, ale zdecydował, że pociągnie to sam, nieoficjalnie. Tego nikt mu nie mógł zabronić, lecz potrzebował próbki pisma ofiary. Przeglądając dokumenty zebrane w starej, kartonowej teczce znalezionej za książkami, znów miał wrażenie zagłębiania się w czyjś świat. Wypis ze szpitala, podziękowanie ze szkoły za długoletnią pracę, poźółkłe dyplomy, kilka zdjęć, niektóre z synem, stara legitymacja ubezpieczeniowa i inne rzeczy, które składają się na dokumentację życia. Oraz fotografia młodej Reginy Remus. Tylko jedna. Kiedy Przeworski przyjrzał się jej, z zaskoczeniem zauważył, że kobieta była kiedyś naprawdę piękna. Patrzyła na niego ze zdjęcia lekko zawstydzonym spojrzeniem, w którym było życie. Ciemne włosy spływały po bokach twarzy, tak samo jak długa do kostek i zapięta pod szyję sukienka, która oblekała ciało młodej, niewątpliwie atrakcyjnej kobiety, podkreślając jej kształty. Splecione palce dłoni maskowały chyba to zawstydzenie, które było w spojrzeniu. Stała na ulicy, na tle krzewów, więc nie można było zidentyfikować miejsca, w którym zdjęcie zrobiono.

Gdy aspirant sięgnął do kolejnej teczki, zobaczył coś jeszcze ciekawszego.

Wziął do ręki znaną w niej kartkę papieru oraz zdjęcie nauczycielki i przeszedł do dużego pokoju, gdzie wciąż był Cehak.

– Zobacz. – Pokazał mu arkusz papieru z drugiej teczki.

Było to czarno-białe zdjęcie, a właściwie jego wydruk ze zwykłej atramentowej drukarki. Przedstawiało grupę sześciu mężczyzn: trzech było umundurowanych, trzech po cywilnemu. Stali przed drzwiami do budynku, nad którymi widać było wykonaną z desek tablicę z godłem i napisami: Posterunek miejski M.O. Warpno Nowe. Widać było, że ludzie ci pozostają w dobrej komitywie; stali

blisko siebie, obejmowali się, zerkali po sobie, na twarzach jednych była powaga, na innych rozbawienie. Jeden z cywilów siedział nawet na kolanach milicjanta, obejmując innego, choć akurat nikły uśmiech na jego twarzy wydał się Przeworskiemu nieco wymuszony. Typowy obrazek: ej, chłopaki, chodźcie, zrobimy sobie zdjęcie. I nie byłoby w tym znalezisku nic dziwnego, gdyby nie pewna zastanawiająca rzecz. Jeden z mężczyzn, tych po cywilnemu, nie miał twarzy. Stał za dwoma milicjantami, obejmował ich od tyłu, ale widać było tylko kamizelkę, węzeł krawata oraz kapelusz. Pomiedzy nimi w papierze ziała dziura, ale nie wycięta. Przeworskiemu przyszło do głowy określenie: wydziobana. Ktoś, może nawet sama Remusowa, musiał tak długo uderzać w to miejsce czymś ostrym, aż z papieru została sieczka.

– Co? – Cehak spojrzał na Przeworskiego zdziwiony.

Aspirant wzruszył ramionami. Faktycznie, niby nic dziwnego, ale coś go w tym zdjęciu chwyciło za duszę i nie puszczało.

– Nic... Ciekawostka taka – mruknął. – Zastanawiam się, który to może być rok?

Może to zdjęcie wzbudziło jego zainteresowanie dlatego, że byli na nim gliniarze i ciekawie było popatrzeć, jak wyglądali kiedyś? Młodzi ludzie, młodsi nawet niż on. Może pełni zapału, a może nie mieli wyboru? Kim byli, skąd przyjechali na ten koniec świata? Czy jeszcze żyli? I co to zdjęcie robiło w domu ofiary? Czy któryś z nich był może jej ojcem? Obiło mu się o uszy, że rodzice Reginy Remus byli tutejszymi Niemcami, którzy po wojnie zostali na miejscu, więc siłą rzeczy nie mógł to być raczej żaden z milicjantów.

– Teraz zobacz to. – Podał prokuratorowi zdjęcie Remusowej i odruchowo zerknął na miejsce, w którym przed chwilą leżało jej ciało.

Było coś smutnego w tym widoku, kiedy to jednym spojrzeniem można było objąć wizerunek młodej, ślicznej dziewczyny i białe linie na podłodze układające się w obraz ludzkiej postaci, którymi

obrysowano jej zwłoki. Przez kilkadziesiąt lat w jej życiu wydarzyły się tysiące rzeczy, bywały chwile szczęścia i rozpacz. A teraz to życie ktoś jej odebrał.

– Noo... – mruknął Cehak z uznaniem i odwrócił zdjęcie. – Coś tu jest napisane, po niemiecku chyba. Ver-gib-mir – przesyłabizował. – Ciekawe, co to znaczy?

Przeworski pochylił się ku niemu i zerknął.

– „Wybacz mi”.

Czynności wreszcie się zakończyły, ciało Reginy Remus było już w drodze do Zakładu Medycyny Sądowej, a drzwi jej domu opieczętowane. Samochody opuściły cichą uliczkę, a zmierzch powoli zapadał nad miasteczkiem, jak co dzień. Zbliżała się najdłuższa noc w roku.

Koło północy, kiedy Przeworski przechodził z Natalią i jej psami, Nangą i Parbatem, obok domu Remusowej, zobaczył kilka zniczy palących się pod ścianą. Obok leżało parę niewielkich, skromnych bukietów z polnych i ogrodowych kwiatów. Natalia też miała swój znicz: odpaliła go od jednego z tych stojących pod ścianą i postawiła przy nim, a potem wróciła do Przeworskiego i swoich psów i przez kilkanaście sekund wpatrywali się w milczeniu w nikłe ogniki migające za czerwonym szkłem lampek.

A dalej życie toczyło się leniwie, jak to w Nowym Warpnie. Przeworski nie miał absolutnie żadnego wpływu na to, co się dzieje w śledztwie. Skąpych informacji udzielał mu tylko Cehak, stąd aspirant wiedział, że odciski palców znalezione na nożu wysłano do Niemiec, współpraca z Landeskriminalamtem układała się dobrze i w zasadzie pozostawało tylko czekać na wyniki identyfikacji.

Przeworski faktycznie był tu tylko dzielnicowym. Jego jedynym zadaniem na miejscu zbrodni było pilnowanie, żeby gapie nie przeszkadzali. Poza tym mógł być tylko kimś w rodzaju niemego świadka dalszego postępowania. I to tylko wtedy, jeśli jego koledzy z komendy zechcą się z nim podzielić informacjami,

uznając, że jego zainteresowanie nie jest wpieprzaniem się w nieswoje sprawy, a jedynie życzliwym kibicowaniem.

A z tym, jak to potraktują, mogło być już różnie, o czym ewidentnie świadczyła ścinka z Krzemińskim na miejscu zbrodni i aspirant mógł chyba jednak porzucić nadzieję na uzyskanie od nich jakichkolwiek informacji. Ale zawsze w odwodzie pozostawał Cehak, z którym aspirant złapał dobry kontakt już przy sprawie sprzed dwóch miesięcy.

Poza tym i tak przecież miał swoją robotę...





W tę sobotę Przeworski był zajęty. Jeszcze w tygodniu burmistrz poprosił go o asystowanie przy porządkowaniu starego cmentarza żydowskiego, zlokalizowanego nieopodal tego komunalnego, kilkadziesiąt metrów za skrzyżowaniem dróg wyjazdowej i tych prowadzących do Podgrodzia oraz Miroszewa. Teoretycznie aspirant mógł powiedzieć burmistrzowi, żeby załatwiał wszystko przez komendę, ale nawet nie przyszło mu to do głowy: i tak był na miejscu, i tak nie miał nic pilnego do roboty, a porządki zawsze miło mu się kojarzyły. Taką miał już naturę.

Kiedy był w ratuszu w tej sprawie, burmistrz nie omieszkiał zahaczyć na koniec o zabójstwo Remusowej.

– To było takie spokojne miasteczko, co? – Westchnął i spojrzał na Przeworskiego, jakby to on był winny temu, co wydarzyło się w Nowym Warpnie w ciągu ostatnich kilku miesięcy.

– Statystycznie, w porównaniu z innymi, nadal jest – stwierdził filozoficznie aspirant.

Fakt, sprawa ze szkieletami w ogrodzie Sobuckich w Podgrodziu wypłynęła akurat, gdy zjawił się w miasteczku, ale to był oczywiście zbieg okoliczności. I miał nadzieję, że burmistrz to rozumie.

– Kumulacja, panie Dominiku, co? – Włodarz uśmiechnął się smutno.

– Ja bym nazwał to raczej przypadkiem – odparł Przeworski, podał Durce rękę i pożegnał się.

Prace prowadzić miała grupa miłośników Pomorza Zachodniego pod kierunkiem szczecińskiego historyka i zarazem policjanta, funkcjonariusza komendy wojewódzkiej zajmującego się

przestępczością związaną z zabytkami. Komisarz Marek Łuczak razem z grupą zapaleńców od jakiegoś czasu systematycznie zajmował się porządkowaniem poniemieckich cmentarzy w poszczególnych dzielnicach Szczecina i okolicznych miejscowościach. Zapomniane, zarośnięte, traktowane jak śmietniska i wyrugowane ze świadomości ludzi były niewidocznym wspomnieniem dawnych mieszkańców tych ziem. Akcje polegały zwykle na wykopywaniu płyt nagrobnych ukrytych pod warstwą ziemi, zrównanych z nią podczas pośpiesznych ekshumacji w czasach tużpowojennych. Te nagrobki, które nie trafiły na ulice jako ich podbudowa albo wręcz nawierzchnia lub elementy murków, tkwiły wciąż pod warstwą trawy w parkach, zieleńcach i skwerach, w które zmieniono po wojnie cmentarze. Odkopane przez ekipę Łuczaka były czyszczone, przewożone do lapidarium na Cmentarzu Centralnym w Szczecinie, a ich właściciele identyfikowani kanałami, których sieć komisarz zbudował sobie wieloletnią pracą historyka.

I taka właśnie akcja miała teraz zostać przeprowadzona w Nowym Warpnie. Mimo profesjonalnej opieki Łuczaka burmistrz miał lekkie obawy co do jej przebiegu i wolał się zabezpieczyć przez obecność kogoś miejscowego. Tak się złożyło, że Zenon Owczarek, nowowarpieński regionalista, nie mógł tego dnia być na miejscu. Przeworski zgodził się więc i teraz tkwił na cmentarzu, przyglądając się poubieranym w ciuchy o maskujących barwach ludziom, kopiącym, grabiącym, czyszczącym lub składającym z roztrzaskanych fragmentów płyty nagrobne znalezione płytko pod ziemią. Sam aspirant był po cywilnemu, nie widział potrzeby oficjalnych przebieranek, zresztą nie był tu przecież oficjalnie, a tylko grzecznościowo. Zanim poszedł na tę część cmentarza, odwiedził ten komunalny. Stał chwilę przy grobach Remusów, wracając myślami do domu Reginy: w jednym z nich spoczywał Karl z żoną Gertrudą, w drugim, zwieńczonym tylko prostym kopcem i krzyżem z dwoma tabliczkami, ich córka

i wnuk. Kiedy aspirant spojrział na nazwisko Karla, z zaskoczeniem uświadomił sobie, że dziś mijają dokładnie czterdzieści dwa lata od dnia jego śmierci. Nie wierzył w zrządzenia losu, a jedynie w przypadek. I to dla niego był właśnie przypadek. Ciekawy, ale przypadek.

Gdy dotarł na część żydowską cmentarza, za płotem, na ściernisku, paliło się już ognisko. Dolatywał do niego zapach dymu świeżego drewna, syn Łuczaka szykował kiełbasy i ostrzył kije, na które miały zostać nadziane. Było słonecznie i dość ciepło, i między innymi dlatego aspirant absolutnie nie żałował, że zgodził się na ten nieformalny nadzór.

Nagle z odleglejszego krańca cmentarza dobiegło wołanie:

– Marek! Marek, chodź!

Łuczak, pochylony z aparatem fotograficznym nad odsłoniętą przed kilkoma minutami granitową płytą, wyprostował się i spojrział w tamtym kierunku. Jeden z mężczyzn przywoływał go gorączkowo machaniem ręki. Przeworski oderwał się od pnia drzewa, o które stał oparty, odpoczywając po grabieniu, i ruszył w tamtą stronę, zrównując się po chwili z komisarzem.

– Ciekawe, co znaleźli? – mruknął do niego Łuczak.

– Mam pewne podejrzenia.

– Tam nie powinno być już żadnych macew, chyba że spychaczem zaorali z terenu cmentarza w ten laszek – stwierdził komisarz.

– Co innego miałem na myśli.

– Co?

– Nic, tak tylko. – Przeworski wzruszył ramionami. – Bo skąd tam kości?

Widział, że Łuczak nie wie, o co mu chodzi, ale nie kontynuował tematu. Kiedy dotarli do miejsca, gdzie stało kilka osób wpatrujących się w niewielki dół w ziemi, Przeworskiego zmroziło.

– Wyrzuciłem te suche liście i obsunęła mi się noga na tej skarpcie. – Mężczyzna wskazał niewielki nawis ziemny, z którego

wystawały wiązki systemów korzeniowych sąsiednich drzew. – Zobaczyłem to, rozgarnąłem jeszcze trochę ziemi i... – Urwał.

– Prorok jaki czy co? – Łuczak spojrział na aspiranta podejrzliwie.

– To był... Hmm, żart, powiedzmy, że sytuacyjny. Kilka miesięcy temu mieliśmy tu sprawę przypadkowego znaleziska, ludzkie szkielety w ogródku, w Podgrodziu. To miałem na myśli, choć nawet mi przez głowę nie przeszło, że się potwierdzi. – Przeworski z zaskoczeniem wpatrywał się w wymieszane z ziemią kości wypełniające niewielki dół.

Jeden z mężczyzn grzebnął jeszcze szpadlem w wypełnionym żółtoszarą ziemią zapadlisku i ich oczom ukazała się czaszka. Nie było żadnych wątpliwości, że jest ludzka.

– Zostaw – powiedział Łuczak. – Musisz to zabezpieczyć. – Zerknął na Przeworskiego.

Ten stał wpatrzony w znalezisko. Nagle pochylił się, ukucnął i sięgnął do dołu. Końcami palców strzepnął z czegoś ziemię i chwycił to, ostrożnie wyciągnął spod zuchwy, a następnie zbliżył do oczu. Był to kawałek materiału, wilgotny i zabrudzony ziemią. Przyglądał mu się przez chwilę w skupieniu, a potem szeroko otwierając ze zdziwienia oczy, podał go Łuczakowi. Komisarz również mu się przyjrzał, palce powoli i ostrożnie przesuwają się po znalezisku.

– Te szkielety, o których wspominałeś... – powiedział cicho do Przeworskiego. – Co to było?

– Ofiary zabójstwa z lat dziewięćdziesiątych. Przemycnicze sprawy.

– Okej, czyli niewiele wspólnego z tym... – Łuczak wskazał dół.

– Wręcz nic.

Komisarz przypatrywał się zbutwialemu kawałkowi materiału, który rozpadał mu się w dłoniach. Pasy były ledwie widoczne, za to fragment żółtego, lekko przybrudzonego ziemią trójkąta aż bił w oczy, tak dobrze był zachowany.

– To niemożliwe – stwierdził zdecydowanie. – Kupy się to nie trzyma. Najbliższe obozy koncentracyjne były w Ravensbrück i Sachsenhausen. Skąd w Nowym Warpnie żydowscy więźniowie?



Sprawa znalezionych obok cmentarza ludzkich szczątków wzbudziła w miasteczku zrozumiałe poruszenie. Wieść rozniosła się oczywiście lotem błyskawicy, przez jakiś czas była przedmiotem dyskusji podczas przypadkowych spotkań na ulicy czy w sklepiku tuż po tym, jak wyczerpał się temat zabójstwa Reginy Remus. Przeworski nie dziwił się już temu. Podobnie działo się niedawno, kiedy w ogrodzie Sobuckich odkryto ludzkie szczątki. Mechanizm plotki był dokładnie taki sam.

Teren wokół znaleziska został ogrodzony taśmą i naprędce wykonanymi tabliczkami z ostrzeżeniem przed przechodzeniem przez nią. Do Nowego Warpna przyjechał specjalista antropolog sądowy z Katedry Medycyny Sądowej Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego, który miał doświadczenie w pracy z masowymi mogiłami ofiar stalinowskich represji. On i jego ekipa spędzali długie godziny na odsłanianiu szczątków odkrytych przy starym żydowskim cmentarzu. Przeworski jeździł tam co jakiś czas, żeby zobaczyć postępy prac i pogadać z szefem zespołu, Andrzejem Ossowskim, który zjawiał się na miejscu od czasu do czasu, by nadzorować przebieg ekshumacji i badań.

Dziś też tam był. Od czasu odkrycia szczątków minęły już dwa tygodnie i Przeworski liczył, że dowie się czegoś więcej.

– Co pan o tym sądzi? – zapytał medyka.

Ossowski spojrzał na dół.

– Jak na razie zidentyfikowaliśmy szczątki dziesięciu osób. Wszystkie na małym obszarze, w bezpośrednim sąsiedztwie niczego już nie ma. Wśród kości są resztki materiału, takie same, jak znaleźliście na początku: fragmenty obozowych pasiaków oraz



kilka oznaczeń, tak zwanych winkli, którymi Niemcy oznaczali poszczególne kategorie więźniów.

– Żydowskie?

– Też. – Antropolog pokiwał głową.

– Też? To były jeszcze jakieś inne? – zdziwił się aspirant.

– Ma pan na myśli ogólnie czy konkretnie tu? – Ossowski wskazał podbródkiem na dół.

– Tutaj.

– Tak, były. Zielone, bez oznaczenia narodowości i jeden różowy.

– To znaczy?

– Zielone to więźniowie kryminalni. Prawie na pewno Niemcy. A różowy mieli homoseksualiści i to też wyłącznie niemieckiego lub austriackiego pochodzenia. Jeśli nie znajdziemy więcej ciał, to będzie pół na pół. Połowa to Żydzi, połowa Niemcy.

Przeworski uniósł brwi. Robiło się coraz ciekawiej.

– W trzech czaszkach są tylko otwory wlotowe i pociski, w dwóch pozostałych są również otwory wylotowe. Na pozostałych kościach nie ma śladów uszkodzeń spowodowanych ciałami obcymi – kontynuował Ossowski. – W mogile nie ma też pocisków. Mało prawdopodobne, żeby wszystkie były przestrelone i przeszły tylko przez tkanki miękkie, nie pozostając w ciałach ofiar i nie ocierając się chociaż o kości długie czy żebra.

– Może to nie było rozstrzelanie?

– Właśnie o to mi chodzi. Egzekucja z przyłożenia.

– Powieszenie? Mówię o tych pozostałych, których nie zastrzelono.

– O tym mogą świadczyć obrażenia kości gnykowej, ale ponieważ to de facto chrząstka, nie zachowały się po takim czasie. Ale nie jest to wykluczone.

– A komora gazowa? Tutaj?

– Mogła być mobilna, w ciężarówce, a zamiast cyklonu B były spaliny. Tak zaczęli naziści, zanim wynaleźli metodę przemysłową. Mam na myśli obozy śmierci. Ale powiem panu, że

w zasadzie powieszenie było obok rozstrzelania najczęściej praktykowanym sposobem egzekucji w miejscach, gdzie nie były dostępne oficjalne katownie. Tak tracono ludność cywilną na okupowanych terenach, robotników przymusowych i pozostałych, których naziści uznali za winnych. A nie było wtedy tak trudno zostać winnym. Powieszenie było najprostsze, zawsze znalazł się gdzieś sznur i gałąź albo latarnia. Aha, na niektórych kościach stwierdziliśmy ślady obrażeń kłów, które mogą świadczyć o żerowaniu zwierząt. Zostali dosyć płytko pochowani. W zasadzie zakopani, bo z pochówkiem to nie ma nic wspólnego.

– Data zgonu?

– Tak się składa, że jestem w stanie podać ją precyzyjnie, raczej ze względu na fakty historyczne niż dzięki zasadom sztuki. Między tysiąc dziewięćset trzydzieści trzy a tysiąc dziewięćset czterdzieści pięć. W trzydziestym trzecim powstał pierwszy obóz koncentracyjny, w Dachau. Będziemy sprawdzać po numerach, dwa są dość dobrze zachowane w całości na fragmentach pasiaków.

– To one nie były tatuowane na przedramieniu? – zdziwił się aspirant.

– Tylko w Auschwitz, i to też nie wszystkim.

Milczeli przez chwilę.

– Aaa... – zaczął Przeworski, ale nagle pokręcił głową i zamilkł.

– Co?

– Nic. Coś mi przyszło do głowy i zacząłem to mówić, zanim się zastanowiłem, czy to ma sens.

– Proszę się podzielić.

– Nie, nieważne, chociaż... Gdyby zrobił pan jednak badania, mielibyśmy pewność co do czasu śmierci.

– Zrobimy badania tak czy siak, ale mamy pewność.

– A jeśli to stało się później, po czterdziestym piątym, a tylko podrzucono obozowe pasiaki? Ubrano w nie ciała?

– Pan tak poważnie?

- Podejrzliwe będę ze mnie. Zawsze taki byłem.
- Sorry, ale to już jest wynaturzenie. – Ossowski spojrzał na Przeworskiego z lekkim zdziwieniem.
- Nie mówię, że to zbrodnia sprzed paru lat. Ale lata tużpowojenne już tak...
- Mówi pan o zbrodni komunistycznej? Że to ofiary NKWD albo ubeków?
- Tak tylko kombinuję... – Przeworskiemu stanęło przed oczami zdjęcie znalezione w domu Reginy Remus, zwłaszcza cywile, którzy byli z milicjantami.

Ossowski skwitował to wzruszeniem ramion.

- Wie pan, to nie jest wykluczone, ale jestem zdania, że najprostsze rozwiązania są najbardziej prawdopodobne. To byli więźniowie kacetu przywiezieni tu w jakimś celu, a kiedy stali się zbędni, po prostu ich się pozbyto. Typowa nazistowska praktyka. Pytanie tylko, dlaczego część zginęła od strzału w głowę, a reszta nie. Kości są przemieszane, więc zanim stwierdzimy, którzy jaką śmiercią zginęli, minie trochę czasu. To żmudna, czasochłonna i sporo kosztująca robota. Określimy haplotypy, pochodzenie biogeograficzne i tak dalej, ale w tej chwili nie sposób stwierdzić, czy to ci z kulami w głowie byli Niemcami, a ci bez, Żydami, choć to wydaje się logiczne, ale być może tylko na pozór. I tylko to, bo reszta nie ma sensu. A poza tym badania i tak nie wskażą aż tak precyzyjnie daty zgonu. To zawsze jest spory przedział idący nawet w dziesięciolecia.

Przeworski przypomniał sobie szkielety z Podgrodzia i dotyczące daty zgonu ofiar ustalenia medyka sądowego, Tomka Knapika, z których tak naprawdę niewiele wynikało. Przybliżenie było mocno szacunkowe.

- No, nic, nie przeszkadzam – westchnął.

Ossowski pokiwał głową. Podali sobie ręce, antropolog wrócił do pracy, a aspirant prosto z cmentarza pojechał do domu Zajdlów.

Ojciec byłego dzielnicowego był odrobinę starszy od Reginy Remus i znał ją ze szkolnych czasów, czyli od dziecka, o czym wspomniał mu Zajdel w czasie pogawędki w rewirze. Poprzednik Przeworskiego na stanowisku szeryfa Nowego Warpna wpadał czasem na Kilińskiego odwiedzić go i zapytać, jak mu się wiedzie, a aspirant nie widział przeciwwskazań, żeby dzielić się z nim co pikantniejszymi szczegółami służby. To właśnie w czasie jednej z takich pogawędek aspirant dowiedział się o znajomości jego ojca z ofiarą, więc postanowił teraz z tego skorzystać.

Miał dziwne przeczucie, że rozwiązanie zagadki śmierci emerytowanej nauczycielki tkwi gdzieś w przeszłości.

Ojciec Zajdla spędzał praktycznie cały czas na powietrzu. Mieszkał z synem i synową, choć w zasadzie było na odwrót; to oni mieszkali z nim, bo pierwszy nastał w domu przy Słonecznej. Dbał o ogród, spacerował po miasteczku, zachodził nad wodę, nie wadził nikomu i tak przeżywał jesień życia, jak to określił kiedyś jego syn. Przeworski pomyślał wtedy, że też chciałby może tak spędzić swoją jesień.

Kiedy wyjaśnił swojemu poprzednikowi cel wizyty, Zajdel zaprosił go do środka, a potem przeprowadził przez dom i wypuścił z drugiej strony.

– Tato! – zawołał. – Gościa masz!

Pokazał ojca Przeworskiemu. Stary Zajdel, krzepki, prawie osiemdziesięcioletni mężczyzna z długimi, białymi włosami zwisającymi po bokach głowy, siedział zgarbiony w kącie ogrodu, w cieniu niewielkiej szopy na narzędzia i z okularami zsuniętymi na czubek nosa ostrzył noże od kosiarki ostrzałką na korbkę. Widząc syna prowadzącego gościa, odłożył wszystko na bok, wstał i ruszył w ich stronę.

– To jest pan dzielnicowy, tato – powiedział nieco głośniejszym głosem Zajdel i Przeworski zrozumiał, że jego ojciec słabo słyszy. – Chce z tobą porozmawiać.

– Ze mną? – zdziwił się stary. – A o czym?

– O Reginie Remus – wtrącił się Przeworski.

– Ubili ją, sukinsyny... – Ojciec Zajdla pokręcił głową.

– Tak. Pan ją znał?

– Znał to może za dużo powiedziane. Kiedyś miewaliśmy kontakt, potem to już różnie.

– To ja was zostawiam, obiad mi się pali. – Zajdel mrugnął do Przeworskiego i zniknął we wnętrzu domu.

Przeworski odprowadził go spojrzeniem, a potem podszedł do starszego pana.

– Opowie mi pan coś o niej? – zapytał głośno, zastanawiając się, czy w sąsiednich ogródkach są jacyś ludzie. Nie spodziewał się jakichś rewelacji czy pikantnych szczegółów z życia Remusowej, ale mimo wszystko wolałby rozmawiać w bardziej dyskretnych okolicznościach.

– A pewnie, że opowiem. Tylko co pan chce wiedzieć?

– To, co pan wie. Kim była? Wiem, że emerytowaną nauczycielką. I że mieszkała tu od urodzenia, miała podobno niemieckie korzenie.

– To się zgadza. Ale kim była? Hmm... – Zajdel zamyślił się. – Przede wszystkim była z pochodzenia Niemką. Jej ojciec, Karl Remus, był skutnikiem. Mieszkał w Neuwarp i został tu po wyzwoleniu razem z żoną, Gertrudą. Najpierw przydawał się Ruskim, potem nam. Polakom, znaczy. Naprawiał łodzie rybackie, uczył naszych fachu, próbował ogarnąć to wszystko w spółdzielni rybackiej. On i Jung. Nie pozwolili im wyjechać razem ze swoimi, kiedy były wysiedlenia w czterdziestym szóstym i siódmym. Na początku mu nie ufali, im obu, ale Karl był pracowity i rzetelny, jak to Niemiec.

Dreptali wokół ogrodu, Przeworski dostosował tempo do powolnego kroku starszego pana.

– Nie była tu podobno lubiana? – zapytał i dodał od razu: – Przyznam, że na mnie też nie zrobiła dobrego wrażenia.

– Nigdy się nie uśmiechała, wie pan? Nigdy. A wie pan dlaczego? Bo jej twarz, a właściwie wyraz jej twarzy to była zasłona. A nawet zapora, rozumie pan? Ona nigdy nie dostała od życia niczego dobrego. Od dziecka. Mój młodszy brat, już nieżyjący, chodził z nią do jednej klasy. Niemra. Tak ją nazywali w szkole. I wtedy, kiedy ona do niej chodziła, i potem, kiedy w niej uczyła, dzieciaki za jej plecami tak ją nazywały. Jeszcze dziś zdarzało się, że słyszałem, jak ktoś na ulicy o niej tak się wyraża. U niej w domu mówiło się tylko po niemiecku. Karl trochę nauczył się po polsku, Gertruda nigdy, ale ona praktycznie nie wychodziła z domu, więc język nie był jej potrzebny. Regina liźnęła trochę polskiego na podwórku, małe dzieci jeszcze są ciekawe innych i język nie jest dla nich barierą. Narodowość też nie. Kłopoty zaczęły się, kiedy poszła do szkoły, bo to, że szybko zaczęła mówić dobrze po polsku i zniknął nawet obcy akcent, niczego nie zmieniło; dalej była przecież Niemką. Nawet wiarę zmieniła, przeszła do rzymskiego kościoła, ale to już później. Jej ojciec nigdy nie był na froncie, nawet w Volkssturmie, przez tę swoją krótszą nogę całą wojnę spędził w Neuwarp, poza tym był świetnym, cenionym fachowcem, więc przynajmniej teoretycznie nie było powodów, żeby wypominać jej przeszłość ojca. Dzieci nie ponoszą odpowiedzialności za winy rodziców, to niby oczywiste, tylko że jest i druga strona medalu: otóż dzieci są okrutne. To nie szkodzi, że jej ojciec nie zabijał i nie gwałcił. Był w NSDAP, ale wtedy praktycznie każdy Niemiec był członkiem tej partii, nie wdając się w historyczne dyskusje. Więc Remusówna zawsze była córką hitlerowca, hitlerówką i tą nieszczęsną Niemrą. Tak ją najczęściej nazywali. To były lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte, pamięć o wojnie była wciąż żywa, a to, że mieszkańcy NRD zostali naszym bratnim narodem, należy zaliczyć do fikcji, bo i tak każdy wiedział swoje. My, dzieciaki, też. Ojcowie dzieciaków mieszkających za wodą zabijali naszych ojców i nasze matki, taka prawda. Ona to wszystko musiała czuć. Nie tylko słyszeć, widzieć

w naszych oczach, ale również czuć. Nienawiść. Pewnie, że brała udział w zabawach szkolnych, wstąpiła do Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, pamiętam, że była gospodarzem klasy i wzorową uczennicą. Ale co z tego. To nigdy z niej nie wyszło i kiedy została nauczycielką i miała pod opieką dzieci z pierwszej, drugiej i trzeciej klasy, wyglądało to tak, jakby mściła się za te wszystkie doznane kiedyś od rówieśników krzywdy. Było kilka skarg do dyrektora, do kuratorium... Ale wie pan, to były inne czasy. Dziś wszystkiemu winny jest nauczyciel, który złego słowa nie może rodzicowi powiedzieć, żeby się nie narazić na nieprzyjemności, ale wtedy... Nauczyciel to był ktoś, zwłaszcza w małych miejscowościach. Kogo by wzięli, gdyby Remus odeszła? Kto by przyszedł do dziury na końcu świata? Więc to tolerowano. Wie pan, to też nie było tak, że działy się jakieś straszne rzeczy. Nawet nie wrzeszczała, już raczej syczała, albo patrzyła na człowieka nieruchomym wzrokiem. Było bicie linijką po rękach albo zostawanie w kozie, mój Romek też nie raz, nie dwa dostał i wiele razy siedział, ale to był w tamtych czasach standard. I tak przez dziesięciolecia kolejne roczniki dzieciaków patrzyły w te zimne oczy i posępną twarz. Z jednym wyjątkiem.

Przeworski prawie zastrzygł uchem. Zajdel zmrużył oczy, jakby chciał lepiej przyjrzeć się zdarzeniom, do których sięgał teraz pamięcią.

– To był rok strajków w Radomiu, czyli siedemdziesiąty szósty. Lato. Wtedy się zmieniła, wie pan? Była rozpromieniona i szczęśliwa. Pojaśniała, aż się ludzie dziwili. Trwało to jakiś miesiąc, może dwa. A potem wszystko wróciło do normy. Tylko że nagle urósł jej brzuch, a w następnym roku urodził się jej syn. A ja pamiętam, że odbył się wtedy transgraniczny rajd rowerowy, podczas którego nowowarpianie gościli mieszkańców Altwarp i okolic. Ona to ogarniała jako Niemka. Być może to owoc jakiegoś spotkania z krajanami, choć ona zawsze bardzo wierząca była i nikomu nie przyszłoby do głowy, że może się... No wie pan...

Nigdy nie puściła pary z ust, kto jest ojcem, choć Remkowi często docinali z tego powodu. Na moje oko to ona się po prostu zakochała w jednym z nich. I z tego zakochania był Remek. A ten szwab musiał ją puścić kantem i dlatego wszystko wróciło do normy, i toczyło się po staremu. Co prawda w tym samym czasie zmarł jej ojciec, więc to też mogła być jakaś przyczyna. No, ale takie czasem jest życie, co nie? Raz górka, raz dołek i w sumie wszystko się wyrównuje, choć bywa, że jedni całe życie mają raj, a inni ciągle pod górę. I ona to chyba była z tych drugich. A ja czasem się zastanawiam, czy trochę nie na własne życzenie. No ale co zrobisz, jak nic nie zrobisz? Niech jej ziemia lekką będzie, jak to mawiają.

Zajdel przystanął nagle i umilkł, wpatrzony w trawnik. Przeworski rozejrzał się po zadbanym rabatach i kwiatowych zagonach. Wiedział już chyba wszystko. Czyli niewiele.

– Dziękuję panu za rozmowę – powiedział cicho, a potem powtórzył głośniej, kiedy Zajdel nadstawił ucha.

– Pomogłem panu?

Aspirant pokiwał głową.

– Myślę, że tak – odparł, choć chyba tak nie uważał.

– To dobrze. – Pomarszczona twarz staruszka rozciągnęła się w uśmiechu. – To dobrze...





Przeworski zauważył, że Owczarek prawie wybuchnął śmiechem, widząc go w drzwiach swojego domu. Odkąd aspirant nastał w Nowym Warpnie, odwiedził miejscowego regionalistę już kilkukrotnie, uzyskując informacje istotne dla sprawy szkieletów znalezionych kilka miesięcy temu na prywatnej posesji w Podgrodziu. Teraz przyszedł po to samo.

Po informacje.

– Ja u pana chyba wynajmę pokój, tak będzie wygodniej – powiedział, też rozbawiony. – Znow przychodzę po prośbie: ma pan może jakieś zdjęcia z imprezy rowerowej, która odbyła się tu w siedemdziesiątym szóstym? Jakiś transgraniczny rajd podobno.

Owczarek wpuścił aspiranta do środka i zamknął drzwi.

– Niestety nie – odparł. – Wie pan, mnie raczej interesują te zdjęcia, na których są budynki. Głównie budynki. A co?

– Chciałbym coś sprawdzić.

Owczarek podrapał się w zamyśleniu w grzbiet nosa.

– Wie pan, w ratuszu mają coś takiego jak kroniki miejskie. Zaglądałem tam kiedyś, zeskanowałem nawet kilka zdjęć do swoich zbiorów. Jeśli to, o czym pan mówi, było jakimś ważnym lokalnym wydarzeniem, może tam to odnotowali?

– Pan tego rajdu nie pamięta?

– Ja tu przyjechałem w osiemdziesiątym pierwszym, przykro mi.

– Jasne. No dobrze, spróbuję w ratuszu, dzięki.

– To nie wejdzie pan dalej?

– Nie tym razem, dziękuję. Ale pewnie niedługo znow się pojawię.

– Zapraszam.

Kilka minut później aspirant był już w urzędzie. Wszedł na górę i przez otwarte drzwi do sekretariatu burmistrza zobaczył Dorotę, jego sekretarkę. Zapukał we framugę, zwracając jej uwagę.

– O, dzień dobry, panie Dominiku. – Uśmiechnęła się szeroko.

– Dzień dobry. – Też się uśmiechnął. – Pani Dorotko, chciałbym zajrzeć do kroniki miasta.

– Coś takiego! – zdziwiła się urzędniczka. – Jest pan drugą osobą, która o to pyta, odkąd tu pracuje.

– Może po prostu nikt nie wie o jej istnieniu?

– Zapewne – zgodziła się. – Nie zapyta pan, kto był pierwszy?

– Wszystko wskazuje na to, że niejaki Zenon Owczarek.

– Właśnie. – Znów uśmiechnęła się szeroko. – On pana tu skierował?

– Owszem. Zwykle wie, co mówi.

– Teraz też wiedział. – Pokiwała głową. – Zapraszam. Nie wiem, czego pan się spodziewa, ale od razu uprzedzam, że nie mamy kompletu.

– Kompletu?

– Mam na myśli, że kronika nie była prowadzona systematycznie. Nie od początku, czyli od czterdziestego piątego. Dziś też nikt jej nie prowadzi. No i były przerwy. Nie jestem w stanie panu teraz powiedzieć, z jakich dokładnie lat mamy albumy, ale zaraz pan to sobie sam sprawdzi.

– Chętnie. Zależy mi na siedemdziesiątym szóstym.

– Nie mam pojęcia, czy jest siedemdziesiąty szósty. – Obejrzała się. – Ale życzę powodzenia.

Weszli na strych zastawiony regałami, Dorota wygrzebała z jednego jakiegoś pudła, a on pomógł jej zdjąć je z półki. Zostawiła go z nimi i zeszła na dół, a Przeworski, pocierając nos, w którym kręciło go od kurzu, zdjął pokrywę pierwszego z pudeł. Nie musiał nawet długo szukać. Życzenia okazały się prorocze, co Przeworski skonstatował z zadowoleniem.

Kronika miejska na rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty szósty była zapisywana w typowym produkcie papierniczym tamtych czasów, obecnym w szkołach i różnych instytucjach. Był to ciężki album w twardych, obłożonych plastikiem okładkach zawierający strony z grubego papieru, a wszystko to połączone ze sobą nitami o ozdobnych główkach. Przeworski otworzył album na pierwszej stronie i przeniósł się w czasie. Widać było, że osobie, która wypełniała strony zapiskami z życia miasteczka, nie brakuje entuzjazmu, choć dużo gorzej było ze zdolnościami plastycznymi. Nieco koślawe litery, krzyczące tytuły i nagłówki, kaligrafowane na pewno z mozołem, choć z niezbyt dobrym efektem, za pomocą flamastrów, czarno-białe zdjęcia wklejane na butapren, wszystko to tworzyło ciekawy miszmasz będący świadectwem epoki nie tylko ze względu na zawartość, ale i na użyte materiały. Aspirant z nieukrywaną ciekawością zanurzył się w nieznanym mu świecie. Zdarzenia odnotowane w księdze nie były jakimiś epokowymi epizodami w jego dziejach, to oczywiste, ale jednak z jakichś względów zafascynowały Przeworskiego. Kiedy dotarł do czerwca, jego oczom ukazał się nagle starannie wklejony arkusz papieru. Gdy go rozłożył, zobaczył mapę Nowego Warpna i okolic zatytułowaną „Rowerowy Rajd Przyjaźni/Freundschaft Fahrradtour 1976”, na której ktoś grubą, czerwoną linią zaznaczył trasę prowadzącą z Altwarp do Nowego Warpna, przez Ahlbeck, Hintersee, Dobieszczyn i Myślibórz Wielki.

W tamtych czasach przejście graniczne w Dobieszczynie formalnie nie istniało, choć już wtedy prowadziła tamtędy dziś dość uczęszczana droga, którą sporo szczecinian wybiera jako alternatywę dla prowadzącej nad morze i zawsze zatłoczonej ekspresówki. Organizatorzy musieli zapewne pokonać wiele przeszkód biurokratycznych i administracyjnych, by rajd doszedł do skutku. Przeworski słyszał, że kiedyś w krajach socjalistycznych kolarski Wyścig Pokoju cieszył się ogromną popularnością i zapewne na jej fali zorganizowano coś na kształt

jego regionalnej odmiany. Dalej kronikarz wkleił zdjęcia, ale nie było żadnego z trasy, a jedynie pojedyncze osoby albo grupowe ujęcia na ulicy lub na tle budynków. Aspirant podejrzewał, że pogranicznicy, zarówno polscy, jak i enerdownscy, maczali w tym palce, w końcu za komuny granica była rzeczą świętą i nawet mały ruch graniczny obwarowany był przepisami. A ponieważ wróg czuwał, zadbali, żeby żadne istotne dla ochrony granicy szczegóły nie znalazły się na zdjęciach.

Ale Przeworski nie potrzebował tych szczegółów. Dla niego hitem dnia była lista uczestników rajdu i ich zbiorowe zdjęcie. Na osiemnastej pozycji aspirant odnalazł znajome nazwisko. Nawet kolor się zgadzał, choć tu napisano je po prostu czerwonym flamastrem, a nie krwią.

Przeworski wpatrywał się w młodego Georga Kustlera, stojącego w zabawnej czapeczce ze swoją kolarzówką u boku, pośród innych rowerzystów i zastanawiał się, co się wydarzyło.

Teraz i wtedy. Bo tak się składało, że między skrajnymi datami rajdu wypadał dzień śmierci Karla Remusa.



1976

Wielka, czerwona wstęga transparentu wisiała na budynku nowowarpieńskiego ratusza. Wiatr podwiewał materiał, który napinał się jak żagiel i falował trzymany linkami przytwierdzonymi do elewacji. Rowerowy Rajd Przyjaźni – 1976 – Freundschaft Farradtour głosiły białe litery. Bo bokach napisu widniały godła Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Regina Remus, która wracała akurat z kościoła, zatrzymała przechodzącego obok sekretarza Gminnej Rady Narodowej, Nowickiego.

- Tu jest błąd – powiedziała, przyglądając się transparentowi.
- Gdzie? – nastroszył się Nowicki.
- Brakuje „h” w wyrazie „Fahrradtour”. – Pokazała mu palcem.
- To duży błąd?
- Duży, nieduży, po prostu błąd. To mniej więcej tak, jakby po polsku napisać „rowrowy” – wyjaśniła.

Sekretarz przyglądał się w zamyśleniu napisowi, a potem zmierzył nauczycielkę niechętnym spojrzeniem.

- Pani Remus – powiedział łagodnym tonem jak do dziecka. – Transparent jest już wykonany, widzi pani, ile to roboty było, pani da spokój.

- Ale to jest błąd! – upierała się.
- To co, pani się tam wdrapie i zdejmie transparent, dorobi literkę i wszyje ją tam, a potem z powrotem zawiesi na ścianie? – Popatrzył na nią kpiąco. – Dźwig specjalnie z Trzebieży przyjechał, żeby to tam zamontować!

– Jak to będzie wyglądać, panie Nowicki, co? – Pokiwała smutno głową. – Śmiać się z nas będą. To nasi goście.

– Dobrze, pani Remus, zobaczymy. – Skapitulował. – A jak tam pani decyzja? Przyjmiecie kogoś?

Oczy jej rozbłysły.

– Tak, zapomniałam powiedzieć. Napisał do mnie nawet jeden z uczestników. Urodził się tu, chciałby u nas zamieszkać.

– No i pięknie, jeden problem z głowy. – Sekretarz ucieszył się i spojrzał na Reginę łaskawszym okiem. – To jeszcze ośmiu zostało.

– Mamy miejsce tylko na jednego, pan wie, panie Nowicki.

Bała się, że będzie naciskał, ale na szczęście tylko machnął ręką, jeszcze raz zerknął zatroskanym wzrokiem na transparent i poszedł w stronę kiosku. Ona natychmiast ruszyła w stronę szkoły, gdy nagle zatrzymał ją jego głos.

– A wy tak w czasie lekcji do kościoła sobie chadzacie?

Poczuła, jak wzbiera w niej złość.

– Mam przerwę, panie Nowicki, okienko, i to moja sprawa, gdzie sobie chadzam. Dzieci bez opieki nie zostawiam, tak? I też mogę zapytać, gdzie pan chadza w czasie pracy. – Wskazała kiosk i znów ruszyła w swoją drogę.

Miała wyrzuty sumienia, bo okłamała Nowickiego. Aparatczyk, nie aparatczyk, ale skłamała. Nie pytała jeszcze ojca. Bała się trochę, podejrzewała, że nie będzie chciał się zgodzić. Ostatnio zrobił się jakiś mrukliwy, unikał ludzi i praktycznie cały czas poza pracą spędzał w domu, nic nie robiąc. Mogła składać to na karb wieku, ale jak na swoje sześćdziesiąt sześć lat trzymał się niezłe, więc nie miała pojęcia, o co może chodzić. Zmówiła w duchu szybkie „Ojczy nasz” w ramach narzuconej sobie pokuty, notując w pamięci, żeby wyznać ten grzech proboszczowi w czasie najbliższej spowiedzi.

Obiad zjadła na stołówce, w budynku świetlicy naprzeciwko szkoły. Siedziała w kącie, z dala od uczniów, którzy wyraźnie



ucichli, widząc ją wchodzącą na salę. Kolejne trzy godziny lekcyjne jakoś zleciały i Regina wróciła do domu. Ojca jeszcze nie było, mogła więc spokojnie przemyśleć, jak zagadnąć go o gościa. Sprzątając kuchnię i szykując mu kolację, którą jadał bardzo wcześnie, planowała przebieg rozmowy, ale za każdym razem dochodziła do jakiegoś zgrzytu. Wszystkie scenariusze, jakie układała w głowie, kończyły się źle, więc w końcu stwierdziła, że zda się na Boga i ślepy los.

Kiedy ojciec wrócił ze spółdzielni, czekało już na niego nakrycie. Regina podała mu kukurydzę, chleb i masło, kielbasę, a do tego herbatę i piwo. Kiedy zabrał się do jedzenia, usiadła naprzeciwko ze swoją herbatą, poprawiła się na krześle i sięgnęła po słoiczek z miodem stojący na środku stołu, dokładnie pomiędzy nimi.

– Tato, co byś powiedział, gdyby ktoś u nas zamieszkał na parę dni? – Wlała odrobinę miodu do herbaty i zaczęła mieszać.

Słuchając, jak łyżeczka cicho brzęczy o szklane ścianki, patrzyła w napięciu, jak też ojciec zareaguje na wiadomość.

– Kto taki? – Remus pociągnął nosem, przebierając widelcem kielbasę, jakby szukał w niej czegoś, czego nie lubił.

– Ktoś z Ueckermünde. Ten rajd, o którym ci mówiłam...

– No?

– W ratuszu pytali, kto chętny do przyjęcia gości z NRD. Weźmiemy? Jednego. Na kilka dni.

– Po co nam to? – zapytał z pełnymi ustami i popił piwem z litrowego kufla, który miał jeszcze po swoim ojcu.

– Nie chciałbyś pogadać z naszymi?

– Naszymi? – Przełknął, odstawił kufel obok talerza i spojrzał na nią, jakby nie rozumiał, o czym mówi.

– Jestem jedyną osobą, z którą możesz porozmawiać po niemiecku. I jeszcze ewentualnie z Jungami. Nie chciałbyś pogadać z kimś innym? Popytać, jak tam u nich jest?

– A bo nam tu źle?

– A dobrze?

– Narzekasz? – Spojrzał na nią znad talerza. – Jeść co nie masz? Ubrać się w co? Deszcz na ciebie pada, dachu nad głową ci brakuje? Mało się nasłuchiwałaś w szkole za dzieciaka? Wiesz, jakie jest najbardziej znienawidzone przeze mnie polskie słowo?

Wiedziała.

Niemra.

Ona też nienawidziła tego słowa, pewnie jeszcze bardziej niż on. Konkurowało o palmę pierwszeństwa w tej niechlubnej kategorii ze „szwabem”, ale ponieważ ona była dzieckiem, a ojciec sobie jakoś radził, to ją bardziej dotknęła Niemra niż jego ten nieszczęsny szwab. W końcu był duży i silny, więc niewielu potrafiło mu to powiedzieć prosto w twarz. Ale zdarzało się.

Ojciec mówił po polsku raczej słabo, kaleczył język, często brakowało mu słów, jednak jakoś funkcjonował w nowej rzeczywistości: przecież spędził w niej już większą część swojego życia, od końca wojny minęło ponad trzydzieści lat. Mało kto nazywał go Karlem, wszyscy zwracali się do niego Karol. Pewnie, że docinki dzieci zniszczyły Reginie dzieciństwo. Teraz mówiła po polsku bez śladu obcego akcentu, nie zapomniała też niemieckiego, bo w tym języku rozmawiali w domu: matka nie umiała nauczyć się słowa po polsku. A może nie chciała? Czasem Regina miała wrażenie, że był to odruch buntu i sprzeciwu wobec decyzji ojca o zostaniu w Nowym Warpnie, a właściwie wobec tego, że nie walczył, kiedy nakazali im zostać. Jedyne sprzeciw, na jaki było ją stać. Była szarą, cichą myszą, typową niemiecką Hausfrau, poruszającą się między kuchnią, kościołem i dziećmi, żyła niezauważenie dla innych i tak samo umarła, w nocy, po cichu, niespodziewanie. Lekarz twierdził, że to był udar, lecz ona sądziła, że matka zdecydowała się odejść w jedyne miejsce, w którym nie trzeba było się jakoś odnajdywać, a jej organizm zaakceptował tę decyzję i tylko ją wykonał. A dobry Bóg przyjął ją do siebie, mimo że matka w momencie śmierci miała niespełna pięćdziesiąt lat, a ona trzynaście.

Regina chciała żyć pełną piersią. Choć powszechnie odbierano ją jako sztywną i zachowawczą, z czego zdawała sobie sprawę, była taka sama jak inne dziewczyny w jej wieku, a to, jak się prezentowała ludziom, było jedynie bezpieczną pozą. Spełniała się zawodowo, ale pragnęła miłości, zabawy, nie widząc w tym sprzeczności z naukami Boga, który nie zabraniał przecież się bawić, wystarczyło, że przestrzegała postów i bawiła się raczej wstrzemięźliwie.

– Mam zapomnieć, kim jestem? – zapytała wyzywająco, może nawet zbyt wyzywająco, ale ojciec nie zwrócił na to uwagi. – Zwłaszcza po tym, co przeszłam?

– Było, minęło – rzucił, a Regina spojrzała gdzieś w bok.

Było, ale nie minęło. Nie minęło, bo echo tamtych obelg wciąż rezonowało w jej głowie. Nie przez cały czas, ale zdarzały się momenty, w których było szczególnie głośne, na przykład wtedy, kiedy wchodziła do klasy na lekcję, a rozbrykane dzieciaki dokazywały, mając ją za nic, nawet kiedy stała już w drzwiach. Wiedziała, że to ich rodzice tak ją nazywali. Zastanawiała się, czy w domu, kiedy wypytują swoje dzieci, co słyhać w szkole, mówią: co tam znowu zadała Niemra? To nie dlatego jej nie szanowały, że była młoda. To dlatego, że była Niemrą. Gdy pewnego dnia weszła do klasy i na tablicy zobaczyła to słowo, nabazgrane kulfonami maskującymi charakter pisma, po prostu starła je gąbką, odwrócona tyłem do klasy, połykając łzy. Walka nie miała sensu.

List od Georga przyszedł na adres szkoły, ale nie powiedziała o tym ojcu. Lepiej, żeby sądził, że to władze złożyły jej propozycję przyjęcia pod swój dach akurat tego konkretnego człowieka. Miała w pamięci niemal całą jego treść:

Droga Panno Remus

Nie znamy się co prawda, ale słyszałem, że jest Pani nietuzinkową osobą. Nazywam się Georg Kustler i urodziłem się w Neuwarp w 1944 roku. Kto wie, być może nawet widzieliśmy się na ulicy bądź w którymś z domów: moim lub Pani, choć nie

możemy tego pamiętać, ale skoro nasi ojcowie byli przyjaciółmi, to zapewne tak było. Wkrótce będę w Neuwarp przy okazji rajdu rowerowego, w którym biorę udział jako jego uczestnik. Z ogromną przyjemnością się z Panią spotkam, wypytam o pewne rzeczy, aby później przekazać je swojemu ojcu. Z przyjemnością również poznam Pani szanownego Tatę. Mam nadzieję, że moja wizyta w tym pięknym miejscu zaowocuje piękną, ponadgraniczną przyjaźnią, w końcu w naszych żyłach płynie ta sama niemiecka krew.

Łączę pozdrowienia, droga Regino, i mam nadzieję, do rychłego zobaczenia!

Georg Kustler

Kiedy ojciec skończył kolację, Regina zabrała mu talerz i odstawiła do zlewu, zgarnawszy pozostałości do wiaderka na śmieci. Został jej ostatni argument. Liczyła na to, że zadziała. Musiał.

– Ten człowiek, który miałby u nas mieszkać... – zagaiła, jakby to było już przesądzone i modliła się gorąco, żeby tak było. – To syn twojego dawnego przyjaciela. Nazywa się Georg Kustler.

Zobaczyła, jak ojciec bieleje na twarzy.

– Pójdiesz do ratusza i powiesz, że nic z tego – powiedział chrapliwie.

Znieruchomiała z ręką na kurku.

– Ale tato, już za późno! Wszystko jest ustalone, o co ci nagle chodzi?

– Kto to ustalił? – Ojciec chwycił za ucho kufła i trzymał go, jakby potrzebował podparcia. – Ten komunista Nowicki? A może najpierw by mnie zapytał?

– Pytał! Pytał mnie – jęknęła Regina. – Nie pomyślałam, że możesz mieć coś przeciwko. Przecież to nasi ziomkowie!

– To nie są dobrzy ludzie, rozumiesz?

– Niemcy? Co ty mówisz?

– Nie Niemcy. Kustlerowie. Różne rzeczy o nich gadali...

– Przecież nawet nie znasz Georga! Był małym chłopcem, kiedy stąd wyjechali!

– Jaki ojciec, taki syn, nie wiesz? Młoda jesteś i głupia.

– Przecież jego ojciec to twój przyjaciel! Tak napisał!

Karl Remus się zgarbił. Wyglądał, jakby postarzał się nagle o kilka lat.

– Co się stało, ojczy? O co chodzi? – zapytała cicho, stając nad nim i kładąc mu dłoń na ramię.

Remus wstał bez słowa, strząsając z siebie jej rękę, ale nie z niechęcią. Już raczej z rezygnacją; po prostu zsunęła się, a przynajmniej tak chciała myśleć Regina.

Pokuśtykał w stronę swojego pokoju. W drzwiach odwrócił się jeszcze i spojrzał na córkę.

– Nie chcę go tu widzieć – rzucił stanowczo.

– Ale tato...

– Powiedziałem!

Zniknął w swoim pokoju, a ona poczuła, jak w gardle rośnie jej kula, i łzy żalu popłynęły jej po policzkach. Takiego scenariusza nie przewidziała w najczarniejszych myślach.



2018

Rano tego dnia Przeworski poszedł pobiegać. Wyruszył o ósmej, pobiegł wzdłuż głównej drogi, potem skręcił na Miroszewo, dokąd dotarł asfaltówką, i zrobił sobie krótką przerwę na pogapienie się na zalew. Była piękna pogoda. Niebo skrzyło się blaskiem słońca, bezmiar pomarszczonej wody również, można było odnieść wrażenie, że jest się gdzieś na południu Europy. Na horyzoncie widać było rozmyte pasmo lądu i sylwetki kilku statków mozolnie zmierzających w stronę Szczecina lub wypływających w morze przez Świnoujście. Ciepły wietrzyk powiewał od strony wody, jednak na spoconej twarzy Przeworski odczuł go jako orzeźwiający chłód. Wrócił lasem przez Podgrodzie, gdzie odwiedził Natalię. Porozmawiali chwilę przed domkiem, w którym miała swoje biuro, i umówili się na późny wieczór, bo aspirant kończył dziś służbę o dwudziestej drugiej.

Kiedy po powrocie do domu rozbierał się, żeby wejść pod prysznic, zadzwonił Cehak.

– Bingo – zaczął krótko, nawet się nie witając.

– Kustler? – domyślił się Przeworski. – To jego paluchy były na nożu?

– Dokładnie. Toczą się już czynności procesowe, wnioskuje o Europejski Nakaz Aresztowania, Suder jest w kontakcie z LKA w Stralsundzie, mam nadzieję, że facet niedługo wyląduje w Szczecinie. Mam też raport z sekcji zwłok. Bez wnikania w szczegóły: przyczyną śmierci Reginy Remus był masywny krwotok spowodowany przebicciem jamy serca nożem kuchennym.

Zero alkoholu we krwi, ofiara nie była pod wpływem środków odurzających, z ciekawostek: stwierdzono średniozaawansowany nowotwór jelita grubego. Knapik twierdzi, że mogła nawet o tym nie wiedzieć, bo guz mógł nie dawać jeszcze dolegliwości bólowych.

– No to ja też cię zastrzelę. Kustler był w Nowym Warpnie w siedemdziesiątym szóstym. To wiem na pewno. Pojawił się tu jako uczestnik polsko-enerdowskiego rajdu rowerowego.

Cehaka chyba zatkało.

– Jak się tego dowiedziałeś? – zapytał w końcu.

Przeworski powiedział mu o kronice miejskiej.

– Możliwe, że to zbieżność nazwiska? – spytał z powątpiewaniem prokurator.

– W kronice jest zdjęcie. To ewidentnie on. Oczywiście czterdzieści lat młodszy, ale podobieństwo jest uderzające. Nie ma żadnych wątpliwości.

– Kolejne ważne pytanie do gościa. Co tam wtedy robił?

– Ja mam jeszcze jedno.

– Jakie?

– Poczekaj... W zasadzie mógłbym sobie na nie odpowiedzieć sam.

– Ale jakie to pytanie?

Przeworski w samych spodenkach ruszył do drzwi.

– Widzisz, wiem też, że w tamtym czasie u Remusowej mieszkał jeden z uczestników tego rajdu. Niemiec. Człowiek, który opowiadał mi o tym, stwierdził, że syn Remusowej mógł być owocem upojonej nocy spędzonej z tym kimś. On nie wie, kim dokładnie był ten Niemiec, ale sam przyznasz, że to wygląda dziwnie.

– Chcesz w bazie PESEL sprawdzić, kto jest ojcem?

– Zgadza się. Tylko muszę zejść na dół. Byłem biegać, nie zdążyłem jeszcze wziąć prysznic. – Aspirant chwycił klamkę.

– Nie schodź. Siedzę przed komputerem, sprawdzę od razu u siebie. Jak on miał na imię? Remigiusz?



– Tak.

Przeworski zawrócił od drzwi i usiadł na kanapie, słuchając oddechu Cehaka i cichego stuku klawiatury.

– Nic z tego. – Cehak cmoknął z niezadowoleniem. – Ojciec nieznany. Nie ma też wzmianki dodatkowej o ustaleniu ojcostwa po sporządzeniu aktu.

– Nie znała nazwiska czy tylko go nie podała? – zapytał Przeworski, zdając sobie sprawę, że nie pozna odpowiedzi na to pytanie, bo nie udzieli mu jej ani prokurator, ani tym bardziej Remusowa, która zabrała tę tajemnicę do grobu. Jediną osobą, która ewentualnie mogłaby jej udzielić, był Kustler.

– Pytaj mnie, a ja ciebie – sarknął Cehak.

– Była bardzo wierząca. Naprawdę głęboko, rozumiesz? Od zawsze. I nagle nieślubne dziecko? Może faktycznie ojcem był Kustler, jej ziomek. To jest do ustalenia jakby co, wiesz o tym, nie? – podkreślił i chrząknął.

– Po co? – zapytał Cehak.

– Co: po co? – Aspirant nie zrozumiał.

– Po co chcesz to ustalać? Trzeba by ekshumować Remusa, Kustler musiałby wyrazić zgodę na pobranie próbek do badań porównawczych... Jaki jest cel?

– To może mieć znaczenie dla sprawy.

– Może trzeba go po prostu o to zapytać?

– I myślisz, że odpowie? Bo mnie się wydaje, że nie. Inaczej teraz na akcie urodzenia w rubryce „ojciec” miałbyś przed oczami jego nazwisko.

– Nie znasz powodów, z których Remusowa nie podała nazwiska ojca dziecka do aktu.

– Ale może jest jeszcze jeden sposób, żeby to nazwisko ustalić.

– Jaki?

– Zrobimy tak: ty zapytasz Kustlera, a ja sprawdzę swoimi kanałami i zobaczymy, kto uzyska lepszy efekt.

– To ma być zabawne?

– Nie. – Przeworski skrzywił się lekko. – Chodzi o to, że mój sposób jest, powiedzmy, nieszablonowy. Ale kto wie, może z Bożą pomocą się uda.

– Wierzysz w cuda? Ty?

– Nie. Ale czasem wierzę w ludzi. Słuchaj... Będę mógł być przy przesłuchaniu?

– Hmm... Znasz niemiecki?

– Tak się składa, że bardzo dobrze.

– A to świetne, bo ja wcale. – Cehak zawiesił na chwilę głos. – Ciągnie wilka do lasu, co? Ty się dobrze zastanowiłeś nad tym zostaniem w Nowym Warpnie? Naprawdę nie chciałbyś wrócić do kryminalnej w Szczecinie?

Przeworski przewrócił oczami. Zaczyna się...

– Nie chodzi o to, że mi brakuje tamtej adrenaliny – odparł z lekkim wahaniem. – Po prostu jestem ciekaw, jak to się skończy. Jakoś tak... Zaangażowałem się mocno.

– Czemu?

– Nie wiem.

– Rozumiem dwa miesiące temu, tam chodziło o dziecko...

Przeworski milczał, czekając, aż Cehak przestanie się nad nim znęcać.

– No dobra, nie wiesz dlaczego, ale chciałbyś trzymać rękę na pulsie?

– Mniej więcej.

– W porządku, dam ci znać, kiedy już będzie wiadomo co i jak. – Prokurator westchnął. – Niby czysta sprawa, niby śledztwo się skończyło, zanim na dobre się zaczęło, ale ta granica wszystko komplikuje. Zobaczmy. Na razie.

– Na razie...

Przeworski rozebrał się w końcu i wziął prysznic. Kilkanaście minut później zszedł na dół, do rewiru, i z biurka wyjął wydruk fotografii, który znalazł u Remusowej, przedstawiającej milicjantów i cywilów przed posterunkiem MO.

W zasadzie już jakiś czas temu powinien zrobić to, co zamierzał, ale wciąż błądził po omacku. Gdyby miał wszystkie posiadane informacje porównać do klocków układanki, to na razie wychodziło mu, że każdy pochodzi z innej. Ale pomimo wrażenia, że kroczy różnymi ścieżkami, miał dziwne przeczucie, że wszystkie prowadzą mniej więcej w tym samym kierunku.

Zamknął interes i ruszył w stronę Warszawskiej, zastanawiając się, czy Owczarek będzie się śmiał, czy już odrobinę irytował.



– Dzień dobry, panie Zenonie. Ma pan chwilę?

Przeworski stał przed drzwiami domu Zenona Owczarka, trzymając w ręku tekturową teczkę.

– Pokój w zasadzie jest już gotowy. – Owczarek roześmiał się. – Pan tylko jeszcze powie, czy woli rolety, czy firanki?

Zaprowadził Przeworskiego na górę. Usiedli na wersalce pod połaciowym oknem, aspirant, nie zwlekając, wyciągnął z teczki wydruk i pokazał go Owczarkowi.

– Chciałem pana zapytać, co pan o tym sądzi? Znalazłem to u Remusowej w domu. Nie wiem, kiedy je zrobiono, orzeł na godle jest bez korony, a wiem, że formalnie takie godło wprowadziła dopiero konstytucja z pięćdziesiątego drugiego.

– Komuniści stosowali takie praktycznie od czasu manifestu PKWN – stwierdził Owczarek. – Od czterdziestego czwartego. Ale tak się składa, że ja wiem, kiedy je zrobiono. W czterdziestym szóstym. Wczesną wiosną.

– Skąd pan to wie?

Owczarek zmarszczył nos. Był bardzo poważny.

– To ja dałem to zdjęcie Reginie. Czy może raczej ja je wydrukowałem.

– Pan? – Przeworski stwierdził, że ostatnio jest wyjątkowo często zaskakiwany.

A nawet nie ostatnio. Ilość zaskoczeń w ciągu ostatnich kilku miesięcy pobytu w Nowym Warpnie przekroczyła tę, które przeżył przez całe życie poprzedzające przybycie tutaj.

– Tak, ja. Przyszła do mnie jakieś dwa, może trzy tygodnie przed śmiercią. Była skrępowana, kluczyła długo, aż wreszcie

zapytała, czy jest mi znane nazwisko Łakisz.

– I było panu znane?

– Owszem. Antoni Łakisz był funkcjonariuszem Gminnego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego przy posterunku Milicji Obywatelskiej w Nowym Warpnie, przebywał tu w czterdziestym szóstym roku. Krótko. Przysłano go tu bodaj w styczniu, a w kwietniu został zabity. Nie zdążył dać się zapamiętać ani ze złej, ani z dobrej strony, przynajmniej nic takiego nie wynika z relacji starych mieszkańców Nowego Warpna. Choć wiadomo, że aniołem nie mógł być. W każdym razie miałem w swoich zbiorach zdjęcie, a w zasadzie skan właśnie tego, które mi pan przyniósł. Zrobiono je chyba już wiosną, sądząc po ubraniach, a więc niedługo przed śmiercią. Pokazał mi je syn jednego z milicjantów. – Owczarek wskazał umundurowanego mężczyznę w dolnym rzędzie po prawej, patrzącego prosto w obiektyw. – Nazywał się Borucki. Zginął tego samego dnia, czy raczej nocy, co Łakisz. Podobnie jak wszyscy pozostali, z wyjątkiem tego. – Wskazał drobnego mężczyznę z rzadkim wąsikiem siedzącego na kolanach jednego z milicjantów. – To był sklepikarz.

– Coś mi to przypomina – mruknął aspirant.

– Podgrodzie w dziewięćdziesiątym siódmym? To ma pan na myśli?

– Owszem. – Przeworski pokiwał poważnie głową.

– Nieee, to zupełnie coś innego. – Owczarek zamyślił się i dodał:

– Choć liczba ofiar podobna. Tylko że to w Podgrodziu to był nieszczęśliwy wypadek, a napad na posterunek milicji był zbrodnią.

– Napad na posterunek?

Owczarek wstał i podszedł do regału pod ścianą. Z najwyższej półki zdjął zielony segregator, wrócił do biurka i położył go przed Przeworskim. Wkładki między okładkami były poznaczane wystającymi z nich kolorowymi zakładeczkami z rocznymi

datami. Owczarek otworzył segregator na tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym.

– Zbieram tu wycinki z gazet, lokalnych i ogólnopolskich, wszystko, co znajdę o Nowym Warpnie i okolicach. – Przewertował kilka kolejnych foliowych wkładek, aż natrafił na to, co chciał pokazać aspirantowi. – „Kurier Szczeciński” z kwietnia czterdziestego szóstego. Skan z roczników ze zbiorów Książnicy Pomorskiej.

Podsunał segregator Przeworskiemu i lekko przekręcił głowę, jakby miał zamiar czytać artykuł razem z aspirantem. Przeworski pochylił się i skupił wzrok na krótkiej notce na dole strony.

Dzisiejszej nocy (24 kwietnia b.r.) nastąpił zdradziecki atak sił reakcyjnego podziemia na posterunek miejski Milicji Obywatelskiej w Warpnie Nowym (pow. wielecki). W wyniku regularnej bitwy bohaterską śmierć od kul z rąk nieznanych sprawców ponieśli por. Urzędu Bezpieczeństwa Łakisz Antoni, podoficer batalionu operacyjnego Wojsk Bezpieczeństwa Wewnętrznego plut. Kotlarz Lucjan oraz milicjanci: sierż. Malicki Eustachy, kpr. Ziębiński Karol oraz st. szer. Borucki Jan. Cześć ich pamięci! Ci młodzi ludzie stojący na straży praworządności naszej odrodzonej Ojczyzny zostali zdradziecko napadnięci podczas pełnienia służby. Ślady pozostawione na miejscu przez sprawców wskazują wyraźnie, że niektórzy nie potrafią pogodzić się z nieuniknionymi zmianami, jakie zachodzą w naszej Ojczyźnie. Nie w smak im, że władza przeszła w ręce ludu pracującego miast i wsi, a sanacja odeszła w zapomnienie, jak wszystkie minione formy ciemnienia chłopów i robotników. Krew bohaterów wsiąknięta w odzyskaną z rąk dawnego okupanta ziemię nie pójdzie na marne, a władze zapewniają, że winni zostaną wkrótce schwytani i osądzeni z całą surowością prawa.

– Co to za ślady? – zapytał Przeworski.

– Podobno przedwojenna rogatywka z orzełkiem w koronie. Znaleziono ją na posterunku, prawdopodobnie zgubił ją jeden

z napastników. A to nie była bitwa, jak tu piszą. – Owczarek wskazał oczami na segregator. – To była rzeź. Egzekucja. Zaskoczyli ich w nocy, po prostu do nich strzelali przez okna, potem dobili. Niczego nie ukradli, nawet broń będącą na wyposażeniu posterunku zostawili, co było dość dziwne, bo przecież u WiN-owców i innych bojowników określanych dziś mianem „żołnierzy wyklętych” z uzbrojeniem było krucho, a jednym z celów takich napadów oprócz zastraszania było dozbrojenie i aprowizacja. Pan jest młody i może pan nie wie, ale takie rzeczy zdarzały się na Ziemiach Odzyskanych. Czasem to Werwolf, czyli niemieckie niedobitki, esesmani ukrywający się w lasach i ruinach, czasem partyzantka antykomunistyczna, jak w tym wypadku... Tu był dziki zachód. Ruscy też swoje dołożyli, choć na tych terenach, u nas, sytuacja było odrobinę lepsza. Zamknięta strefa, przepustki, większość mieszkańców pracowała na rzecz Armii Czerwonej, głównie w zaopatrzeniu w ryby. I jest jeszcze jedna rzecz: autor artykułu minął się z prawdą. Zapewne celowo. Zresztą nigdy więcej nie wspomniano o tym zdarzeniu. O wynikach śledztwa też nie. Jakby sprawy nie było.

– Dlaczego?

Owczarek uśmiechnął się znacząco i spojrzał na Przeworskiego znad okularów.

– I tak były kłopoty z ponowną obsadą posterunku. Nikomu się nie paliło wystawiać na kule. W innych miejscach, gęściej zaludnionych, można było chociaż teoretycznie liczyć na jakąś odsiecz z sąsiedniego posterunku, a tu... No i nie było się czym chwalić, że załoga dała się rozstrzelać zapłutym karłom reakcji, jak się wtedy mawiało. Moim zdaniem ktoś nieopatrznie puścił tę notatkę do numeru. To miała być nie tyle informacja o zdarzeniu, ile zapowiedź odwetu, nekrolog i pean na cześć socjalizmu w jednym. Ale to się już więcej nie powtórzyło. Choć dzięki temu mam klocek do swojej układanki, bo dawni mieszkańcy, którzy mi o tym opowiadali, nie pamiętali wszystkich nazwisk czy stopni.



Tak właśnie bada się historię: zbierając strzępki, które trzeba potem złożyć. Im więcej ich się zbierze, tym lepszy obraz.

– A gdzie ta nieścisłość? – zapytał Przeworski.

– Łakisz nie zginął na posterunku, tylko w swoim domu. Wcześniej był torturowany, pewnie jako ubek najbardziej się dał we znaki tym z podziemia. Był podobno potwornie pobity, prawie nie do poznania.

– To wygląda na jakąś zorganizowaną akcję – stwierdził Przeworski.

– Wie pan, to zawsze była zorganizowana akcja. – Owczarek westchnął. – Wtyki były po obu stronach, nie tylko ubecja wiedziała co w trawie piszczy, często „wyklęci” wiedzieli sporo o ubekach. Na przykład od niechętnych komunie mieszkańców. Musieli dostać cynk, że na posterunku będzie cała obsada... Chociaż przeważnie było tak, że oni zamykali się na noc na cztery spusty i modlili, żeby noc minęła bez jednego strzału.

Przeworski się zamyślił.

– Cała obsada z wyjątkiem Łakisza – mruknął. – A wygląda na to, że na nim właśnie najbardziej im zależało. Więc po co ryzykowali napad na posterunek? Nieważne, ilu ich było, pięciu, dziesięciu czy nawet dwudziestu: szli przeciwko pięciu uzbrojonym funkcjonariuszom...

– Młokosom – przerwał mu Owczarek.

– Uzbrojonym młokosom – doprecyzował aspirant. – Ryzykowali tak czy siak. Coś słabe to rozpoznanie, skoro musieli potem przejść do jego domu. Chyba że...

– Chyba że?

– Wiedzieli, że go tam nie ma, ale wyeliminowali potencjalne zagrożenie interwencją, wiedząc, że będą się z Łakiszem zabawiać dość długo. Albo... Albo na przykład zabrali go tam ze sobą z posterunku. Do jego mieszkania.

– Po co?

– Zginął pierwszy czy ostatni?

– Nie wiadomo. – Owczarek wzruszył ramionami. – Ale jeśli pierwszy, to pana teoria bierze w łeb. To byłoby bez sensu.

– A jeśli ostatni?

– To co wtedy?

– To niekoniecznie musiała być wyrafinowana i bolesna zemsta, choć to możliwe.

– Tylko co?

– Przesłuchanie. – Przeworski położył palce na foliowej wkładce, w której tkwiła kopia strony z „Kurierem”. – W końcu ubecy robili tak samo. Sadzanie na odwróconym taborecie, tarany powietrzne, czyli uderzanie dłonią w uszy, bicie w podeszwy stóp i cały arsenał tego typu metod. Być może chodziło o wydobycie z Łakisza jakichś informacji. Ale po pierwsze, już się tego nie dowiemy, a po drugie, bardziej interesuje mnie, dlaczego Regina Remus tak zainteresowała się tym tematem.

– Tego nam nie powie.

– No, nie powie... Nie twierdzę, że to może mieć związek z jej śmiercią, bo nie ma ku temu na razie żadnych podstaw. – Wzruszył ramionami.

– Ale? – zapytał chytrze Owczarek.

– Nie ma żadnego „ale” – odparł Przeworski.

– To po co było to „na razie”? Freudowskie przejęzyczenie?

Przeworski spojrzał zagadkowo na Owczarkę.

– Wierzy pan w przeczucia? – zapytał.

– Absolutnie nie.

– Ja niby też nie... – Aspirant urwał nagle i wyprostował się gwałtownie. – Wydrukuj mi pan tę fotografię?

– No właśnie z tym będzie problem. – Owczarek sapnął i zmarszczył nos, a okulary zjechały na jego czubek. – Tydzień temu padł mi dysk, na którym trzymałem setki gigabajtów danych, głównie zdjęć. Te najcenniejsze mam w kilku innych miejscach, ale to sprzed posterunku nie było jakimś rarytasem. W każdym razie nigdzie indziej go nie mam.

– A ten syn milicjanta, który je panu udostępnił?

– Leszek zmarł kilka lat temu. Jego rodzina, która przejęła dom, opróżniła go ze wszystkiego. Nie było mnie wtedy na miejscu, bo pewnie bym poprosił o możliwość pogrzebania w papierach, a kiedy wróciłem, było już za późno. Rozmawiałem też z firmą informatyczną odzyskującą dane z uszkodzonych nośników, ale zaśpiewali osiem tysięcy. Widzi pan, może jestem szurnięty, jeśli chodzi o zainteresowanie tym regionem, ale nawet ja mam granice. Ale jest jeszcze szansa. Moja córka jest historykiem i poprosiłem ją o pomoc w imieniu Reginy. Z racji pracy naukowej ma częste kontakty z IPN-em i obiecała, że wyciągnie mi akta Łakisza, jeśli w ogóle są jakieś. W każdym razie sprawdzi. – Owczarek dotknął dziury w papierze i spojrzał na Przeworskiego. – Jak pan myśli, skąd to?

Aspirant wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Wygląda jak podziobane jakimś ostrym narzędziem. I to wielokrotnie; gdyby zrobiła to tylko kilka razy, coś byłoby widać, te kawałki by nie poodpadały. A tak... Musiała działać w jakimś zapamiętaniu, niech pan zobaczy, naokoło też jest kilka nacięć, jakby nie trafiała. To musiały być zamaszyste ciosy. Nożem albo nożyczkami, śrubokrętem, czy czymkolwiek, co akurat miała pod ręką.

– A jeśli to nie ona?

– Zgadza się, nie ma stuprocentowej pewności. Po co to trzymała, zamiast wyrzucić? Same zagadki... – Coś mu się nagle przypomniało. – A co pan sądzi o tych więźniach, których ciała znaleźliśmy przy cmentarzu?

– Co mam sądzić? – Owczarek wzruszył ramionami i poprawił okulary, a potem zdjął je i zaczął przecierać skrajem koszuli. – Nawet Marek Łuczak wspominał, że najbliższe obozy były w Ravensbrück i Sachsenhausen.

– To nie jest aż tak daleko stąd – mruknął Przeworski.

– Słucham?

– Mówię, że to nie tak daleko od Nowego Warpna – powtórzył. – Sto i sto dwadzieścia kilometrów w linii prostej. Drogami trochę więcej.

– Co pan sugeruje?

– Że to nie jest aż tak nieprawdopodobne, że się tu znaleźli. Pytanie brzmi, po co.

– Można tylko zgadywać – zgodził się Owczarek. – Może miał tu rodzinę komendant któregoś z tych obozów i wysłał ekipę fachowców do remontu domu? Pan w wojsku nie był, ale mało to razy chłopaków z fachem w ręku wysyłali do domów oficerów, żeby coś naprawili, wyremontowali, wybudowali? A Ravensbrück był obozem pracy, a nie śmierci. Tam trzymano fachowców potrzebnych do odbudowy zniszczeń po alianckich bombardowaniach w niedalekim Berlinie.

– I co, nagle po skończonej robocie wszystkich by zabili, zamiast po prostu odesłać do obozu?

– Może tak było wygodniej i prościej? Pan wie, co to były za czasy?

Przeworski pomyślał, że to kolejna po Ossowskim osoba stwierdzająca ten dość oczywisty fakt, który on jednak uznawał za zbyt uogólnianie. Nie ulegało wątpliwości, że hitlerowcy tak postępowali, ale on nie uważał tego za aż tak oczywiste, by wykluczyć odstępstwa od zasady. I lubił drażnić: to czasem przynosiło efekty.

– Niemcy cenili fachowców – stwierdził Przeworski – Myślę, że to nie był problem odesłać ich do obozu. Coś musiało się stać, że ich wszystkich zabili. I tu również jest zagadka, bo część ofiar zginęła od strzału w głowę.

– Zostali rozstrzelani?

– Nie do końca. Na kościach nie było śladów postrzałów, jedynie w pięciu czaszkach stwierdzono otwory po pociskach, w trzech z nich były kule. To bardzo mało prawdopodobne, żeby przy takiej ilości ofiar ani jeden pocisk nie trafił w kość. I skoro w mogile nie

było więcej pocisków, to oznacza, że nie było ich w ciałach. Więc to nie było rozstrzelanie, tylko po prostu strzał w głowę. Tak też zresztą twierdzi antropolog sądowy. Ale dlaczego tylko pięciu z nich? I jak zginęła reszta?

– Może w komorze gazowej? Myślał pan o tym? Takiej ruchomej. Spalinowej, od jakich zaczęli eksperymenty. Szczelna ciężarówka.

– To również sugerował antropolog.

– Tak, to możliwe. Ale dalej uważam, że im było prościej zabić więźniów na miejscu, niż odsyłać do obozu.

– Wie pan... Wśród ofiar byli zarówno Żydzi, jak i Niemcy. Tak przynajmniej wynikało z zachowanych fragmentów oznaczeń na pasiakach.

– Co pan powie?

– Takie mam informacje.

– To może potwierdzać moją teorię o fachowcach.

– A mnie zastanawiają te proporcje. Pół na pół. Również to, w jaki sposób zadano śmierć.

– Kwestia przypadku.

– Albo i nie.

– Albo i nie – zgodził się Owczarek. – Faktycznie, w nazistowskiej maszynie śmierci rzadko kiedy cokolwiek pozostawiano przypadkowi. Tylko co miałyby to oznaczać?

– Nie wiem. – Przeworski wzruszył ramionami i wstał.

Za oknem widział korony drzew i prześwitującą pomiędzy nimi tafłę jeziora. Podziękował i pożegnał się, zostawiając zamyślonego gospodarza; nie padło ani jedno słowo o pokoju dla Przeworskiego.

Ale aspirantowi też nie w głowie były żarty, bo czuł dokładnie to samo. I ciągle myślał o ostatnich słowach emerytowanej nauczycielki, jakie usłyszał od niej u siebie w rewirze. Tych o ludziach ściganych przez upiory przeszłości.

Jakie upiory ścigały Reginę Remus?



1976

– Bardzo ci zależy, żeby go przyjąć pod nasz dach?

Regina spojrzała na ojca szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami.

– Dlaczego pytasz? Co się stało? Zmieniłeś zdanie?

Ojciec milczał, patrząc gdzieś w kąt pokoju, i masował chromą nogę.

– Przepraszam cię. Przemyślałem sobie coś i wiem już, że się pomyliłem. Już nawet nie chodzi o to, że dzieci nie powinny odpowiadać za grzechy ojców, bo nie powinny. Bo to nieprawda, że dzieci są jak ojcowie. Jesteś tego najlepszym przykładem.

– Nie jestem podobna do ciebie? – zdziwiła się.

Opuścił wzrok i patrzył przez chwilę na swoje spracowane dłonie, pocierając kciukiem jednej o wierzch drugiej, jak to często robił, gdy próbował zdrapać zaschnięty pokost.

– Jesteś i nie jesteś – mruknął. – Ale jesteś przede wszystkim sobą i niech tak pozostanie. – Westchnął. – Pamiętam trochę tego Georga, chociaż widziałem go może ze trzy razy. Kiedy uciekli, miał jakieś trzy, cztery lata.

– Jak to uciekli?

– Normalnie. Po lodzie. Ich też nie chcieli wypuścić, właściwie Eugena. Był lekarzem i uznali, że się przyda, a Erwin nie chciał wyjeżdżać bez brata. Spakowali się którejs nocy, zimą z czterdziestego siódmego, cała rodzina i przeszli przez skutny lodem zalew do Altwarp. Nie wiem, co się z nimi działo dalej. Może się wkrótce dowiemy...

Serce Reginy podskoczyło z uciechy. Wyglądało na to, że Bóg wysłuchał jej próśb.

– Dlaczego powiedziałaś, że to byli źli ludzie? – zapytała, starając się, żeby w jej głosie nie dało się wyczuć radości, jaka ją ogarnęła.

Ojciec wpatrywał się w ścianę, ale Regina wiedziała, że jego wzrok sięga daleko poza mur i nawet to, co jest za nim. Karl Remus patrzył teraz w odległą przeszłość.

– Te czasy na szczęście minęły. A były straszne. Nie ma sensu do tego wracać. Zostawiłem to za sobą. – Przeniósł spojrzenie z powrotem na nią i na moment na jego twarzy ukazał się lekki uśmiech. – Więc mówisz, że napisał do ciebie?

– Tak. – Poczowała, że lekko czerwienieje i zaczęła się w duchu modlić, żeby ojciec nie zauważył. – Wygląda na to, że jest wykształcony i całkiem miły.

Może niekoniecznie musiała mówić o tym drugim, ale było już za późno.

– Brakuje ci miasta, co? – Ojciec chyba tego nie zarejestrował.

Chyba pamiętał, z jakim entuzjazmem opowiadała mu o Poznaniu, w którym studiowała. Być może nawet zdawał sobie sprawę, że wróciła do Nowego Warpna wyłącznie dlatego, żeby się nim opiekować, a nakaz pracy tylko przypieczętował tę decyzję.

– Tylko czasami, tato – przyznała cicho.

– Niech mieszka u nas. – Ojciec westchnął. – Ugościmy go.

Ta rozmowa odbyła się dwa tygodnie wcześniej i Regina wspominała ją teraz, stojąc na chodniku nieopodal ratusza. Panował skwar, żar lał się z nieba i wszyscy zastanawiali się, w jakiej kondycji do mety pod ratuszem dotrą uczestnicy rajdu. Nie byli profesjonalnymi zawodnikami, lecz amatorami, a to nie był wyścig, tylko właśnie rajd. Według organizatorów miał wzmacniać międzynarodową przyjaźń dwóch socjalistycznych narodów i w imię tej przyjaźni kilkadziesiąt osób – Niemców



i Polaków – przez trzy dni pokonywało trasę z Ueckermünde do Nowego Warpna.

Regina była kilka razy w NRD. O wizycie w Niemczech Zachodnich nawet nie marzyła. Niemiecka Republika Demokratyczna była i nie była krajem jej przodków, i to samo można było powiedzieć o NRF. Kraj jej przodków jako taki nie istniał, a ona była po prostu Niemką żyjącą od urodzenia w Polsce. Niemcy Wschodnie w porównaniu z Polską jawiły się jej trochę jak inny, lepszy świat, nawet mimo podobnego ustroju, choć widać było jedną, za to istotną różnicę. Tam był porządek. A tu był bałagan, z którym walczyła w każdy możliwy sposób. Danuta, jej koleżanka ucząca historii, tłumaczyła, patrząc na nią dziwnie, że to wszystko ponemieckie, a skoro ponemieckie, to niczyje. Argumentację Reginy, że przecież żyją tu, mieszkają, więc powinni o to dbać, kwitowała wzruszeniem ramion i stwierdzeniem, że być może wszystko się zmieni i te ziemie znów staną się niemieckie. Regina tego nie rozumiała.

Tak naprawdę można było powiedzieć, że była pół Niemką, pół Polką: w jej żyłach płynęła niemiecka krew, a w domu kultywowano niemieckie zwyczaje, ale jej stopy chodziły po polskiej ziemi, a usta wypowiadały polskie słowa. To dlatego przez długi czas myślała, że Niemra to polsko-niemiecki mieszaniec, kundel. Kiedy dorosła, uświadomiła sobie, że zazdrości tym prostym ludziom jednej rzeczy: nie zastanawiali się nad swoją tożsamością. Chcieli tylko zjeść, napić się i wyspać. Nawet ich wiara była płytka i na pokaz; w niedzielę chodzili na mszę, a potem otwierali butelkę wódki i wieczorem zachowywali się jak zwierzęta albo i gorzej.

Studia na polonistyce były dla niej trochę jak zemsta na tych wszystkich prymitywach, które zmieniły jej dzieciństwo w koszmar. Władza teraz polskim lepiej niż którykolwiek z nich, prostaków o ubogim zasobie słów, nieczytających książek, używających podstawowych zwrotów, wulgarnych zamienników

i niepotrafiących poprawnie sklecić średnio skomplikowanego zdania. Uczyła ich dzieci ojczyznojęzyka, którego nie znały i nie poznają nigdy tak dobrze jak ona.

Chichot losu. To ona mogła się teraz śmiać. Niemra pokazała im, kto jest lepszy, choć nikt z nich nie zdawał sobie z tego sprawy, ale nie obchodziło jej to.

– Ja bym tę trasę w jeden dzień zrobił – przechwalał się jakiś młokos stojący w tłumie.

– To byś musiał najpierw wytrzeźwieć – zgasił go ktoś.

Regina czekała. Czekała na kolarza z numerem czternastym. Wiedziała, że wszyscy przyjadą razem, bo tu nie chodziło o zwycięstwo, ale chciała zobaczyć go jak najszybciej. Nie miała pojęcia, jak wygląda, w duchu liczyła, że jest piękny, choć razem z tą myślą kielkowała inna: czy to aby nie grzech.

– Jada!

Głowy zwróciły się w prawo. W perspektywie ulicy Kościuszki zamajaczył peleton, ręce dzieci dzierżące papierowe biało-czerwone i czarno-czerwono-żółte chorągiewki uniosły się i zafurkotały, a ludzie zaczęli nieśmiało bić brawo. Niecałą minutę później grupa rowerzystów była koło nich.

– Eee, Szurkowski, dawaj! – Bełkotliwy głos zniknął w ogólnym aplauzie.

Entuzjazm nie był udawany, chociaż Nowicki chodził po domach i prosił, żeby ludzie się starali, a w ramach zachęty zorganizował automaty do waty cukrowej i saturatory, które miały przyciągnąć dzieci, a z nimi dorosłych. Z Podgrodzia, Miroszewa i okolicznych siedlisk, na których stacjonowały obozy harcerskie, spędzono młodzież, wopiści załatwili grochówkę i wszystkim udzieliła się atmosfera lokalnego święta. Nawet pogoda dopisała, choć skwar mógłby być odrobinę lżejszy.

Regina wypatrywała Georga, jednak pochyleni nisko nad kierownicami rowerzyści minęli ją w takim pędzie, że nie zdążyła odczytać żadnego numeru, no może z wyjątkiem pewnego

marudera, który jechał na samym końcu i ciągle zerkał na tylne koło. Kiedy peleton dotarł na plac Zwycięstwa, ludzie ruszyli w tamtą stronę, a Regina z nimi. Dzieci biegiem wysforowały się naprzód, reszta została w tyle i rozbawiona komentowała przejazd. Najlepsze miało się dopiero zacząć.

Regina jedna z pierwszych dotarła pod ratusz, z sercem bijącym mocno z powodu pośpiesznego kroku. Lekko zdyszana rzuciła okiem na transparent wiszący na ścianie urzędu Gminnej Rady Narodowej: oczywiście dalej brakowało na nim litery „h”, ale Reginie jakoś to przestało nagle przeszkadzać. Wspięła się na palce i nad głowami ludzi zobaczyła niewielką, zbitą z desek trybunę, którą budował między innymi jej ojciec. Nie było go tu, został w domu, nie miał ochoty oglądać zbiegowiska, a Reginie to nawet pasowało.

Na podeście stali uczestnicy rajdu, stłoczeni na niewielkiej przestrzeni razem ze swoimi rowerami, wszyscy trzymali skromne bukiety przywędłych od upału białych i czerwonych goździków, i najwyraźniej nie bardzo wiedzieli, co z nimi zrobić. Za podwyższeniem zobaczyła sekretarza Nowickiego, w garniturze, pocącego się na potęgę i co rusz wycierającego czoło wielką chustką do nosa. Nagle Nowicki zerknął na zegarek, schował chustkę, zbliżył nos do mikrofonu, dmuchnął i kiedy wszyscy usłyszeli chrobot dobiegający z porozwieszanych na latarniach głośników, ciche rozmowy ustały i ludzie zamilkli.

Sekretarz uśmiechnął się jowialnie, potoczył wzrokiem po zebranych i rozłożył ręce w gospodarskim geście powitania.

– Jako tutejszy władarz, zanim oddam głos szanownym gościom, pozwolę sobie zacząć. – Jego głos rezonował w blaszanych szczekaczkach. – W roku olimpiady, zbliżającego się wielkimi krokami sportowego święta, podczas której miejmy nadzieję przedstawiciele naszych bratnich narodów odniosą zwycięstwa w dyscyplinach kolarskich i nie tylko, mamy zaszczyt gościć cyklistów amatorów z naszego kraju oraz z Niemieckiej Republiki

Demokratycznej, z nieodległych miast tego pięknego, socjalistycznego kraju. Ten podniosły moment kończy Rajd Przyjaźni, który na długo pozostanie w naszej pamięci: zarówno nowowarpian i mieszkańców okolicznych wsi, jak i naszych niemieckich towarzyszy z miast i wsi po drugiej stronie granicy...

– Pierdoli jak potłuczony – sapnął ktoś za plecami Reginy i choć zgadzała się z tym kimś, to forma, w jakiej zostało wyrażone niezadowolenie, tylko potwierdzała jej zdanie o większości ludzi.

– Za chwilę uhonorujemy uczestników rajdu pamiątkowymi medalami, potem głos zabierze przedstawiciel władz powiatowych Ueckermünde, towarzysz Jürgen Stollberg, a po nim członek prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej ze Szczecina, towarzysz Walczewski Marian. Brawo! – Nowicki zaczął klaskać, a zanim ludzie zareagowali, wzmocnione głośnikami rytmiczne klepanie skóry o skórę wwierciło się w uszy zebranych.

Regina przepchnęła się do przodu i wreszcie mogła zobaczyć wszystkich. Georg stał w środku, był dużo wyższy od pozostałych, czternastka na jego piersi nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Obcisły strój podkreślał jego sylwetkę, nagie łydki i przedramiona lśniły potem na opalonej skórze, ciemne włosy wysmykiwały się spod czapeczki z daszkiem. Regina odczuwała grzeszną przyjemność z patrzenia na tego człowieka. Na tego mężczyznę. Był taki inny od wszystkich pozostałych, których znała. Był... światowy, takie określenie przyszło jej do głowy. Patrzyła na niego nieświadoma zachwyty, jaki błyszczał w jej oczach.

I wtedy Georg Kustler na nią spojrzał. Jego wzrok zatrzymał się na niej przez kilka sekund, potem nieśmiały uśmiech rozjaśnił jego twarz i Regina już wiedziała, że domyślił się, że to ona.



2018

Poradnia POZ mieściła się przy ulicy Welletów. Przeworski poszedł tam po południu, wcisnął się między pacjentami i poprosił lekarza o chwilę rozmowy po ostatniej wizycie. Ten obrzucił go zdumionym spojrzeniem i zaprosił na piętnastą trzydzieści. Kiedy aspirant ponownie zjawił się w przychodni, w gabinecie był już tylko lekarz.

Nazywał się Kulig, był specjalistą medycyny rodzinnej i wyglądał jak dwudziestolatek, mimo że włosy po bokach głowy zaczynały mu już siwieć. Przeworski słyszał kiedyś od kogoś, że na początku doktor nie wzbudzał w starszych pacjentkach krzty zaufania, właśnie przez młody wygląd, który w ich mniemaniu przekładał się na brak doświadczenia. Poza tym Kulig miał ze dwa metry wzrostu, lekko zaokrąglony brzuch, a na nosie maleńkie okulary o silnych szklach. I był w koszuli i krawacie.

– Słucham pana. – Poza, jaką przyjął za swoim biurkiem, wzbudziła w Przeworskim to lekkie ukłucie niepokoju, towarzyszące mu podczas każdej wizyty u lekarza.

A był tu przecież służbowo.

Usiadł naprzeciwko i położył aktówkę na biurku.

– Chciałbym uzyskać kilka informacji o Reginie Remus – zaczął.

– W związku z morderstwem?

– Tak, oczywiście.

– Mówimy o informacjach medycznych dotyczących pacjentki?

– Tak.

– Przykro mi. Nie mogę ich panu udzielić. Obowiązuje mnie tajemnica lekarska i pan przecież o tym dobrze wie.

Aspirant pochylił lekko głowę i zerknął na siebie, czy może nie pomylił się i przyszedł w bluzie z kapturem, ale nie, mundur był na miejscu, czyli na nim.

– Zgadza się, wiem – przytaknął zgodnie: spodziewał się oczywiście czegoś takiego. – Ale skoro ona nie żyje...

– To niczego nie zmienia. – Lekarz wpatrywał się w niego spojrzeniem krótkowidza; oczy za szklami wydawały się wyłupiaste. – Śmierć pacjenta nie oznacza, że tajemnica przestaje mnie obowiązywać.

– Dobrze – westchnął aspirant. – Nie będę straszył pana prokuratorem...

– Jemu też niczego nie powiem, dopóki z tajemnicy nie zwolni mnie sąd.

– Właśnie o tym mówię. – Przeworski uśmiechnął się do niego łagodnie. – I powiem też, o co mi chodzi, a pan mi się ewentualnie zrewanżuje informacjami w takim zakresie, w jakim pan uzna za stosowne. Oczywiście wszystko zostaje między nami, bo zamierzam panu zdradzić kilka szczegółów ze śledztwa, których nie powinny znać osoby postronne.

Kulig patrzył na niego wciąż takim samym wzrokiem i Przeworski poczuł się, jakby miał zaraz usłyszeć polecenie w rodzaju: proszę się rozebrać, zobaczmy, co my tam mamy.

Nie przepadał za lekarzami, to było u niego rodzinne.

– Niech pan mnie nie traktuje jak dziecka – powiedział cicho Kulig. – Powiesz mi, gdzie mamusia trzyma pieniądze, to dostaniesz cukierka, tak?

– Nie traktuję pana jak dziecka, obaj jesteśmy dorośli – odparł, zastanawiając się, czy facet nie ma czasem kompleksów na tle swojego wyglądu. – Zamordowano człowieka i podchodzę do tej sprawy poważnie, tak poważnie, jak tylko na to zasługuje. Nie prowadzę śledztwa, żeby było jasne, jestem dzielnicowym, ale

zbieram informacje dla prokuratury, bo taka jest między innymi moja rola. Sekcja wykazała, że Regina Remus miała nowotwór jelita grubego. Nie powiem panu, jaki to rodzaj guza ani w jakim stopniu zaawansowania, bo tego nie wiem, dostałem tylko taką informację. Sprawa jej choroby mnie interesuje, jeśli ma ewentualny związek w jej zabójstwem.

– A może mieć?

– Wszystko może mieć z tym związek. To jest żmudna robota, a czasem najdrobniejszy szczegół potrafi zmienić przebieg śledztwa.

Kulig wstał i podszedł do okna. Przeworski patrzył na sylwetkę wielkiego jak dąb faceta, który z założonymi z tyłu rękoma wyglądał na cichą uliczkę.

– Nie wiedziałem, czy ma nowotwór – powiedział w końcu, nie odwracając się. – Choć miałem takie podejrzenia, że coś złego dzieje się w układzie pokarmowym. Zgłosiła się kilka tygodni temu z bólami brzucha i nawracającymi biegunkami. Trwały od jakiegoś roku. Parę razy zobaczyła w stolcu krew. W dodatku spadek masy ciała, może nie znaczący, ale zauważalny. Jej dieta nigdy nie była zbyt zdrowa, poza tym miała dużo stresu. Biorąc to wszystko pod uwagę, uznałem, że należy zachować daleko posuniętą czujność onkologiczną i zleciłem panel badań w kierunku nowotworu. Oczywiście morfologia, USG jamy brzusznej, gastroskopia, kolonoskopia. Nalegałem, żeby potraktowała to poważnie.

– Czyli poszła do prywatnego gabinetu?

– Żeby potraktowała to poważnie. – Głos lekarza był chłodny.

– I co?

Kulig odwrócił się do Przeworskiego.

– I nic. – Wzruszył ramionami. – Przyszła jakiś czas później na wizytę, a kiedy zapytałem o wyniki badań, albo czy chociaż się zarejestrowała, powiedziała, że ich nie robiła i chciałyby tylko jakieś tabletki na biegunkę, ewentualnie coś przeciwbólowego.



Tłumaczyła mętnie, że nie ma jak pojechać do Polic, a kiedy ją przycisnąłem, powiedziała, że Bóg i tak ma swoje plany. Wie pan... – Podrapał się w brew. – Zauważyłem zmiany w jej zachowaniu, mogące świadczyć o nie najlepszym stanie psychicznym. Nie będę się silił na diagnozę, bo nie jestem specjalistą, ale to było widać na pierwszy rzut oka. Zapytałem nawet, czy chciałaby skierowanie do poradni zdrowia psychicznego, ale odmówiła. Nakrzyczała nawet na mnie, że coś insynuuję, ale wie pan, jaka ona była... – Zerknął na Przeworskiego. – Wie pan?

– Tak – potwierdził krótko Przeworski.

– Składałem to na karb samobójczej śmierci syna. – Kulig rozłożył ręce. – Mówię o tym tępnięciu. Ale ja wyczerpałem swoje możliwości. Pacjentka została poinformowana o konsekwencjach niediagnozowania się, o zaniechaniu leczenia nie wspominając. Nic więcej nie mogłem zrobić.

– Jasne. – Aspirant wstał. – Nie wspominała, że ktoś się nią opiekuje?

– Nie. – Lekarz pokręcił głową. – Nie rozmawialiśmy o tym. Ona była bardzo skryta, to też pan wie?

Przeworski rozejrzał się po gabinecie i westchnął.

– Wiem – odparł. – No nic, dziękuję serdecznie za pomoc.

– Nie ma sprawy – mruknął Kulig. – A jak już jesteśmy przy pomaganiu... Wie pan, ja tu przyjeżdżam ze Szczecina motocyklem...

– Tak? – Przeworski uniósł brwi.

– Tydzień temu natknąłem się na pana kolegów za Trzebieżą...

– Rozumiem.

– Najbardziej bolą te punkty. – Opuścił głowę, wyraźnie zawstydzony, aż Przeworskiemu przez chwilę zrobiło się go autentycznie żal.

– Nie mogę panu niczego obiecać – powiedział sucho, po czym pochylił się ku niemu i ściszył głos: – Zrobię, co mogę, ale może

być jedna, za to poważna przeszkoda: z jakichś powodów okropnie  
mnie w komendzie nie lubią...



1976

– Ile masz lat? – zapytała.

– Trzydzieści dwa. A ty?

– Trzydzieści.

– Czyli to możliwe, że spotkaliśmy się już gdzieś na ulicy w Nowym Warpnie, zanim wyjechałem, choć oczywiście nie możemy tego pamiętać. – Spojrzał na nią z uśmiechem. – Nikogo nie masz?

– Masz na myśli męża?

– Nno...

– Czemu pytasz?

– Z ciekawości. – Mrugnął do niej.

– Jestem starą panną. Z wyboru, mój drogi, żebyś nie myślał.

– Nie myślę.

– Nie?

– Nie. To małe miasto, o to ci chodzi?

– Mniej więcej. – Skrzywiła usta.

– Jesteś piękną kobietą, Regino.

– A ty... czarusem. – Użyła polskiego słowa.

– Co to znaczy... Tscharusch? – powtórzył z trudnością.

– To ktoś taki, kto prawi kobiecie komplementy, licząc na coś.

– Na co ja mogę liczyć?

– Nie wiem, ty mi to powiedz... – Po chwili przestraszyła się swojej śmiałości.

Była zauroczona Georgiem Kustlerem: jego erudycją, osobowością oraz fizycznością i bardzo szybko zdała sobie z tego

sprawę. I to ją przerażało. Głównie z tego powodu, że wzbudzał w niej uczucia, których nie doświadczała nigdy wcześniej, a właściwie chodziło o to, że nie wzbudzał w niej ich do tej pory żaden inny mężczyzna. Nie w takim natężeniu. Śnił jej się w nocy. Świadomość, że śpi w sąsiednim pokoju, u ojca, podziałała jak afrodyzjak. Niemal czuła jego fizyczną obecność w swoim łóżku, a w środku nocy obudziła się, czując w dole brzucha falę niewysłowionej, grzesznej rozkoszy, która pochłonęła ją tak, że musiała zagryźć poduszkę, żeby nie krzyczeć.

Dziś rozmawiali na bardziej osobiste tematy. Wczoraj byli sami tylko przez kilka chwil pod sam koniec dnia, pozostały czas spędzali z jej ojcem i innymi gośćmi z NRD, więc rozmowy były oficjalne, dotyczyły ogólnych tematów, ale też literatury czy muzyki. Pojutrze Niemcy mieli jechać na wycieczkę do Szczecina, więc ten dzień zapowiadał się bez Georga i Regina już czuła się z tym źle. Zostało im jutro i te kilka godzin przed jego wyjazdem.

Rano pojechali rowerami do Podgródzia, gdzie siedzieli wśród trzciny na końcu cypla i wpatrywali się w wodę, rozmawiając o wszystkim. Prawie o wszystkim. Georg nie chciał mówić o swojej rodzinie, a ona to uszanowała. Powiedział jej, że pasjonuje się żeglarstwem, że chciałby kiedyś budować jachty, a nie tylko na nich pływać, choć marzy mu się rejs transatlantycki, a może nawet wyprawa dookoła świata. Zazdrościł jej ojcu fachu. A ona patrzyła na jego profil, orli nos, gęste brwi, wysokie czoło i falujące, brązowe włosy zakrywające uszy i spływające na kark i smukłą szyję. Obfite wąsy lekko przygryzał, kiedy się nad czymś zastanawiał, i ten ruch wzbudzał w niej rozczulenie. Opowiedziała mu nawet o tym, co przeżywała w dzieciństwie.

Nie była ot tak po prostu zauroczona Georgiem Kustlerem, pokochała go najgłębszą i najszczerzą miłością w życiu. Nie szkodzi, że było to pierwsze takie uczucie. Wieczór poprzedniego dnia spędzony u niej w domu przegadali, a kiedy ojciec poszedł

spać, jeszcze przez godzinę opowiadał jej, jak żyje się w Niemczech. Potem czytali Heinego, Georg go uwielbiał, ona zresztą też. Gdy recytował Lorelei tym swoim niskim głosem o cudownym tembrze, przechodziły ją ciarki, a na policzki wystąpiły rumieńce.

A teraz spacerowali uliczkami Nowego Warpna, czasem przypadkiem dotykając się łokciami, i wtedy przechodził ją prąd. Z całych sił walczyła, żeby nie dać po sobie poznać, co się z nią dzieje.

– Chcesz zobaczyć, gdzie twój ojciec miał piekarnię? – zapytała go w pewnej chwili.

– Tak. Już niczego nie pamiętam, miałem tylko cztery lata, kiedy wyjechalśmy.

Zaprowadziła go tam. Przystanęli nieopodal ratusza, przed budynkiem w narożniku niewielkiego kwartału.

– To tu. – Pokazała mu go. – Tu była piekarnia, a ten budynek obok to dawny hotel. „Otto Kustler’s Hotel”.

– Otto to mój dziadek – powiedział Georg z dumą. – Ma dziewięćdziesiątkę na karku i wciąż nieźle się trzyma. Kustlerowie są długowieczni, od pokoleń.

Uśmiechnęła się. Chyba się przełamował, skoro wspomniał o rodzinie.

– To piękne miasteczko. – Posmutniała nagle. – Było piękne. Teraz jest zaniedbane.

– Dlaczego?

– Tu ludzie są inni. Poza tym... – Wzruszyła ramionami wpatrzona w bruk.

– Poza tym?

– Tu się nie szanuje tego wszystkiego, co składa się na miasto. Na jego tkankę. Zobacz, ile tu pustych miejsc, jak szczyrby po wyrwanych zębach. A przecież tu nie było żadnych walk, Rosjanie weszli do nietkniętego wojną miasta. Budynki, których nie ma, po prostu umarły. I trzeba było je rozebrać.

– Dlaczego tak się dzieje?

Nie wiedziała, jak mu to wytłumaczyć.

– Tak po prostu jest – odparła, kończąc temat. – Wracamy do domu na obiad?

– Chętnie. – Uśmiechnął się do niej, białe zęby błysnęły i Regina znów poczuła falę gorąca.

To nieprawdopodobne, jak działał na nią ten człowiek.

Nagle Georg odpiął futerał aparatu, otworzył wizjer i pochylił głowę, zaglądając do środka i celując obiektywem gdzieś przed siebie.

– Nie wolno robić zdjęć – ostrzegła go, lekko zaniepokojona.

– Dlaczego? – zdziwił się.

– To strefa przygraniczna, nie wiesz?

– Przecież robię tylko zdjęcie ulicy. Piekarni ojca.

– Nie szkodzi, że ulicy – mruknęła. – Lepiej nie robić.

– A mogę zrobić tobie?

– Mnie? – Roześmiała się.

– Na pamiątkę. Na wszelki wypadek na tle drzew, chcesz?

– Pewnie... – Pokraśniała.

Stała na tle zieleni, składając ręce na brzuchu i czując, jak się czerwieni.

– Uśmiech, panno Remus! – zawołał Georg i postarała się przywołać na twarz najpiękniejszy uśmiech, na jaki było ją stać.

Dla niego.

Usłyszała trzask migawki i zawstydzona opuściła głowę. Georg podszedł do niej, zamykając aparat, i popatrzył jej w oczy.

– Jesteś naprawdę piękna, wiesz? – powiedział cicho.

Machnęła żartobliwie ręką, maskując zmieszanie i radość, a oba te uczucia z powodu komplementu, jakim ją obdarzył.

– Chciałbyś pójść jeszcze na chwilę do kościoła? – zapytała nieśmiało, zerkając na niego z ukosa.

Wczoraj powiedział jej, że jest głęboko wierzący. Z jego opowieści wynikało, że w NRD relacje na linii państwo–kościół są nieco

lepsze niż tu, w Polsce.

– Tu? – zdziwił się lekko.

– Tak, na końcu cypla. – Wskazała za siebie.

– Pewnie.

Kiedy wolnym krokiem podeszli pod kościół górujący nad okoliczną zabudową, Georg wskazał tabliczkę na portalu.

– To nie jest protestancki kościół – stwierdził z lekkim zdziwieniem.

– Nie. Nie mamy tu takich. Nie w Nowym Warpnie.

– Jesteś rzymską katoliczką?

– Tak. Teraz tak. Myślę, że gdy tak głębiej się zastanowić, ma to drugorzędne znaczenie. Bóg jest jeden i w tym kościele, i w tym, do którego chodzisz u siebie.

– Tak mówi wasz papież? – Uśmiechnął się z przekąsem, zerkając na nią.

Pozostała poważna.

– Tak mówię ja – odparła twardo i chyba mu tym zaimponowała.

– Kościół jest wszędzie tam, gdzie głosi się Słowo Boże, prawda?

– W takim razie wejdźmy... – Otworzył ciężkie drzwi i puścił ją przodem, co znów uznała za przejaw szarmanckości.

Zamoczyła palce w święconej wodzie i przeżegnała się. Wkroczyli w tchnące chłodem wnętrze świątyni i kiedy Regina poczuła charakterystyczny zapach wilgotnych murów i kadzidła, na chwilę przestała myśleć o Georgu. Weszła w wąską przestrzeń między ławkami, uklękła, kładąc łokcie na oparciu tej przed sobą, i po chwili pogrążyła się w głębokiej modlitwie. Modliła się zawsze po niemiecku, wciąż niemal wyłącznie do Boga, a nie do świętych, co było luterańską pozostałością. Wiara Reginy Remus była dziwnym konglomeratem zasad obu odłamów chrześcijaństwa i nie widziała w tym żadnego problemu. Bóg był jeden, był ponad wszystkim i wszystkimi.

Zerknęła w bok, lekko przekręcając głowę. Kustler zatopił się w modlitwie, jak ona sama przed chwilą; miał zamknięte oczy, był



pochylony, jego usta ruszały się nieznacznie.

Nie mogła stwierdzić tego z całą pewnością zaledwie po kilkunastu godzinach przebywania z nim, ale Georg Kustler jawił się jej jako mężczyzna idealny. Żarliwość, nieudawana i nie na pokaz, z jaką się modlił, świadczyła o tym, że jest dobrym człowiekiem. Stał się jej jeszcze bliższy. Jeszcze mocniej uwierzyła w to, że idealni mężczyźni jednak istnieją, i nieśmiało zaczęła dopuszczać do siebie myśl, że być może właśnie jeden z nich stanął na ścieżce jej życia.

Kiedy wracali do domu, odważyła się wziąć go pod ramię. Nie zeszywniał, nie fuknął, nie starał się elegancko wywinąć z jej uścisku, tylko najzupełniej naturalnie poprowadził ją uliczką, dopasowując swój krok do jej tempa.

– Jutro też pójdziemy na spacer? – zapytała z nadzieją.

– Jutro mam jakiś raut. – Lekko zmarszczył gęste brwi, a ona poczuła ukłucie rozczarowania.

– Jasne... – Zmarkotniała.

– Ale to wieczorem – dodał, widząc jej minę, i po jego uśmiechu Regina poznała, że zrobił to specjalnie; chciał sprawdzić, jak zareaguje. – Dzień możemy spędzić razem, jeśli chcesz.

– Oczywiście! – Złapała go mocniej za przedramię.

Kiedy weszli roześmiani do domu, ojciec spojrział na nich lekko zdziwiony, ale nic nie powiedział. Przez całą kolację uśmiechali się do siebie znad talerzy. Regina była w siódmym niebie.



2018

Georg Kustler siedział już w szczecińskim areszcie i konsekwentnie nie przyznawał się do winy.

Taką krótką informację przekazał Przeworskiemu przez telefon Cehak. Ale była też jedna rzecz, którą ustalono bez udziału aresztowanego, a która wzbudziła zainteresowanie aspiranta, prokuratora zresztą trochę też.

– Zgadnij, gdzie Kustler się urodził? – zapytał Cehak.

– Nie chce mi się zgadywać. Powiedz.

– W Neuwarp. – W głosie prokuratora brzmiała radość i Przeworski pomyślał, jak to fajnie wiedzieć, że ktoś jeszcze przejawia w pracy taki niestępiony rutyną entuzjazm.

– No proszę... – mruknął. – Myślisz, że to ma związek z tym wszystkim?

– Nie wiem. Urodził się podczas wojny, wyjechał stamtąd jeszcze jako dziecko. W tym mniej więcej czasie przyszła na świat Remus.

– I to faktycznie jego widział Błach, tak?

– Tak. Kustler nie zaprzecza, że był w domu Reginy Remus w dniu jej śmierci. Spędził tam niewiele czasu, około dziesięciu minut, to wynika z analiz logowania jego telefonu do BTS-ów. Nie chce powiedzieć, o czym rozmawiali, to znaczy twierdzi, że o niczym konkretnym. Po prostu przyjechał odwiedzić kobietę, która była córką przyjaciela jego ojca. Zadzwoiła do niego jakiś czas temu i zaprosiła do siebie, co mogą poniekąd potwierdzać billingi. Rozmawiali kilka razy, ostatni raz na dzień przed śmiercią. Następnego dnia przyjechał. Nie wie, skąd się wzięły

odciski palców na nożu, coś nim pewnie kroił. Nie ma pojęcia, kto mógł ją zabić i dlaczego. Nie ma nic wspólnego z jej śmiercią. Ale ja myślę, że coś ukrywa.

– Każdy coś ukrywa.

– Tylko widzisz, to jest bardzo wierzący człowiek. Członek wolnego kościoła protestanckiego, takiego lokalnego zboru nurtu ewangelikalnego, bardzo ponoć szanowany tam, u siebie. Jakoś to się kłóci z kłamstwem.

– Mariusz, proszę cię, co ty, dziecko jesteś?

– Dobra, nie wchodzę z tobą w dysputy teologiczne. W każdym razie nie sprawia wrażenia wyrachowanego sukinsyna, jeśli to ma coś do rzeczy.

– Ma czy nie ma, dowody są bezsporne.

– No, niby tak, sprawa w zasadzie jest czysta, ale ja chciałbym wiedzieć, rozumiesz?

– Rozumiem, bo ja też. A jeśli chodzi o bardzo wierzących ludzi, to zdaje się, że ich oboje to właśnie łączyło. Wiara. Oraz korzenie: zarówno tej wiary, bo Remusowa była za dzieciaka luteranką, jak i niemieckie pochodzenie. Może to tam trzeba szukać?

– Może. – Cehak wydał z siebie jakieś cmoknięcie. – Dobra, kończę. Kustler niech mięknie parę dni, aż dojdzie do wniosku, że milczenie mu się nie opłaca.

– Pytałeś go o ten rajd?

– Nie.

– Trzeba było. Ciekawe, co by odpowiedział.

– Nie pozbędę się wszystkich asów za pierwszym podejściem. Na razie.

– Na razie...

Przeworski rozłączył się, ale nie odkładał telefonu. W jego pamięci miał numer, który dostał jeszcze od Zajdla, a w małych miastach osoby takie jak ta, do której należał, znaczyły sporo. I sporo wiedziały. Wybrał go i przyłożył komórkę do ucha.

– Halo?

– Dzień dobry, księżu proboszczu, z tej strony dzielnicowy, aspirant Dominik Przeworski. Możemy porozmawiać?

– Szczęść Boże, oczywiście, co się wydarzyło?

– A mógłbym do księdza wpaść na chwilę?

– Zapraszam. Coś poważnego?

– Nie, to znaczy... Wolałbym w cztery oczy, jeśli można.

W telefonie zapanowała chwila ciszy.

– Można. Niech pan wpada.

Kilka minut później Przeworski był już pod budynkiem plebanii. W Szczecinie, kiedy miał się z kimś spotkać, musiał wsiąść w samochód i przebijać się przez miasto, tu dotarcie na miejsce przeważnie zajmowało mu dosłownie kilka minut, i to piechotą.

Bezcenne.

Ksiądz Karol Wilkoński od kilku lat był proboszczem parafii pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Nowym Warpnie. Opiekował się parafialnym piętnastowiecznym kościołem z neogotycką wieżą usytuowanym na samym koniuszku cypla, miał też pod opieką niewielkie kościółki filialne w Karsznie, Warnołęce oraz kaplice w Podgrodziu i Myśliborzu Wielkim. Te dwie ostatnie były naprawdę maleńkie i powstały tylko dzięki uporowi księdza i mieszkańców. Plebania mieściła się w budynku po drugiej stronie ulicy, na rogu Warszawskiej i wąskiej alejki prowadzącej w stronę nabrzeża, i tam też stał właśnie aspirant, czekając, aż proboszcz otworzy mu drzwi.

Widzieli się do tej pory raz, kiedy Przeworski tuż po przyjeździe do Nowego Warpna odwiedził go, żeby się przedstawić. Wtedy rozmowa trwała dosłownie chwilę i była raczej kurtuazyjną wymianą uprzejmości.

Ksiądz Wilkoński wpuścił aspiranta na plebanie, zaprowadził na górę i posadził w fotelu, sam usiadł naprzeciwko z rękami na podłokietnikach i z nieukrywaną ciekawością wpatrywał się w gościa. Przeworski poczuł się przez chwilę jak mały chłopiec,

kiedy do jego domu przychodził po kolędzie ksiądz i wypytywał, czy jest grzeczny i często się modli.

– Nie widuję pana w kościele? – zagaił Wilkoński i Przeworski skarcił się w myślach za brak refleksu: gdyby zaczął wcześniej rozmowę na temat, który go interesował, nie dałby proboszczowi szansy na zadawanie niewygodnych pytań.

– Nie może mnie ksiądz widzieć, bo mnie tam po prostu nie ma – odparł. – I widzę, że ksiądz nie przepuści okazji do złowienia owieczki?

– Taka moja niewdzięczna rola. – Proboszcz uniósł ręce, wzniosł wzrok ku sufitowi i wybuchnął śmiechem. – Ale jakby co, zapraszam na mszę świętą. O czym chciał pan rozmawiać?

– O kim – sprostował Przeworski. – O Reginie Remus.

Kapłan pokiwał siwą głową.

– Tak, to smutne. Wstrząs dla naszej wspólnoty. Nielichy.

– Zdaję sobie sprawę. Proszę księdza, czy ona była żarliwą katoliczką?

– Tak. Odkąd pamiętam. Poprzedni proboszcz, ksiądz Zdzisław, również wspominał, że to kobieta gorącej wiary. Wie pan, ona wróciła do domu.

– Nie rozumiem?

– Wróciła na łono kościoła rzymskiego. Była chrześcijanką, ale nie katoliczką, tylko protestantką. Została ochrzczona w kościele luterańskim, tam też złożyła akt confirmacji, ale wobec oczywistych trudności z kultywowaniem swojej religii oraz dojrzałości chrześcijańskiej i woli Pana dokonała konwersji, bodaj na początku lat siedemdziesiątych.

Przeworski pokiwał głową. Przypomniał sobie słowa Cehaka o Kustlerze, będącym aktywnym członkiem jakiegoś protestanckiego zboru, i znowu zaczął się zastanawiać, czy to ma coś wspólnego.

– Teraz chciałbym poruszyć bardzo delikatny temat... – zaczął powoli, świadomy, że zaraz zaczną się trudności.

– Nie złamię tajemnicy spowiedzi świętej. – Jeśli aspirant żywił jeszcze jakieś resztki nadziei, to proboszcz właśnie go ich pozbawił.

Wszędzie te tajemnice. A wydawać by się mogło, że miała je wyłącznie Regina Remus.

– Nie oczekuję tego od księdza, absolutnie – uspokoił go. – Chodzi mi bardziej o to, co Remus mówiła księdzu w rozmowach, nawet prywatnych. Ja rozumiem, że ksiądz jest dyskretny i nie mówi się źle o zmarłych, szanuję to, ale wie ksiądz... – Przeworski zawiesił głos, żeby wzmocnić efekt. – Ktoś ją zabił, a każda, nawet z pozoru błaha informacja może nas przybliżyć do odkrycia tego, kto to zrobił. Rozumie ksiądz? – Popatrzył na proboszcza uważnie.

Ten westchnął.

– Jaki to temat?

– Chodzi mi o kwestię ojcostwa Remigiusza Remusa. Czy ksiądz coś o tym wie?

– Nie. – Proboszcz zdecydowanie pokręcił głową. – Nigdy mi nie powiedziała, kto jest ojcem tego nieszczęsnego chłopca. Nawet podczas spowiedzi, to ewentualnie mogę panu zdradzić. Wie pan... – Westchnął. – Bardzo przeżyła śmierć syna: sama śmierć to jedno, ale to, że zadał ją sobie sam, bardzo ją złamało. Ja nie widzę problemu w katolickim pogrzebie samobójców, w przeciwieństwie do wielu innych kapłanów. Uważam, że ze względu na stan umysłu nie jest się wtedy w pełni świadomym tego, co się robi, a więc nie ponosi się pełnej winy. Mówię o złamaniu przykazań bożych, nauk Jezusa i stanowisku Kościoła, które notabene nieco złagodniało wobec rozwoju nauki, zwłaszcza psychologii. Jak powiedział papież Franciszek: nie ma grzechu, którego Bóg nie może przebaczyć. Tak więc nie przyszło mi do głowy dać jej nawet lekko do zrozumienia, że go potępiam. Rozmawialiśmy wiele o życiu i śmierci, odniosłem wrażenie, że ją pocieszyłem, że wkrótce dojdzie do jakiejś takiej równowagi

i będzie żyć dalej. Ale ktoś pokrzyżował nam plany. Tylko Bóg wie, kto i dlaczego – dodał po chwili.

Aspirant pomyślał, że chętnie zostałby pierwszym po Bogu, jeśli chodzi o tę wiedzę, ale nie podzielił się swoją refleksją z proboszczem.

– A jeśli chodzi o kwestię ojcostwa... – dociekał.

– Powiedziałem panu, że nie wiem, kto jest ojcem Remigiusza.

– Tak, zrozumiałem, ale... Czy nie jest to wpisane w księgę parafialnej?

Kapłan poprawił się w fotelu i popatrzył przez okno na bezchmurne niebo.

– Jestem tylko człowiekiem i przyznaję, że także ciekawiła mnie ta sprawa. Może chciałem wiedzieć dlatego, że wtedy dotarłbym lepiej do jej duszy, a może to Zły podszeptał, nie wiem. Sam chciałem to zrobić. Ale problem w tym, że nie mam ksiąg chrztu z tego czasu. W osiemdziesiątym dziewiątym w zakrystii wybuchł pożar. Na szczęście udało się uniknąć dużych strat, jednak w pierwszej kolejności zwykle ratuje się komunikanty.

– Każdy ma jakieś priorytety.

– Otóż to. Niestety, spłonęły wszystkie księgi metrykalne: ochrzczonych, zaślubionych i zmarłych. Przykre to, ale takie jest życie. A nie próbował pan w urzędzie stanu cywilnego?

– Oczywiście, że próbowałem. Ojciec nieznany. Ale miałem nadzieję, że skoro była wierząca, to nie widziała potrzeby w ukrywaniu tego przed kimś, komu ufała. Czyli kapłanem. Może nawet był to warunek chrztu?

– Wszystko jest możliwe. Niestety, nawet jeśli tak było, to już się tego nie dowiemy. Nie w ten sposób.

– Szkoda.

Proboszcz zerknął na aspiranta, a na ustach błąkał mu się lekki uśmiech.

– Pan wie, że zawsze jest jakaś nadzieja? – zapytał.



– Podobno... – Przeworski też się uśmiechnął, zastanawiając się, do czego zmierza ksiądz.

– Dla pana też może jeszcze jest. Nadzieja ta nazywa się Zdzisław Rozdeba i mieszka w domu emerytowanych księży w Szczecinie. Na Arkońskiej. To mój poprzednik. Ma prawie dziewięćdziesiątkę na karku, ale umysł jak brzytwa. On również był dość blisko z panią Reginą. Może nawet bliżej niż ja, i niczego tu nie insynuuję, żeby było jasne.

– Jest jasne. – Aspirant wstał z fotela, bo co prawda niewiele się dowiedział, ale coś dostał. W zasadzie tylko nadzieję, ale to przecież zwykle dawał Kościół: zawsze nadzieję, nigdy pewność. – Dziękuję księdzu serdecznie za pomoc.

Proboszcz odprowadził aspiranta na dół, a ten wolno ruszył w kierunku budynku rewiru, ale nagle, tknięty jakimś impulsem skręcił w lewo i kilkanaście sekund później był już nad zalewem. Taflę wody marszczył wiatr, miejscami pojawiały się niewielkie grzywacze i dlatego była dziś ciemna, granatowa. Przeworski wpatrywał się w horyzont i myślał, kiedy uda mu wykroić trochę czasu i skoczyć do Szczecina.



Następnego dnia do Przeworskiego zadzwonił Leszek Koźmiński.

Koźmiński był policjantem w randze młodszego inspektora i wykładowcą w szkole policji w Pile, gdzie Przeworski spędził kiedyś trochę czasu jako młokos. Pamiętał go jako sympatycznego gościa, zafascynowanego tym, co robił: zarówno pracą w szkole, jak i sporządzaniem ekspertyz grafologicznych dla sądów i osób prywatnych, zwykle tych, które nie mogły dojść do ładu ze sprawami spadkowymi, kiedy nagle pojawiało się kilka testamentów, którymi przerzucali się zwaśnieni członkowie rodzin zmarłych. Aspirant napisał do niego mail z prośbą o rzucenie okiem na zdjęcia napisu oraz kilku listów, które niemal na pewno pisała Regina Remus, a inspektor zgodził się chętnie, kiedy wyjaśnił mu, o co chodzi. Przeworski zdawał sobie sprawę, że jest całkowicie poza postępowaniem przygotowawczym prowadzonym przez Cehaka, mającym się w dodatku ku końcowi, ale wciąż mu coś nie grało.

Opcje były dwie: napis wykonała albo Regina Remus, albo ktoś inny. Jeśli faktycznie było to jej pismo, to wyjaśnienie mogło być tylko jedno: zrobiła to wcześniej. Nie leżąc i umierając w kałuży krwi, w której mogłaby maczać palec, gdyż nie byłaby w stanie napisać tego w ten sposób. A wyjaśnienie, że to morderca z jakichś powodów wytarł palec, było raczej kuriozalne. Remus skaleczyła się i napisała na podłodze imię i nazwisko ojca jej syna. A dopiero potem ktoś ją zabił. Może faktycznie Kustler, skoro na trzonku noża były jego odciski palców. A może jednak ktoś inny? Przecież tłumaczenie Niemca, że miał nóż w ręku wcześniej, było całkiem prawdopodobne i trzeba wziąć to pod

uwagę, ale zdaniem aspiranta Cehak za bardzo skupiał się na tym, co oczywiste. A trzeba było zbadać każdy aspekt sprawy.

Przeworski zdążył poznać prokuratora, i to raczej z dobrej strony, jednak wiedział, że zaangażowanie, a nawet profesjonalizm, który Cehak prezentował, to nie wszystko. On poszedłby jednak tą ścieżką i dlatego ucieszył się teraz, że Koźmiński potraktował sprawę poważnie. Ustalili od razu, że to nie będzie normalna ekspertyza pismoznawcza, jaką zwykle Koźmiński w takich wypadkach sporządzał jako biegły na zlecenie sądu, tylko po prostu razem przeanalizują tę sprawę, opierając się na fachowej wiedzy inspektora. I Przeworski zaraz miał się dowiedzieć, jakie efekty przyniosła ta współpraca.

– Dzień dobry, panie inspektorze – przywitał się.

– Dzień dobry.

– I jak?

– Cóż, przysiadłem nad tym. Od razu powiem, że materiał porównawczy był skąpy; problem w tym, że napis wykonany został majuskułą, nie za pomocą narzędzia pisarskiego i nie na papierze, co też ma znaczenie przy porównywaniu próbek pisma. Wie pan, większy nacisk w określonych miejscach, ciągłość pisma i tak dalej. Przyznam, że materiał zakwestionowany jest bardzo nietypowy.

– Rozumiem.

– Trudno było zastosować jakąkolwiek metodę badania ze względu na jego skąpość, dlatego musimy zostawić pewien margines. Co mogę powiedzieć raczej na pewno, to to, że napis wykonała kobieta, leworęczna, w starszym wieku.

– Idealnie opisał pan ofiarę – stwierdził aspirant.

Nie podał wcześniej Koźmińskiemu żadnych szczegółów dotyczących na przykład wieku czy płci. Tak się umówili. Wysłał mu tylko skany tych kilku listów znalezionych w domu Reginy Remus, na których było jej pismo odręczne. I teraz wyglądało na

to, że wygrała opcja numer jeden; napis GEORG KUSTLER wykonała jednak Remus.

– Nie podejmowałem się określenia stanu psychofizycznego w momencie sporządzania napisu.

– Jasne.

– Nie będę też pana zarzucał niepotrzebnymi informacjami. Konkluzja jest taka, że z niemal całkowitą pewnością mogę stwierdzić: napis został wykonany przez tę samą osobę, której próbki pisma mi pan przysłał. To wyjaśnia sprawę?

– Zdziwi się pan, ale nie do końca. – Przeworski roześmiał się z lekkim zakłopotaniem. – Mam pewne wątpliwości, których nie podziela prokurator.

– Czyli?

– Za chwilę wyjaśnię, ale najpierw nich mi pan powie, czy to możliwe, żeby ona taki napis mogła wykonać w pozycji leżącej? Widzi pan, prokurator zakłada, że ofiara napisała to tuż przed śmiercią, leżąc na podłodze. Krwawienie z rany serca było bardzo obfite i nawet biorąc pod uwagę to, że potrzeba wskazania sprawcy była tak silna, że przewyciężyła wszelkie ogromne emocje towarzyszące takiej chwili, to mimo wszystko trudno mi uwierzyć w taki przebieg zdarzeń.

– Hmm... Litery były bardzo staranne i proste, niepochyłone. Mogła unieść się na łokciu. Mogło być tak, że w pierwszej fazie rana nie była aż tak poważna, nacięcie w naczyniu poszerzyło się wskutek ruchu, nie wiem...

– Niewykluczone – zgodził się Przeworski. – Wszystko mogło się zdarzyć. Tylko że ona w momencie śmierci miała czyste palce. Możliwe, że wytarła je o sweter, który i tak cały był we krwi, ale to mało prawdopodobne. Bardzo mało prawdopodobne.

– Może to odruch? W takich granicznych stanach mózg płata różne figle.

– Ale żeby coś takiego? – rzekł z powątpiewaniem aspirant. – Nie zakładam też, że jej palce wytarł sprawca, bo to już w ogóle

nie miałyby sensu. Przecież starłby wtedy również swoje nazwisko.

– Fakt. Może ktoś znalazł ją później? Przed tą osobą, która zgłosiła zabójstwo?

– Tylko po co by jej wycierał palce? Skoro potwierdził pan teraz, że ofiara napisała te słowa, to nie widzę innej opcji niż ta, że zrobiła to po prostu wcześniej. Miała na dłoni ranę, którą uważaliśmy za obrażenie obronne, ale też nie było na niej świeżej krwi. W prekognicję nie wierzę.

– Ale to ten Kustler jest sprawcą?

– Został aresztowany, na razie tyle mogę panu powiedzieć. Prokurator zbiera dowody, ale już te, które ma, są bardzo mocne.

– A pan jednak dalej węszy spisek? – Koźmiński roześmiał się.

– Coś mi tu śmierdzi, panie inspektorze, po prostu śmierdzi. Dodam jeszcze, że podejrzany nie jest zbyt rozmowny. Nie ułatwia nam roboty. – Westchnął. – No nic, serdecznie dziękuję za pomoc.

– Cała przyjemność po mojej stronie. To miłe uczucie wiedzieć, że komuś chce się jeszcze starać.

Przeworski pożegnał się i od razu zadzwonił do Cehaka. Streścił mu przebieg rozmowy z inspektorem i czekał, co prokurator na to.

– Dominik, prosiłbym cię, żebyś nie wykonywał jakichś ruchów za moimi plecami, dobra? Zwłaszcza że nie masz żadnych do tego uprawnień. Zdaję sobie sprawę, że masz predyspozycje, doświadczenie i chęci, ale to ja odpowiadam za śledztwo, nie ty. Zleciłem czynności komendantowi, a nie tobie, i o ile wiem, on nie wyznaczył cię do ich wykonywania, prawda?

Aspirant nie spodziewał się takiej reakcji, choć trochę ją rozumiał.

– Nie wyciekły żadne istotne szczegóły dotyczące śledztwa. Rozmawiałem z policjantem, oficerem, po koleżeńsku. Nie przekonała cię moja teoria i chciałem to sprawdzić. Uzyskałem dość istotne informacje, z którymi zrobisz, co chcesz. Dalej

twierdzą, że sprawa tego napisu jest mocno niejasna. I oczywiście przepraszam. Kajam się. Oraz proszę o łagodny wymiar kary.

Cehak oddychał chwilę przez nos, Przeworski słyszał w telefonie cichy świst.

– Wisisz mi pierogi – powiedział w końcu. – Takie same jak te ostatnio.

– Zgoda. Kustler dalej milczy?

– Tak. To znaczy nie byłem u niego od tamtej pory. Nie będę codziennie latał dowiadywać się, czy zechce łaskawie podzielić się wyjaśnieniami. Niech mięknie.

– Dobra, czekamy. Jeszcze raz cię przepraszam, jeśli poczułeś się...

– Idź i nie grzesz więcej, jasne?

– Amen.

Przeworski odłożył telefon. Zbliżał się koniec szychty. Pozamykał wszystko i poszedł na górę wziąć prysznic, bo czekała go wycieczka do Szczecina. Miał zamiar odwiedzić swoich rodziców, a potem kogoś jeszcze.





Dom Księży Emerytów w Szczecinie mieścił się przy Arkońskiej, niedaleko szpitala wojewódzkiego, w budynku po dawnym domu dziecka, który kuria dostała w zamian za tereny na Różance. Dom został wyremontowany i teraz zamieszkiwali w nim kapłani w podeszłym wieku z całej diecezji. Ich stan zdrowia nie pozwalał na pozostanie przy parafiach, w których posługiwali do osiągnięcia wieku emerytalnego, a tu, na miejscu, mieli opiekę młodszych księży i kilku sióstr zakonnych.

Przeworski nacisnął pierwszy z brzegu przycisk na domofonie i czekał.

– Słucham? – Głos był młody, cichy i bardzo poważny.

– Dzień dobry, nazywam się Dominik Przeworski i chciałbym porozmawiać z księdzem Rozdebą.

Znów chwila oczekiwania.

– W jakiej sprawie? – W intonacji nic się nie zmieniło.

– Chciałbym zapytać go o kilka rzeczy dotyczących jego probostwa w Nowym Warpnie.

– Przykro mi, ksiądz Rozdeba źle się czuje i nie jest w stanie rozmawiać ani przyjmować gości.

Odpowiedź była natychmiastowa i brzmiała jak parowanie ciosu. W dodatku wytrenowane. Przeworski zorientował się, że chyba źle zaczął.

– Hmm, a obecny proboszcz z Nowego Warpna wspominał mi, że ksiądz Rozdeba ma się świetnie.

Przedłużająca się cisza uświadomiła aspirantowi, że być może jeszcze pogorszył sytuację.

– Proszę księdza... – Westchnął i zreflektował się nagle, że przecież nie wie, z kim ma do czynienia. – Rozmawiam z księdzem, tak?

– Tak – potwierdzenie brzmiało jak wyznanie wymuszone torturami.

– Jestem policjantem, ale nie przychodzę służbowo, chciałbym tylko porozmawiać, proszę zapytać księdza Rozdeby, czy... – Przeworski zorientował się, że mówi do siebie, a z głośnika dochodzi tylko lekkie brzęczenie, takie samo, jakie słyszał, zanim wcisnął przycisk domofonu.

Przez jakieś dwie minuty czekał i zastanawiał się, co robić. Próbować jeszcze raz? To chyba mijало się z celem. Nie sądził, by ksiądz właśnie schodził do niego, bo chyba nie urwałby rozmowy w tak nieelegancki sposób. Stanie tu też nie miało sensu, a bardzo chciał porozmawiać z emerytowanym proboszczem, bo musiał przyznać sam przed sobą, że Wilkoński nakarmił go nadzieją. Nagle wpadł na pewien pomysł. Wyciągnął telefon i wybrał w kontaktach numer do proboszcza.

– Przeworski z tej strony, proszę księdza, czy mógłbym mieć prośbę? – zapytał.

– Chyba nawet wiem jaką. Co pan tam nabroił?

– Ja? – Przeworski odruchowo obejrzał się na drzwi.

– Nastraszył pan księdza.

– Nic podobnego. A co, zadzwonił się poskarżyć?

– Nie, upewnić. To młody człowiek, proszę mu wybaczyć. Niech pan poczeka pod drzwiami, zaraz powinien do pana wyjść.

– Jasne, dzięki serdeczne.

– Nie ma za co. Z Bogiem.

Kiedy tylko Przeworski schował telefon do kieszeni, drzwi otworzyły się i ujrzał wysokiego, śniadego bruneta w czarnym garniturze i koloratce. Miał dość obfity zarost i był faktycznie młody, przynajmniej dla Przeworskiego. Musiał zostać niedawno

wyświęcony. Ksiądz nie patrzył aspirantowi w oczy, a jego głos dalej był cichy.

– Szczęść Boże, przepraszam, że musiał pan czekać, ale...

– Dzień dobry, zdaje się, że księdza wystraszyłem?

– Wie pan, przychodzą tu różni... I po prośbie, i po groźbie... Księża seniorzy muszą mieć spokój i unikać silnych emocji. To ludzie schorowani i w podeszłym wieku.

Przeworski nie wnikał, po co i jacy ludzie tu przychodzą, choć był niewątpliwie jednym z nich. Podobno dobre pierwsze wrażenie można zrobić tylko raz, a to mu się najwyraźniej nie udało, jednak osiągnął cel i tylko to z kolei się liczyło. Etap pragnienia, by kochali go wszyscy, minął mu w momencie, kiedy przestał być dzieckiem.

– Ksiądz Zdzisław ma dziewięćdziesiąt jeden lat, cukrzycę i jest po niewielkim udarze, ale trzyma się nieźle – informował go ksiądz, kiedy pięli się po schodach. – Proszę go jednak nie męczyć za bardzo, dobrze?

– Uhm – mruknął Przeworski.

Po chwili stali pod drzwiami z numerem jedenaście. Ksiądz zapukał tak samo, jak mówił, czyli cicho, delikatnie i z namysłem, a potem dla pewności wcisnął przycisk dzwonnka, który zabrzączał dość głośno. Czekali chwilę, a kiedy drzwi się otworzyły, aspirant ujrzał siwego, pomarszczonego staruszka, na którego twarzy gościł promienny uśmiech. Sutanna oblekała chude ciało, koloratka była zbyt luźna, a fałdy pomarszczonej skóry szyi niknęły w niej jak w studni. Uśmiech był bez wątplenia szczery, choć efekt psuły idealnie równe i proste zęby protezy. Staruszek był niski, lekko zgarbiony i podpierał się laską.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, księżu Zdzisławie. – Młody ksiądz odsunął się i wskazał mu Przeworskiego. – Ma ksiądz gościa.

– Na wieki wieków. Gość? Do mnie? Ktoś jeszcze o mnie pamięta?

– Proboszcz Wilkoński księdza pozdrawia, czyli pamięta. – Aspirant zrobił krok naprzód, minął młodego duchownego i wszedł bez pardonu do środka.

Ksiądz Rozdeba cofnął się lekko i obrzucił przybysza uważnym spojrzeniem bladych oczu, choć szeroki uśmiech wciąż nie zniknął z jego ust.

– Karol dalej w Nowym Warpnie? – zdziwił się. – Korzenie zapuścił, a tak mu się nie podobało, jak przyjechał. Narzekał na zesłanie.

Przeworski pomyślał, że mimo istotnych różnic światopoglądowych ma jednak trochę wspólnego z księdzem proboszczem.

– Co pana do mnie sprowadza? – zapytał Rozdeba, wciąż stojąc w małym przedsionku, aż nagle zreflektował się i wyciągnął rękę w stronę wnętrza mieszkanca, zapraszając Przeworskiego do środka.

Aspirant wszedł dalej i obejrzał się, czy ksiądz idzie z nim. Zamykał właśnie drzwi, laska wisiała mu na przedramieniu, młody kapłan został na szczęście za nimi, bo Przeworski obawiał się, że może chcieć zostać w ramach nadzoru. Usiadł na prostej kanapie pokrytej szarym welurem i rozejrzał się po nieatrakcyjnym wnętrzu. Wystrój był skromny, a to, co wisiało na ścianach albo stało na regałach, wyraźnie świadczyło o profesji, czy może służbie, jaką wykonywał niegdyś lokator. Przeworskiemu przypomniało się wnętrze domu Remusowej. Wyglądało podobnie.

– Czy ksiądz pamięta może Reginę Remus? – zaczął.

– Oczywiście! – Twarz Rozdeby rozjaśnił uśmiech. – Co u niej słychać?

– Niestety nie żyje.

Ksiądz posmutniał lekko i przeżegnał się.

– To była jeszcze przecież młoda dziewczyna? – Spojrzał na Przeworskiego. – Choróbsko?

Przeworski nie potrafił powstrzymać lekkiego uśmiechu, bawiło go, kiedy bardzo starzy ludzie mówili tak o nieco młodszych. W sumie jednak dwadzieścia lat różnicy to sporo, można powiedzieć, że całe pokolenie, ale z jego perspektywy było to jednak dość zabawne.

Spoważniał jednak i popatrzył Rozdziebie w oczy.

– Została zamordowana. – Poczekał, aż ksiądz oswoi się z tą wiadomością, i kuł żelazo póki gorące. – Jestem policjantem i w związku z tym przyjechałem do księdza za radą obecnego proboszcza, żeby zadać kilka pytań.

– Nie widziałem jej ładnych parę lat. Jak tak dobrze policzyć, to będzie i kilkadziesiąt. Dawne czasy... – Machnął pomarszczoną i chudą jak szczapa dłońią.

– A ja właśnie o te czasy chciałem zapytać, proszę księdza. O czasy, kiedy ksiądz był w Nowym Warpnie proboszczem.

Rozdeba usiadł na pufie, szeroko rozstawił kolana zakryte sutanną i oparł się o laskę, wpatrując się posmutniałym wzrokiem w Przeworskiego. Obwisłe powieki okrywające jego bladoniebieskie oczy poczerwieniały, a dłonie zaciśnięte na rączce laski lekko drżały.

– Nie pamiętam wszystkich swoich parafian, ale Reginę owszem. – Jego głos stracił tę moc, która była w nim jeszcze chwilę temu. – Można powiedzieć, że się przyjaźniliśmy, na tyle, na ile kobieta może przyjaźnić się z księdzem, i na odwrót. Jak Karol Wojtyła i Wanda Połtawska, na przykład. Po pewnym czasie to nie była już relacja kapłan i parafianka, czy nawet spowiednik i parafianka. Regina była dość wykształconą kobietą, a wie pan, jak było kiedyś w małych miastach i na wsiach. Czasem nie dało się z nikim normalnie pogadać, a z nią mogłem. O wszystkim. No, prawie o wszystkim. Pewne tematy nie były oczywiście poruszane.

– Jaka ona była?

– Bardzo religijna. To pierwsza rzecz, jak przychodzi mi do głowy, kiedy miałbym ją scharakteryzować. Bóg był jej bardzo

potrzebny, jej wiara nie była powierzchowna, na pokaz czy z błażej potrzeby. To było gorące przywiązanie do Najwyższego, choć równocześnie miała w sobie dużo bojaźni bożej. Była dla siebie zbyt surowa, tak sędzę, i nawet jej to czasem mówiłem, ale ona miała swoje zasady. Zapewne sprawiło to luterańskie wychowanie, w jej domu panował rygor, surowy patriarchy, a ojciec miał ciężką rękę.

– Podobno była dość surowa również dla innych? Uczniów, być może własnego syna...

– To były inne czasy. Inne czasy, inne dzieci. Zwłaszcza na wsiach czy w takich małych miasteczkach jak Nowe Warpno. Podejrzewam, że rodzice jej uczniów nie byli wcale łagodniejsi. Dobrze, że to się trochę zmieniło. Lepiej późno niż wcale. Nigdy nie byłem zwolennikiem wychowywania młodzieży zbyt rygorystycznie. A na pewno nie za pomocą pasa.

– Możemy porozmawiać o jej synu?

– Co pan chce wiedzieć?

– Przede wszystkim to, kto był jego ojcem.

Stary ksiądz zapatrzył się w okno smutnym wzrokiem.

– Nawet on tego nie wiedział. – Pokiwał siwą głową. – Taką decyzję podjęła Regina, a ja to szanowałem. Jak zniósł śmierć matki?

– Zmarł dwa miesiące wcześniej, przykro mi. – Przeworski zagryzł lekko wargi.

– Chorował?

Aspirant pokręcił głową.

– Popęłnił samobójstwo – mruknął, ale ksiądz dosłyszał.

– Nie do wiary – sapnął i jego chude ramiona nagle zadrżały. – Bóg ciężko doświadczył tę rodzinę.

Przeworski milczał. Zastanawiał się, jak ksiądz wyjaśniłby powód takiego traktowania Reginy Remus przez Boga, ale się powstrzymał przed zapytaniem go o to. Odpowiedź nie miała dla

niego istotnego znaczenia, a przynajmniej nie z punktu widzenia filozoficznego, bo i tak był przecież niewierzący.

– Nie nam, maluczkim, odgadywać boskie plany – powiedział ksiądz, jakby czytając mu w myślach, ale aspirant nie dał się wciągnąć w dyskusję.

– Czy dziecko pochodziło z gwałtu? – zapytał.

Ta myśl chodziła mu po głowie, odkąd Owczarek zasugerował, że to mogło się przytrafić matce Reginy Remus. W końcu musiał być jakiś powód niepodania nazwiska do akt.

Rozdeba spojrział na Przeworskiego zdziwiony.

– Broń panie Boże, absolutnie nie! – Niemal się obruszył. – Bez wątpienia był to owoc miłości, to akurat wiem na pewno od samej Reginy. Ona była w tym mężczyźnie zakochana. W ojcu dziecka. Czy on w niej? Cóż... Młode kobiety są często naiwne, a w tamtych czasach były bardzo nieświadome tego, że mężczyźni je wykorzystują. Obiecują różne rzeczy, a potem znikają, kiedy dostaną to, czego chcą. Nie inaczej było w tym wypadku. Nie widziałem żadnych przeciwwskazań, żeby ochrzcić to dziecko, mimo że było nieślubne. W końcu wszyscy jesteśmy dziećmi Boga. I kiedy miałem okazję, prosiłem różne osoby, żeby też nie osądzały tego zbyt pochopnie. Żeby zrozumiały, że niektórym nie zawsze wszystko się układa. Oczywiście, nie opowiadałem o szczegółach, ale dawałem im do zrozumienia, że nic nie jest takie proste, jak się wydaje. Zresztą... – Zachichotał. – One same miały trochę za uszami. Oj, nasłuchałem się w konfesjonale, nasłuchałem...

– W zasadzie przyjechałem zadać jedno pytanie. Czy wie ksiądz, kto był ojcem Remigiusza Remusa?

– Tak, Regina powiedziała mi to podczas spowiedzi. Kiedy jeszcze była w ciąży.

Przeworski zamknął oczy i bezwiednie zacisnął pięści. Właśnie zaczynała się powtórka z rozrywki.

– I w związku z tym nie powie mi ksiądz kto to?

– Ależ powiem.

– Jak to? – Aspirant najzwyczajniej w świecie zdębiał. – Na emeryturze tajemnica spowiedzi przestaje obowiązywać?

– Absolutnie nie. – Staruszek roześmiał się. – Ale jest furтка, z której możemy skorzystać.

– Jaka furтка?

– Księga Ochrzczonych parafii rzymskokatolickiej pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Nowym Warpnie.

– Przecież się spaliła?

– No to co? Ale ja wiem, kto był wpisany jako ojciec, przecież sam ten wpis robiłem, prawda? Więc możemy sięgnąć do tego zdarzenia, a nie cofać się aż do spowiedzi, podczas której mi to wyznała, prawda?

Przeworski patrzył na księdza i czuł do niego niezwykłą sympatię.

– Wie pan, to były inne czasy. – Przez twarz księdza przebiegł cień. – Dziś w akcie urodzenia w przypadku nieznanego ojca w rubryce wpisuje się imię podane przez matkę albo kierownika USC i jej nazwisko: to, które nosi w tym momencie. To tak zwane dane przesłaniające, które w założeniu mają pozwolić uniknąć dyskryminacji dziecka w przyszłości. Pozostałe rubryki się wykreśla i w zasadzie, gdy ma się do czynienia ze skróconym aktem urodzenia, nic nie wskazuje, że ojciec dziecka jest nieznan. Tylko że to jest nie do przyjęcia z punktu widzenia prawa kanonicznego. To kłamstwo, w imię dobra dziecka, ale kłamstwo. Kiedy podczas wpisu do księgi chrztów na podstawie aktu urodzenia duszpasterz się zorientuje, powinien zażądać oświadczenia od ojca dziecka i dwóch świadków, bo inaczej dokument publiczny, na którego podstawie robi się wpis w księdze, nie jest wiele wart. A w razie braku dokumentu i oświadczenia do księgi wpisuje się tylko ochrzczonego. Ale ponieważ nie było żadnych wątpliwości, kto jest ojcem dziecka, a jedynie okoliczności, które uniemożliwiały formalne dokonanie



wpisu, uznałem, że dla dobra Remigiusza wpiszę nazwisko jego ojca do księgi. Wierzyłem Reginie bez zastrzeżeń, poza tym myślę, że księża miewają o wiele cięższe gatunkowo przewinienia na sumieniu, więc po krótkiej rozmowie z Bogiem uczyniłem to. I jakoś nie mam wyrzutów sumienia. – Uśmiech, który Rozdeba miał na twarzy, kiedyś określano jako szelmowski.

– Więc jak on się nazywał? – zapytał Przeworski niemal bez tchu, ciesząc się jak dzieciak z takiego obrotu spraw.

– Kustler. Nie pamiętam imienia, ale według deklaracji Reginy ojciec jej syna był Niemcem i nazywał się Kustler. Ależ pan ma minę...

Przeworski otrząsnął się z zaskoczenia, choć w zasadzie trochę się spodziewał takiej odpowiedzi.

– Georg Kustler – wymruczał.

– Możliwe, ale naprawdę nie pamiętam, jak miał na imię.

– Nie szkodzi. A czy może ksiądz się domyśla, czemu podała nazwisko do księgi, ale do akt urzędu stanu cywilnego już nie?

– Tamta sytuacja była inna. Regina nie chciała podać danych ojca dziecka do urzędu, bo był Niemcem, a ona swoje w dzieciństwie wycierpiała i nie chciała, by jej dziecku przydarzyło się to samo. Przecież miała niemieckie korzenie. Wolała już, by nie wiadano, kto jest ojcem. No i była komuna, co też nie jest bez znaczenia. Wiedziała, że ja zachowam wszystko w tajemnicy, a jeśli chodzi o urzędników... Cóż... Wolała już być samotną matką z nieślubnym dzieckiem, a to musiała być niełatwa decyzja, zdaje pan sobie sprawę? Zwłaszcza tam, w małym miasteczku, w tamtych czasach. Jakiej siły potrzeba, żeby udźwignąć taki ciężar. I żeby dźwigać go tyle lat. A proszę pamiętać, że była nauczycielką! Opowiadała mi, że komunistyczne władze nieraz próbowały wpłynąć na nią, żeby zrezygnowała, a zaraz potem prosili, żeby została, bo nie było nikogo na jej miejsce. I tak przez kilka lat, aż mały podrósł i w zasadzie nikogo to już nie interesowało, bo życie toczyło się dalej. – Ksiądz spojrzał

na Przeworskiego ciężkim wzrokiem. – Wie pan, w swoim długim życiu byłem świadkiem wielu pięknych chwil i wielu ludzkich nieszczęść. Ale mam wrażenie, że Regina Remus przyjmowała wszystko z jakimś takim wewnętrznym spokojem duszy, jakby miała w Bogu ogromne oparcie. To rzadkość. Niewielu ludzi stać na pokładanie takiej nieskończonej ufności w Panu...

Przeworski w milczeniu odwrócił głowę i jego wzrok zatrzymał się na oknie, za którym było ruchliwe skrzyżowanie. W zasadzie wiedział już to, co chciał wiedzieć, lecz kiedy wychodził kilka minut później z Domu Księży Emerytów, mimo wszystko nie mógł oprzeć się wrażeniu, że wbrew temu, co mówił ksiądz Rozdeba, Regina Remus wcale nie przyjmowała wszystkiego ze spokojem duszy. Stało się coś, co jej ten spokój zburzyło, i niekoniecznie była to wyłącznie śmierć jej syna.



Przeworski wracał właśnie z lodami na patyku ze sklepiku koło ratusza, gdy na rogu Kościuszki i Kilińskiego natknął się na Zenona Owczarka.

– Dobrze, że pana widzę! – Owczarek ucieszył się wyraźnie. – Zapraszam pana do siebie, mam niespodziankę. W zasadzie moja córka. Z pozdrowieniami z IPN-u.

Przeworski poczuł, jak lekko przyśpiesza mu puls, nie zauważył nawet, jak od lodów odpada kawałek polewy czekoladowej i przyklepia mu się do czubka buta.

– Jestem za dziesięć minut. Aha, panie Zenonie: rolety mogą być niebieskie.

Owczarek roześmiał się i poszedł do siebie, a aspirant szybkim krokiem ruszył w stronę budynku rewiru. Musiał jeszcze pogadać ze swoimi w Policach w sprawie zatrzymanego wczoraj syna mieszkanki Nowego Warpna, która przed chwilą w sklepie poprosiła aspiranta o wywiedzenie się, jak sprawy stoją. Chłopak zaczepiał w Trzebieży ludzi, proponując im skręty z maryśki, podobno tanio. Oczywiście wcześniej wypalił jedną ze swoich propozycji, co spowodowało wzrost pewności siebie, za to spadek formy intelektualnej, i pociągnęło za sobą określone konsekwencje. Tak więc sprawy stały zdecydowanie źle.

Siedemnaście i pół minuty później lekko spóźniony Przeworski meldował się przed drzwiami domu Owczarka. Byłby chwilę wcześniej, ale musiał jeszcze wyczyścić buty. Gospodarz zaprosił go na górę i usiedli tam gdzie zwykle. Przeworskiemu drżały ręce, kiedy patrzył, jak Owczarek starannie przekłada kopie dokumentów. Aż sam się sobie dziwił, jak głęboko emocjonalnie

wsiąkł w tę historię. Albo odezwała się w nim ta natura tropiciela, albo się starzał, co stwierdził z lekkim ukłuciem w lewej części klatki piersiowej.

– Streszczę panu. – Owczarek odłożył papiery na stół. – W zasadzie potwierdziło się wszystko, co o nim panu powiedziałem. Ubek, służba w Nowym Warpnie od szóstego lutego do dwudziestego czwartego kwietnia czterdziestego szóstego, czyli do chwili śmierci. Mam tu kilka dodatkowych informacji i szczegółów. Po kursie oficerskim skierowany zostaje na etat do Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Kielcach, a potem, dosłownie kilka tygodni później, przeniesiono go do Nowego Warpna. A jeśli przyjdzie panu do głowy pytanie, czemu akurat tu, to być może odpowiedź znajduje się w jego przeszłości.

– Tak?

Owczarek wziął jedną kartkę, na której wydrukowane było zdjęcie z akt osobowych Łakisza. Brakująca twarz ze zdjęcia na posterunku. Patrzył na niego tęgawy, łysy jak kolano mężczyzna z szerokim nosem i posepnym spojrzeniem przymrużonych oczu. Twarz była lekko nalana i nie wzbudzała zaufania. Coś w niej przykuwało wzrok Przeworskiego, który zastanawiał się, czy gdyby nie wiedział, kim jest człowiek na zdjęciu, też odniósłby podobne wrażenie. Poza tym było w niej coś znajomego, miał wrażenie, że mógł kiedyś widzieć tego człowieka, choć było to przecież niemożliwe. Może po prostu zobaczył kogoś podobnego, kogo obraz utkwiał mu gdzieś między neuronami.

– Antoni Łakisza to przedwojenny komunista, działacz Komunistycznej Partii Polski – kontynuował Owczarek. – Więziony w trzydziestym ósmym w tak zwanym Miejscu Odosobnienia w Berezie Kartuskiej. W czasie okupacji ukrywał się pod przybranym nazwiskiem w Warszawie, został przypadkiem schwytany w łapance w czterdziestym trzecim. Nierozpoznany przez gestapo trafił na roboty przymusowe do... No, niech pan zgadnie.

– Do Neuwarp – westchnął Przeworski, przypominając sobie podobną zagadkę Cehaka, na którą nie chciał odpowiedzieć, bo wydawało mu się, że szkoda tracić czas, skoro istnieje milion możliwych odpowiedzi.

I teraz znów okazało się, że odpowiedzią jest to miejsce.

– Brawo. Może nie dokładnie do samego Neuwarp, ale bardzo blisko. Pracował w Albrechtsdorf, u von Enckevortów, właścicieli pałacu w dzisiejszym Karsznie, które obecnie jest dzielnicą Nowego Warpna. Z tego, co wiem, większość przymusowych robotników nie miała źle, zwłaszcza tam, w Albrechtsdorf; chodzi mi oczywiście o porównanie z sytuacją więźniów obozów koncentracyjnych. Traktowano ich i karmiono w miarę przyzwoicie, choć groziły im kary za uciezki czy romanse z Niemkami. Hańbienie rasy karano często śmiercią. Chodziły kiedyś plotki, że grupa kilkunastu przymusowych robotników przywiezionych do Neuwarp na początku czterdziestego drugiego roku zniknęła bez śladu, prawdopodobnie ich rozstrzelano, a ciała gdzieś zakopano. Ale Łakiszewi, jak widać, udało się tutaj przetrwać resztę wojny bez uszczerbku. Kiedy zbliżała się radziecka ofensywa i wielu mieszkańców uciekało, on też uciekł, tylko w drugą stronę, na wschód. Nie przyłączył się do armii polskiej sformowanej w ZSRR, która razem z Armią Czerwoną parła na Berlin, tylko zasilił siły bezpieczeństwa. Wrócił na początku lutego, a nie, jak mówiłem, w styczniu czterdziestego szóstego. Wrócił już nie do Neuwarp, tylko do Nowego Warpna, i nie jako robotnik przymusowy, tylko jako oficer UB, pod swoim prawdziwym nazwiskiem.

– Szybko mu poszło. Październik? Wtedy było wyzwolenie Nowego Warpna?

– Trochę wcześniej, w październiku nastali tu Polacy. – Owczarek roześmiał się. – Chociaż dziś mówimy o zdobyciu, a nie o wyzwoleniu. Ale faktycznie, błyskawica. Widzi pan, w tamtych czasach obowiązywała maksyma: nie matura, lecz chęć szczerą

zrobi z ciebie oficera. A Łakisz był zasłużony. I proszę pamiętać, że przed drugą wojną komuniści działali niejako w konspiracji, więc miał niezłe doświadczenie. Sam fakt, że nie rozszyfrowało go gestapo, również o czymś świadczy. To był dobry materiał na ubeka. Musiał też wzbudzić zaufanie swoich, i to nie dziwi, bo w końcu był u Niemców, a NKWD zwykle takich kierowało w odpowiednie miejsce, żeby się przyznali do Bóg wie czego.

– Wrócił tu na własne życzenie... – Przeworski ze zmarszczonymi brwiami przyglądał się podobnie Łakisza.

Ubek był raczej pulchny i nie wyglądał na zabiedzonego. Od zakończenia wojny minął prawie rok, a on wyglądał, jakby dobrze mu się powodziło.

– To dość prawdopodobne – zgodził się Owczarek.

– Tylko po co?

– Może miał jakiś interes.

– Niedokończone sprawy?

– Tylko jakie?

– Właśnie. Jakie? – Aspirant wziął zdjęcie do ręki i przyjrzał mu się jeszcze raz. – Zaraz... – Teraz nagle coś do niego dotarło. – Co pan powiedział przed chwilą o tych robotnikach przymusowych?

Owczarek uniósł brwi.

– Myśli pan...

– Możliwe. – Przeworski pokiwał głową. – Zna pan jakieś bliższe szczegóły?

– Nie. Nawet przybliżonej daty czy chociażby pory roku. Tego czterdziestego drugiego też praktycznie nie można być pewnym.

– Może to właśnie nie byli przymusowi robotnicy, tylko ci więźniowie z obozu, których znalazła ekipa Łuczaka?

Owczarek patrzył na Przeworskiego badawczo.

– Do kogo przyjechali? Kto ich... Zamówił?

– Myśli pan, że Łakisz mógł to wiedzieć?

– A pan sądzi, że przysłano ich do Karszna, Łakisz był świadkiem ich śmierci, a po wojnie wrócił tu, żeby, nie wiem...

Dochodzić sprawiedliwości?

– Tylko się głośno zastanawiam.

– Powiem panu, jakie historie stają mi teraz przed oczami. – Owczarek sięgnął po herbatę. – Wie pan, co Niemcy robili co jakiś czas z komandami odzierającymi zwłoki zagazowanych Żydów z kosztowności? Likwidowali ich członków, bo byli świadkami nie tylko bestialstwa nazistów, ale i bogactwa, jakie oni przejmowali. Mogło być tak, że więźniów przywieziono tu, by załadowali coś, jakiś transport, a potem zlikwidowano ich jako niewygodnych świadków.

– Ma pan na myśli jakiś skarb? Coś jak ten wałbrzyski złoty pociąg?

– Nie mam pojęcia. Wiem, że to brzmi jak historia rodem z taniej literatury sensacyjnej, ale może chodziło na przykład o dużą kolekcję dzieł sztuki, a może o coś innego. To tylko sto kilkadziesiąt kilometrów, sam pan to zauważył. Zniknięcie tutejszych przymusowych, na przykład tych z majątku von Eckenwortów, wzbudziłoby jakieś podejrzenia, a tak... Przywieziono ich pewnie w nocy, zrobili, co trzeba, a potem ich zabito: część rozstrzelano, część zginęła w inny sposób, a wszystkich pochowano za cmentarzem żydowskim. I wie pan, na co właśnie wpadłem? Może to, że obie grupy zginęły w różny sposób, wynika z tego, że byli rozdzieleni? Przebywali w innych miejscach?

Przeworskiemu przypomniały się słowa Ossowskiego o prostocie sposobu wykonania egzekucji.

– A może Łakisz nie wrócił dochodzić sprawiedliwości, tylko przejąć to, co zostało? – zapytał, nie wracając już do teorii Owczarka, ponieważ i tak były to spekulacje. – Bo na przykład wiedział, że zostało? I wiedział też, co to było?

– Brniemy w fantastykę, panie Dominiku.

– Wiem. Ale on tu jednak po coś wrócił. I nie sądzę, żeby zakochał się w tym miejscu. I jeszcze jedna rzecz: po co ci



Niemcy? Wiem, że to kryminaliści, ale naziści mieli w obozie tysiące Żydów, którymi pogardzali. A jednak wysłali swoich. Dlaczego? Musiał być w tym jakiś cel, panie Zenonie. Po prostu musiał.

– To jak już tak fantazjujemy... Wojna wojną, obozy obozami, ale może pan słyszał, że więźniowie próbowali zapewniać sobie rozrywkę. Czasem nawet to wręcz Niemcy wszystko organizowali, wykorzystując więźniów. Mówię o meczach piłki nożnej, zawodach bokserskich i tym podobnych. Pięciu Niemców i pięciu Żydów... Jak dwie drużyny, co?

– Jaki sport ma pięcioosobowe zespoły? Siatkówka?

– Niekoniecznie musieli trzymać się ściśle zasad.

– Niby tak...

Nagle Przeworski doznał olśnienia. Wreszcie wyjaśniło się, skąd to wrażenie, że gdzieś już widział tego człowieka, którego zdjęcie leżało przed nim.

– Nie wydaje się panu... – Urwał, zastanawiając się, jak sformułować pytanie, żeby zbyt łatwo nie naprowadzić Owczarka sugestią. – Czy Łakisz nie przypomina panu kogoś?

– Kogo? – Owczarek uniósł okulary, zostawiając je sobie na czole.

– Niech pan sobie tylko wyobrazi, że jest szczuplejszy.

Przeworski sięgnął po leżącą na kanapie poduszkę obszytą lamelą z frędzelkami. Położył ją na blacie i wsunął pod nią zdjęcie tak, żeby czoło Łakisza zniknęło pod frędzlami. Owczarek najpierw zamrugnął, potem lekko pokręcił głową, a następnie zbliżył ją do blatu, jakby nie wierzył własnym oczom.

I tak chyba było.

– Jak to możliwe? – zapytał.

– Pan ma przecież córkę i nie wie pan jak? – zażartował aspirant.

Owczarek nie roześmiał się, widać było, że intensywnie myśli.

– Podobieństwo jest bezdyskusyjne, choć dopiero teraz to widać. Jednak łysina człowieka odmienia nie do poznania. – Pogładził się po głowie, na której nie było ani jednego włosa, i spojrział z podziwem na aspiranta. – Dwa pytania, ale odpowie mi pan tylko na jedno: jak mogłem tego nie zauważyć i jak pan to skojarzył?

– Na pierwsze sam pan sobie odpowiedział przed chwilą. – Przeworski zerknął znacząco na czubek głowy Owczarka. – A jeśli chodzi o drugie: podczas oględzin domu Remus w papierach znalazłem jej zdjęcie z młodości. Jestem wzrokowcem i mam dobrą pamięć.

– Jak słoń. – Owczarek uśmiechnął się, a Przeworski na moment spochmurniał, kiedy przed oczami stanęło mu jego poprzednie życie.

Takie inne, tak odległe, które tak lubił i którego żałował w momencie, gdy je stracił, a równocześnie nie chciał już do niego wracać. „Słoniem” nazywali go w poprzedniej pracy koledzy z kryminalnej, właśnie z powodu jego fenomenalnej pamięci do twarzy, nazwisk i szczegółów, na które inni nie zwracali uwagi, bo były nieistotne. Istotne stawały się dopiero wtedy, kiedy przypominał je sobie w odpowiednim momencie właśnie Przeworski.

Teraz Owczarek przyglądał się z namysłem zdjęciu.

– Jeśli Regina Remus jest faktycznie córką Łakisza, to jest jedno prawdopodobne wyjaśnienie – stwierdził po chwili. – Pan wie, jak traktowano tu Niemców po czterdziestym piątym? Na zdobycznych ziemiach? No właśnie. Łakisza mógł po prostu zgwałcić jej matkę. Prawem zwycięzcy, rozumie pan, w tamtych czasach to było niestety dość powszechne. Wojenna pożoga co prawda zgasła, ale jeszcze długo na tak zwanych ziemiach odzyskanych rządziło prawo pięści. I rzadko kiedy można było się komukolwiek poskarżyć, nie mówiąc już o dochodzeniu sprawiedliwości.

– Może dlatego Łakisz zginął? Może Karl Remus doszedł sprawiedliwości, wymierzając ją sam?

– Przy okazji zabijając kilku milicjantów, podszywając się przy tym pod polskie podziemie niepodległościowe? Szkutnik, który nigdy nie był na wojnie? Panie Dominiku...

– Nie takie rzeczy ludzie robili, kiedy byli doprowadzeni do ostateczności.

– Niby tak. Ale jakoś nie chce mi się w to wierzyć. I co, wychowywał potem córkę obcego człowieka?

– Podobno trzydzieści procent mężczyzn wychowuje nie swoje dzieci i zdecydowana większość nigdy się o tym nie dowie. Nie trzeba daleko szukać przykładów, co? – Przeworski spojrzał na Owczarka znacząco, wspominając sprawę Rajewskich sprzed kilku miesięcy. – No nic, kolejna zagadka, na którą odpowiedzi prawdopodobnie nigdy nie poznamy.

– A jak sprawa zabójstwa? – zapytał Owczarek.

Aspirant spojrzał na niego melancholijnie.

– Wie pan, że nie mogę panu niczego powiedzieć?

– Wiem – odparł, ale nie wyglądał, jakby wiedział: uśmiechał się znacząco.

– Już chyba wszystko wiadomo. – Przeworski westchnął. – Albo prawie. Tyle mogę panu powiedzieć.

Kiedy kilka tygodni później wspominał tę rozmowę z Owczarkiem, nadziwić się nie mógł tej pewności, która brzmiała w jego głosie, gdy wypowiadał te słowa.

Dawno tak się nie pomylił jak wtedy.



Przeworski leżał w łóżku z Natalią. Oboje byli nadzy, właśnie skończyli się kochać, świeże powietrze wpadające przez otwarte okno chłodziło ich rozgrzane ciała, a aspirant z przyjemnością podziwiał krągłości Natalii. Było im dobrze. Nie tylko w łóżku. Przyzwyczyił się już do myśli, że ma nową partnerkę, do tego, że jest chora też, powoli przechodziła mu obawa, że zdarzy się coś podobnego do tego, co spowodowało jego przyjazd do Nowego Warpna. Ufał Natalii, choć wiedział, że nie powinien ufać jej bezgranicznie, bo jakby co, będzie bardziej bolało. Ale cieszył się nią. Jej towarzystwem, jej urodą, zapachem, smakiem, kobiecością i życiową mądrością, która go trochę zadziwiała, zważywszy na jej dotychczasowe, niezbyt duże doświadczenia. Nie przeszkadzało mu, że jest sześć lat starsza. Zakochał się w niej na zabój, na dobre i na złe, choć liczył, że to drugie nigdy nie nastąpi.

Jak każdy.

Dopiero tu okazało się również, że w gruncie rzeczy jest samotnikiem. Nie brakowało mu zgiełku miasta, towarzystwa, które w nim zostawił, choć nigdy nie miał zbyt wielu kumpli, a przyjaciół jeszcze mniej. Lubił być sam ze sobą, ludzie, których poznał tutaj, w wystarczającym stopniu zaspokajali jego potrzeby kontaktu społecznego, a Natalia była esencją jego życia w nowym miejscu, do którego trafił w tak niespodziewany sposób.

– Słuchaj, chciałbym z tobą porozmawiać o... – Utknął na sekundę. – O nim.

– Proszę? – Uniosła lekko głowę i spojrzała na niego zdumiona.

– Wiem, że to nie jest może najlepszy moment...

– Owszem, nie jest. Ale masz wycucie, chłopie.

– Jeśli nie chcesz o tym teraz rozmawiać, to nie ma sprawy, ale chyba i tak to w końcu będzie musiało nastąpić. Muszę coś wiedzieć, rozumiesz?

– Dobrze, możemy porozmawiać o nim teraz. Widzę, że ostatnio coś cię uwiera. On?

– Nie do końca on. I nie chcę cię wypytywać o intymne szczegóły – zastrzegł. – Nie o to chodzi.

– A o co? O jego matkę?

Po śmierci Reginy Remus Przeworski miał wrażenie, że Natalia znów się zamyka, tak jak po samobójstwie swojego byłego, na szczęście pozbierała się jakoś, bo tym razem było chyba naprawdę trudno znaleźć przyczynę, z której powodu mogłaby się o to obwiniać. Aspirant nie mówił jej o tym, co dzieje się w śledztwie, ponieważ po pierwsze obowiązywała go tajemnica służbowa, choć wielu jego kolegów ją lekceważyło. A po drugie chciał oszczędzić Natalii złych emocji, bo tak czasem traktowali swoje partnerki policjanci: jak kontenery na emocje, które zrzucali do niego po pracy. On swoje zrzucał na treningach krav magi, z których nie zrezygnował po przeprowadzce do Nowego Warpna, choć ostatnio było z tym gorzej, i podczas długich przebieżek po okolicy.

Ale teraz nie miał chyba wyjścia. Natalia była najbliższej związana z Remusami.

– Tak, o nią – mruknął. – Widzisz... Coś tam się wydarzyło. W jego domu. Ich domu. Nie wiem dokładnie co, ale miało związek z przeszłością Remusowej. I odnoszę wrażenie, że to jednak wpłynęło na zachowanie jej syna w ostatnim czasie.

– Ten atak na ciebie też?

– Może niebezpośrednio, mam na myśli, że wbrew pozorom nie byłem powodem, rozumiesz?

– Nie.

– Nie dźgnął mnie nożem wyłącznie z zazdrości; dlatego, że bał się, że mu cię odbiorę.

– Nie odebrałaś mnie – zachnęła się. – Sama o tym zdecydowałam.

– Wiem. On też to chyba wiedział. Chodzi mi o to, że nie zrobiłby tego, gdyby nie inne okoliczności, rozumiesz?

– Jeszcze nie do końca.

Przeworski westchnął i poprawił poduszkę pod głową.

– Normalny człowiek tak by się nie zachował – stwierdził.

– Może nie był normalny?

– Znałaś go parę lat, co?

– Tak.

– Przyszłoby ci do głowy, że może zrobić coś takiego?

– Nie. Ani to, że cię zaatakował, ani to, że się zabił. Choć sposób, w jaki to zrobił, mnie nie dziwi.

– Czy ostatnio nastąpiła w nim jakaś zmiana?

– Tak. Tak sądzę, choć wiązałam to raczej z tobą. Na pewno zachowywałam się inaczej, od kiedy uświadomiłam sobie, że cię kocham. Ale to też nie było tak, że podjęłam decyzję nagle. Mówiłam ci kiedyś: nasze rozstanie było kwestią czasu. Ty je tylko przyspieszyłeś.

– Hmm... A gdybyś wyobraziła sobie, że to nie przeze mnie? Co innego mogłoby to być?

Natalia odgarnęła włosy i odgięła szyję, jej tułów uniósł się lekko, a piersi zafalowały. Zamknęła oczy, a potem opadła na pościel.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Był trochę dziwny, taki zamknięty w sobie i skryty, ale ja to szanowałam. W końcu mam swoje sekrety, nie?

– On wiedział? – Przeworski uniósł się na łokciu i spojrzał Natalii w oczy.

Milczała przez chwilę.

– Nie – mruknęła. – Jesteś pierwszą osobą spoza najbliższej rodziny, która wie.

Aspirant niespodziewanie przytulił ją mocno i pocałował w usta.

– Ej, ty twardzielu. – Roześmiała się. – Nie wiedziałam, że taki z ciebie romantyk.

– Ja też nie. – Uniósł brwi w udawanym zdziwieniu.

– W każdym razie nigdy nie był przesadnie wylewny. – Poczekwała, aż Przeworski się położy, przesunęła się w jego stronę i położyła mu głowę na piersi. – Za to był mocno związany z matką i tego się bałam najbardziej. Nie, nie związany, źle się wyraziłam. On był w jakiś dziwny sposób od niej uzależniony. Mieszkali razem nie tylko dlatego, że się nią opiekował, choć nie wymagała jakiejś szczególnej opieki, ani nie dlatego, że nie stać go było na wynajęcie czy kupno czegoś własnego. Znaczący, to też, ale wiesz, o co chodzi? Nie miałyby to sensu, ale jednak rodzi określone okoliczności. Ale u niego ten związek było widać. I nie określiłabym go jako emocjonalny. On żył tak, jakby nie umiał inaczej. I nawet nie chciał. Jakby uważał, że tak ma być, bo tak to wymyślono.

– Był wierzący?

– Hmm... – zastanowiła się. – Chodził do kościoła, ale nie miał takiej żarliwości jak jego matka. I to też było chyba na tej samej zasadzie: ona chodziła do kościoła, więc on też. Jakby nie przyszło mu do głowy, że nie musi. Że może mieć własne zdanie.

– Może po prostu chciał?

– Może. Ale tak jak ci mówiłam, nie gadaliśmy o tym. I faktycznie, jak wracam pamięcią do wiosny, to coś z nim się działo. Zrobił się bardziej mrukliwy. Raz stracił panowanie nad sobą i zamachnął się na mnie, ale wtedy wypił z kolegami, więc...

– Więc?

– Co mam ci powiedzieć? – mruknęła. – Klasyka, co?

– Ważne, że uświadomiłaś to sobie w porę. Gadam jak stary dziad, co? Tatusiek...

Spojrzała na niego z rozczeniem.

– Zależy ci na mnie po prostu. Zależy, co? – upewniła się, kiedy nic nie powiedział.



– A wyglądam, jakby mi nie zależało? – zapytał.

– Wyglądasz zajebiście, tak ci powiem. – Wplotła palce w jego włosy. – Kończymy temat?

– Kończymy. – Westchnął. – Czuję, że tamten atak na mnie był wynikiem ulania się wszystkiego. Coś wzbierało w nim przez jakiś czas i w pewnej chwili pękło. Akurat tam, przed rewirem, w nocy. I teraz chciałbym wiedzieć, co to było, skoro niekoniecznie musimy wiązać to z nami. Nie z klasyczną zazdrością i zawodem miłosnym.

– Zostaw go już, co? – poprosiła. – Zajmij się lepiej mną, okej?

Uśmiechnął się i oczy mu zabłyśły.

– Z przyjemnością. Od czego mam zacząć?

– Najlepiej od początku...

Kiedy skończyli, pojechali rowerami do Podgrodzia na plażę. Zamiast zachodu słońca nad jeziorem wybrali zaciszny, zielony zakątek z widokiem na zalew. Przeworski pamiętał, że kiedy był tu w związku ze sprawą szkieletów znalezionych w ogrodzie Sobuckich, to miejsce było niemal odpychające, mimo niezwykle widoku na otwarty akwen. Nagie, bezlistne gałęzie drzew pokryły się gęstą zielenią, odmieniając to miejsce naznaczone tragediami sprzed lat. Uschnięte badyle sterczące z wody przeobraziły się w miękkie poduszki trzcin, w których kwitło życie, a woda z ołowianej szarości zmieniała się w skrzącą światłem ultramarynę. Natalia zdjęła buty i wpatrując się w horyzont, brodziła w płytkiej wodzie, w której pływały resztki trzcin. Przeworski, siedząc na piasku, patrzył, jak co chwilę zakłada szarpane powiewami wiatru kosmyki jasnych włosów za ucho.

– Zimna?! – zawołał do niej.

Chyba go nie usłyszała, może dlatego, że stała pod wiatr. Przystanąła, spuściła głowę i teraz patrzyła na swoje stopy, zanurzone w wodzie po kostki.

– Nigdy tu z nim nie byłam, wiesz? – powiedziała nagle, odwracając się do niego.

Mocniejszy podmuch potargał jej włosy, które na chwilę zasłoniły twarz.

– Nigdy? – zdziwił się.

– Nigdy. On mnie tu nie zabrał, a ja...

– Ty też go tu nie zabrałaś – dokończył.

– Właśnie. – Pokiwała głową. – Z ust mi to wyjąłeś.

Wracali przytuleni, jeszcze przez chwilę prowadząc rowery. Szarzało już. Koło wiaty, gdzie dekady wcześniej na noc zajeżdżała kolejka wąskotorowa objeżdżająca dziecięce miasteczko w Podgrodziu, Natalia przysiadła, otrzepała stopy z piasku i włożyła buty. Gdy ruszyli dalej, wciąż jeszcze prowadząc rowery, w pewnym momencie mocniej przywarła do Przeworskiego.

– Jestem taka szczęśliwa – szepnęła mu. – Powiedz, że nic się nie spieprzy, co?

– Co ma się spieprzyć? – Uśmiechnął się do niej.

– Wszystko! – Jej oczy były okrągłe i poczuł, jak lekko sztywnieje. – Wszystko może się spieprzyć!

– To wtedy będziemy się martwić, dobra? A teraz to zostawmy. Nocujesz dziś u mnie?

Rozluźniła się wyraźnie i roześmiała.

– Przekonałeś mnie...

Wsiedli na rowery i opędzając się od komarów, ruszyli w drogę powrotną.



– Dzień dobry, panie Dominiku. – W głosie Zenona Owczarka był nieskrywany entuzjazm.

– Dzień dobry. – Przeworski przycisnął komórkę ramieniem do ucha i z powrotem chwycił mysz.

Uzupełnianie statystyk nie było jego ulubioną robotą, ale ktoś to musiał zrobić, a tak się składało, że innego ktosia, który mógłby to zrobić, w Nowym Warpnie nie było.

– Wróble ćwierkają, że Reginę zabił niejaki Georg Kustler – oznajmił Owczarek.

– Zna pan nazwiska tych wróbli? – Przeworski zrobił wielkie oczy. – Chętnie z nimi poćwierkam. U siebie w rewirze.

Owczarek roześmiał się.

– Nic panu to nie da, ten łańcuch jest nie do wyśledzenia, jeszcze pan tego nie wie?

– W zasadzie interesuje mnie tylko początek tego łańcucha. Pierwsze ogniwo.

– Ilu ludzi było na miejscu zbrodni?

Przeworski wrócił na chwilę wspomnieniami do chwili czynności wykonywanych w domu Reginy Remus, ale przestał liczyć po czwartej osobie. Nawet pracownicy zakładu pogrzebowego, którzy zabierali ciało, mogli zauważyć napis. Owczarek miał rację: to nie miało sensu.

– Przekonał mnie pan. – Westchnął. – Ale żadnych więcej informacji panu nie udzielę.

– To ja panu udzielę. Nie wiem, co prawda, czy to ma cokolwiek wspólnego ze sprawą, ale jest jeszcze jedna rzecz, której pan zapewne nie wie, choć powtarzam: to może być przypadek.

– Jaka to rzecz?

– To nazwisko... Kustler. Tak nazywali się bracia, którzy mieszkali w Nowym Warpnie przed wojną. Erwin i Eugen Kustlerowie.

– Hmm... – Aspirant odsunął mysz i odjechał krzesłem od biurka. – Remus była Niemką...

Wiedział od Cehaka, że Georg Kustler urodził się w Nowym Warpnie, wiedział też, jak nazywał się jego ojciec, ale dopiero teraz coś go nagle uderzyło. Do tej pory skupiał się na związku Georga i Reginy, na ich relacjach, ale w obrębie jednego pokolenia. A jeśli trzeba było cofnąć się w przeszłość jeszcze dalej? Właśnie o pokolenie?

– Tak – potwierdził Owczarek. – Z pochodzenia Niemką, bo urodziła się już w Polsce. Jej rodzice tu zostali po wojnie, ale ona całkowicie się zasymilowała.

– Mówił mi o tym dawny proboszcz, a wcześniej ojciec Zajdla. Chodził z nią do szkoły.

– Co jeszcze mówił?

– Że w związku z pochodzeniem nie miała łatwo, że jej ojciec był skutnikiem, pracował tu na przystani, naprawiał łodzie i uczył fachu Polaków. Tyle wiem.

– Zgadza się. Zmarł na zawał, bodaj w siedemdziesiątym szóstym. Jej matka zmarła dużo wcześniej.

– A Kustlerowie? – Przeworskiego ciekawiło, co Owczarek wie na ten temat.

– Erwin był piekarzem. Jego piekarnia była przy Kościuszki. A Eugen był lekarzem wojskowym, ponoć bardzo majątnym i ustosunkowanym człowiekiem. Mieli hotel obok tej piekarni, ale został rozebrany jakoś w stanie wojennym. A cała rodzina mieszkała w wielkim domu nazywanym Villa Waldhof, ale Eugen praktycznie tam nie bywał. Miał pasję, hodował psy myśliwskie. Układał je do polowań na grubego zwierza. Wyjechali stąd pod

koniec lat czterdziestych. A w zasadzie uciekli, do Altwarp. Ciekawe, czy Georg Kustler to potomek któregoś z nich?

Przeworski walczył ze sobą przez chwilę. W końcu się zdecydował.

– Nie powinienem panu tego mówić, ale w sumie jesteśmy z tej samej gliny, więc powiem. Tak. To syn Erwina. Urodził się jeszcze tutaj, w czterdziestym czwartym.

– Aa, już coś mi świta. Wie pan, mam sporadyczny kontakt z jednym człowiekiem, który się tu urodził pod koniec wojny, mieszka w Wolgast. Mówił mi kilka lat temu, że stary Erwin jeszcze żyje, ma prawie setkę, ale ciągle jest w dobrej formie. I wspominał właśnie, że ma syna, który buduje jachty. Jest też jakimś pastorem czy coś takiego.

– Zgadza się, ale tylko to pierwsze, bo Georg Kustler nie jest pastorem, a jakąś szychą w tamtejszym kościele. Wie pan, w przypadku Kościoła ewangelickiego sytuacja jest nieco bardziej skomplikowana.

– Rozumiem, że Georg jest głównym podejrzanym?

– Panie Zenonie...

Owczarek znów się roześmiał.

– Dobra, nie naciskam. Ale wie pan, co przyszło mi do głowy?

– No?

– Pamięta pan, rozmawialiśmy o Łakiszu?

– Oczywiście, że pamiętam.

– Zastanawialiśmy się, po co tu wrócił.

– Tak.

– Wygląda na to, że Georg też tu po coś wrócił.

– Jeszcze nie wiemy tego na pewno, ale raczej po to, żeby zabić Reginę Remus.

– Znali się?

– Znowu ciągnie mnie pan za język. No dobrze, znali się, a przynajmniej tak to wygląda, bo Kustler nic nie mówi. W komórce Remusowej był jego numer, ona do niego dzwoniła.

I był tu w siedemdziesiątym szóstym. – Przeworski postanowił, że wstrzyma się z informowaniem Owczarka o rewelacjach, których dowiedział się od Rozdeby.

Może tylko na razie, a może w ogóle.

– Jasne. W każdym razie zastanawiające jest, że tu ciągle ktoś po coś wraca. Tak mi tylko przyszło do głowy...

Przeworski zapatrzył się w okno. Coś było w tym, co powiedział przed chwilą Owczarek. Wyglądało na to, że początek zdarzeń, których finałem była śmierć Reginy Remus, mógł sięgać w przeszłość, i to dość odległą, choć aspirant nie umiał sobie wyobrazić, jak można by połączyć te wydarzenia, które w dodatku dzieliło tyle lat, a właściwie dekad. A teraz doszły jeszcze przypuszczenia dotyczące pokolenia braci Kustlerów. Ale kolejne pytanie brzmiało, czy śmierć emerytowanej nauczycielki faktycznie była końcem sprawy.

– Gdybym... – zaczął i urwał, zastanawiając się, jak sformułować to, co chciał przekazać. – Gdyby zaszły jakieś okoliczności i potrzebowałbym jakichś informacji, mówię o przeszłości, rozumiem, że mogę się do pana zgłosić?

– Zawsze. – Głos Owczarka zrobił się poważny. – Niech pan wali jak w dym.

Aspirant dawno nie słyszał tego powiedzenia, ostatnio lata temu z ust ojca.

– Dzięki – powiedział i pożegnał się, zapominając dodać coś o roletach.

Odłożył telefon na biurko i znów zapatrzył się w okno. Piekarz, wojskowy, właściciel stoczni, szkutnik i emerytowana nauczycielka. Oprócz związków rodzinnych nie łączyło ich nic poza miejscem, gdzie żyli. Czy to, że kiedyś nazwa tego miejsca brzmiała Neuwarp, a dziś Nowe Warpno, miało jakieś znaczenie? I czy na pewno były to jedyne rzeczy, które ich wszystkich łączyły?

I nagle uderzyło go coś jeszcze. Właśnie uświadomił sobie kolejną rzecz, która łączyła tych wszystkich ludzi i nawet

wspomniał już komuś o tym podczas rozmowy o Reginie i Georgu. Narodowość. Wszyscy byli Niemcami. Była to rzecz tak oczywista, że nie brał jej pod uwagę, a przecież mogła mieć znaczenie.

Przeworski podszedł do okna, oparł się o parapet i całkiem serio pomyślał o tym, że trzeba będzie nieoficjalnie włączyć Owczarka w tę sprawę. On zresztą też był w niej mocno nieoficjalnie, ale wyglądało na to, że gdyby zapytał Owczarka o Kustlera wcześniej, może byłby już dalej. Może powinien był mu jednak powiedzieć, że Georg Kustler był ojcem Remigiusza? Tylko że to nie aspirant Przeworski prowadził śledztwo. Jedyne, co mógł teraz zrobić, to pogadać z Cehakiem, zastanawiał się jednak, czy ma to sens. Nie miał nic, jakieś nikłe powiązania, choć na tym etapie trudno to było nazwać powiązaniem. A nawet tropem.

Po południu poszedł z Natalią na plażę. W dzień powszedni nie było tu dużo ludzi: latem, w weekendy, Nowe Warpno zaczynało przypominać Międzyzdroje w szczycie sezonu. Usiedli w cieniu, bo Natalia jako naturalna blondynka miała bardzo jasną karnację i nie lubiła się opalać. Siedziała na kocu w cieniu drzewa, na granicy piaszczystej łąchy i trawy, w słomkowym kapeluszu i wielkich okularach przeciwsłonecznych, z których śmiał się Przeworski, twierdząc, że wygląda w nich jak gigantyczna mucha. Miała na sobie dół od kostiumu i T-shirt Przeworskiego, jadła arbuza i patrzyła na aspiranta, który w samych kąpielówkach stał podparty pod boki i spoglądał na jezioro.

– Wyglądasz jak ratownik – stwierdziła. – Ze Słonecznego patrolu.

– Dobrze, że nie z „Psiego”. – Wyszczrzył się do niej. – Czy potrzebuje pani mojej pomocy?

– Gapią się na ciebie te baby. – Wskazała skórką arbuza grupkę kobiet, które smażyły się na pełnym słońcu kilkadziesiąt metrów od nich. – One wyglądają, jakby chciały twojej pomocy, ale nawet nie waż się ich ratować.



– Tu woda jest do kolan nawet sto metrów od brzegu. – Przeworski obejrzał się, ale jego zdaniem kobiety po prostu pyłowały ze sobą i żadnej nie przyszło nawet do głowy, żeby na niego spojrzeć.

– I bardzo dobrze. – Natalia otarła usta, odłożyła skórkę do foliowej torebki i zakręciła ją szczelnie.

Nie było dużo os, ale panicznie bała się uządlenia. Przeworski zauważył, że dziewczyna jest trochę lękliwa, ale doszedł do wniosku, że wynika to z jej wrażliwości.

Obejrzał swoje opalone przedramiona i zerknął na brzuch. Wciąż był umięśniony i wciąż dało się policzyć poszczególne żeberka kaloryfera, miał jednak wrażenie, że warstwa tłuszczu pod skórą niepokojąco się zwiększa. W ostatnim czasie zaniedbał jednak trochę treningi krav magi, teraz wyłącznie biegał, czasem pływał i jeździł na rowerze. A może po prostu upominał się o niego czas.

Podszedł do Natalii, kucnął i strzepnął z koca piasek.

– Jeszcze ani razu się nie pokłóciliśmy – powiedziała, głaszcząc jego łydkę.

– To zarzut? – zapytał, kładąc się koło niej z rękami pod głowę.

– Nieee, raczej zaskoczenie. Myślałam, że wszyscy faceci są z zasady kłótniwi. Wszyscy, oprócz... – Urwała.

– Z nim też się nie kłóciłaś? – zapytał w końcu, choć nie miał pewności, czy to dobry pomysł.

– Ani razu, wyobrażasz sobie? – Zsunęła kapelusz na tył głowy i uniosła okulary, zakładając je na czoło. – Ani jednego razu.

Przeworski urwał źdźbło dojrzałej trawy rosnące obok i włożył je sobie w zęby. Myślał nad tym, co powiedziała.

– Wczoraj przechodziłam tędy z psami, Parbat się tu załatwiał.

– W jej głosie było rozbawienie, ale i coś jeszcze. Jakieś napięcie, które to rozbawienie miało maskować.

– Zmień mu karmę, ma za dużo białka. – Cmoknął, a ona parsknęła śmiechem.

Zdjęła kapelusz i przeczesła włosy, a on na wszelki wypadek wyrzucił źdźbło.

– Wtedy, ten jeden jedyny raz, kiedy próbował mnie uderzyć... – zaczęła.

– No?

– Wrócił od matki. Z jej pokoju. Nie słyszałam, o czym rozmawiali, bo czytałam u niego w pokoju książkę, tam był taki dziwny układ pomieszczeń...

– Wiem – mruknął aspirant.

– Wiesz?

– Tak. Byłem tam przecież.

– Fakt... – Opuściła głowę i przez chwilę wytrzępywała piasek pomiędzy palców stóp. – W każdym razie wrócił od niej. Był wtedy po alkoholu. Powiedziała coś, skomentowałam chyba, ale nie niegrzecznie, po prostu rzuciłam jakąś luźną uwagę, a on zamierzył się na mnie i zamachnął. Zdążyłam się zasłonić ręką, a wtedy chwycił mnie za nadgarstek i mocno ścisnął, aż jęknęłam... Miał taki dziki wzrok, a on przecież nigdy nie tracił nad sobą panowania. Kiedy coś się działo, zamykał się w sobie, milkł i uciekał gdzieś. A wtedy... Wiesz, co sobie w tamtej chwili pomyślałam? Że on wcale nie chciał uderzyć mnie, rozumiesz? Nie mnie, tylko...

– Tak. Rozumiem.

– Nigdy o niej nie rozmawialiśmy. Jeśli o niej wspominał, to zawsze była „matka”. Matka powiedziała, matka zrobiła, muszę kupić coś matce... I im więcej ci o nim mówię, tym bardziej się zastanawiam, co mnie z nim łączyło? Po co z nim byłam? Chciałam mu ją zastąpić? Zostać lekarstwem? Ja? Pewnie się zastanawiasz, czy może dla seksu?

– Nie – skłamał Przeworski.

– Nie było żadnych fajerwerków. Było zaspokajanie.

Podkurczyła nogę, oparła podbródek o kolano i zapatrzyła się na jezioro, a potem na kobiety, których Przeworski miał pod żadnym

pozorem nie ratować.

– Bardzo często temat naszych rozmów schodzi na niego, zauważyłeś? – powiedziała cicho.

– Często nie. Zdarzyło się raz czy dwa.

– Teraz też.

– Zgadza się, ale to ty zeszłaś, i to jest ten drugi raz. Nie mam nic przeciwko temu, w takim sensie, że nie czuję się zazdrosny o twoją przeszłość i związek z nim, ani nic takiego.

– W ogóle nie jesteś o mnie zazdrosny? – zdziwiła się.

– Trochę jestem. – Otworzył oczy, lekko uniósł głowę i zmarszczył nos. – W granicach zdrowego rozsądku. To chyba dobrze?

– Dobrze, zresztą i tak nie masz powodów, bo nie masz tu konkurencji. Ani tu, ani nigdzie. – Westchnęła i odwróciła się w jego stronę. – Jesteś moim zdrowym rozsądkiem, wiesz? Oparciem. Trzymasz mnie w pionie, żebym nie upadła, i trzymasz mnie na ziemi, żebym nie odleciała.

– Będę cię trzymał dalej, możesz się nie martwić. – Wsunął swoje palce między jej i zacisnął.

– Myślisz, że to ciągle gadanie o nim to forma terapii? – zapytała, zerkając na ich splecione mocno dłonie.

– Może tak być – przyznał z lekkim ociąganiem, w sumie też to podejrzewał. – To zrozumiałe, że próbujesz sobie z tym wszystkim poradzić, przepracować to. Jeśli czujesz taką potrzebę, to nie widzę przeszkód, żeby z tobą o tym rozmawiać. Dla mnie to nie jest żaden problem i pamiętaj o tym, dobrze?

– Okej, dzięki. – Głaskała kciukiem wierzch jego dłoni. – Teraz tak sobie myślę, że gdyby on poszedł na terapię albo chociaż się jednak od niej wyprowadził, to może wszystko inaczej by się skończyło.

– Co to znaczy: wszystko?

– Wszystko, Dominik. – Wzruszyła ramionami, puściła jego dłoń, założyła okulary na nos i położyła się, jakby dawała tym

samym znak, że temat zostaje zamknięty, przynajmniej do następnego razu w nieodległej przyszłości. – Wszystko...



1976

Georg Kustler wrócił późno z rautu, który władze gminne wydały na cześć gości. Był lekko wstawiony, choć świadczył o tym tylko oddech i lekko szkliste spojrzenie. Trzymał się prosto i zachowywał cicho.

– Regina śpi? – zapytał, zamykając drzwi.

– Tak, położyła się niedawno – odparł Karl Remus, siedzący przy stole. – I dobrze, bo chciałem z tobą porozmawiać. Siadaj, napijemy się. – Wskazał krzesło po przeciwnej stronie stołu.

– Ja też chciałem porozmawiać. – Twarz Kustlera była poważna. Zrobił to, o co prosił gospodarz, i nagle przyjrzał mu się uważniej.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

– Niezbyt, ale zaraz przejdzie, pewnie się gdzieś naciągnąłem. – Remus machnął ręką. – Dobra, ale ja zacznę, bo jestem starszy. Daj kieliszek, należę ci.

Podniósł butelkę, przechylił ją i zastygł w oczekiwaniu na podstawienie szkła.

– Dużo tu pijecie – zauważył Georg.

– A co, u was niby się nie pije? – W głosie Remusa była gorycz, ale Kustler nie skwitował tego, tylko patrzył, jak przezroczysty płyn wypełnia kieliszek aż po same brzegi, a kilka kropel spływa po ściance na jego palce.

Odsunął rękę i postawił go przed sobą.

– O czym chciałeś porozmawiać? – zapytał.

– O niej. – Remus odstawił butelkę na bok i wskazał ruchem podbródka na drzwi do sąsiedniego pokoju.

– O Reginie?

– Tak, o Reginie. Widzę, co się dzieje. Ona jest młoda, wykształcona, ty też. Ale nie należysz tu. Wyjedziesz za kilka dni do siebie i zapomnisz o niej. A ona... Ona zostanie.

– Powinniście też wyjechać. Wrócić do ojczyzny.

– Tu jest moja ojczyzna.

– Tu jest teraz Polska. Rządzą nią komuniści. A ty jesteś Niemcem.

– Tu jest moja ziemia. Tu się urodziłem, i mój ojciec się tu urodził, i dziadek też. Rodzice Trudi też byli stąd. Granice są ruchome, a ziemia nie. Dlatego zostałem. I dlatego nie wyjadę.

– Regina opowiadała mi, co przeżyła w dzieciństwie.

– Życie nie jest proste. Myślisz, że mnie było łatwo?

– Ale nie wyjechałeś.

– Nie, nie uciekłem. – Remus spojrzał Kustlerowi głęboko w oczy, a ten odwrócił po chwili wzrok. – Jungom nie pozwolili wyjechać, ale ze mną było inaczej. To był mój wybór. Nie zatrzymywałem twojego ojca. Ani tym bardziej jego brata. Zrobili, co uważali. Ja też. I nikomu nic do tego. A komunistów mi nie wypominaj, bo co, wasi lepsi, tylko dlatego, że niemieccy? Wszyscy tańczymy, jak Sowietci grają, bez różnicy.

Kustler pokiwał głową.

– Pij. – Karl wziął swój kieliszek i wychylił go jednym haustem, a potem patrzył, jak gość robi to samo, choć jego twarz wykrzywił na chwilę grymas lekkiego obrzydzenia. – Wprawy nie masz.

– Nie mam...

– Może to i dobrze.

– To teraz ja, Karl. – Georg opuścił lekko głowę, ale patrzył wciąż na Remusa spod brwi. – Powiem wprost. Stryj chce odzyskać dokumenty. Wiesz, o jakie dokumenty mi chodzi, prawda?

Remus zastygł jak kamień. Stężała twarz była jak gumowa maska, ręka uniesiona w powietrzu pozostała nieruchoma, kiedy wszystkie, dosłownie wszystkie mięśnie, nawet te otaczające mieszki włosowe, napięły się.

– A więc po to tu przyjechałeś... – wydusił z siebie.

– Po prostu mi je daj. Wiemy, że je masz, choć nie mieliśmy pewności, ale teraz widzę po tobie, że tak było. Zabrałeś je stamtąd, prawda? Ale one nie należą do ciebie, nie masz do nich żadnych praw. Dotyczą mojej rodziny. Chcę, żebyś mi je oddał.

Twarz Remusa pobladła. Skurcz puścił, położył rękę na stole, ale palce drżały.

– Zostaw nas w spokoju – wywarczał. – Zostawcie nas w spokoju. Wszyscy!

– Nie może tak być, że jedna strona ma przewagę. Jeśli je oddasz, układ sił się wyrówna. Po co ci te dokumenty? Zamierzasz je wykorzystać? Po tylu latach? Myślisz, że kogoś to jeszcze obejdzie?

– Owszem, zamierzam je wykorzystać. Kiedyś, kiedy przyjdzie na to czas. To będzie zapłata za to, co mi kazali zrobić. – Szeroko otwarte oczy Remusa wpatrzone były w twarz Kustlera; mówił cicho, ale dobitnie, bojąc się, że podniesionym głosem obudzi córkę. – Miałem rację. Wcale się nie myliłem. Jesteście tacy sami. Jaki ojciec, taki syn.

Kustler wyprostował się gwałtownie.

– Mylisz się. Mój ojciec nie ma z tym nic wspólnego.

Remus otworzył szeroko usta i szybko przyłożył do nich dłoń, jakby bał się wybuchnąć śmiechem. Kustler, widząc to, poczuł mrowienie na karku.

– Nie ma nic wspólnego? Więc ty nie wiesz... – Dłoń Remusa celowała teraz w niego. – Nie wiesz... Nie powiedzieli ci wszystkiego, co, gówniarzu? Wyszczekałeś tylko to, co ci kazali, ale tak naprawdę nie masz nawet pojęcia, o co tu chodzi... Gdybyś to zobaczył na własne... – Urwał.



– O czym ty mówisz? – Kustler pochylił się nad stołem, mocno ściskając blat.

Remus wpatrywał się w niego, wciąż biały na twarzy, ale teraz dodatkowo całą skórę pokrył pot, który w jednej chwili zrosił czoło, policzki i szyję. Skóra błyszczała w świetle lampy jak nawoskowana, w zagłębieniu między obojczykami zebrała się wilgoć. Klatka piersiowa unosiła się w rytmie szybkiego, płytkiego oddechu. Ręka opadła nagle na stół z głośnym plaśnięciem, kieliszek wywrócił się i odrobina pozostałej w nim wódki spłynęła na obrus, znacząc go ciemniejszą plamką. Nagle Remus pochylił się nad stołem, nisko zwieszając głowę i zaczął cicho charczeć, a jego ciałem zaczęły wstrząsać konwulsje.

Georg Kustler podniósł się z krzesła, czując, że wpada w panikę. Nie miał pojęcia, co robić. Remus zaczął jęczeć i nagle przechylił się na bok, a potem upadł na podłogę, z ręką wciśniętą pod lewą pachę. Leżał na boku, miał szeroko otwarte oczy, a w nich strach. Końcówki wąsów ruszały się razem z ustami wydymanymi ciężkim i spazmatycznym oddechem.

Kustler przypadł do niego i przewrócił go na plecy.

– Gdzie to jest? Mów, gdzie to jest, słyszysz?! – szeptał gorączkowo, ale Remus nie słyszał.

Jego twarz wykrzywiło cierpienie, a Kustler był jak ogłupiały. Nie wiedział, co robić. Instrukcje dostał jasne: odzyskać papiery za wszelką cenę.

– Gdzie dokumenty, Karl!?! – Chwycił Remusa za ubranie i potrząsał nim. – Gdzie są papiery?

Remus wygiął się nagle w łuk i znieruchomiał.

– Regina! – wrzasnął Kustler w kierunku drzwi. – Regina, przyjdź tu!

Stała w nich w tej samej chwili, w koszuli nocnej, z włosami upiętymi w kok.

– Co się dzieje!?! Co się stało? – Chwyciła się za twarz, patrząc ogłupiałym wzrokiem na swojego ojca leżącego za stołem

i pochylającego się nad nim Georga.

– To chyba zawał! – Georg nie patrzył na nią. – Siedzieliśmy przy stole, rozmawialiśmy i nagle złapał się za serce i spadł z krzesła!

– Zrób coś! – krzyknęła. – Słyszysz, Georg? Zrób coś!

– Telefon! Trzeba zadzwonić po pogotowie!

– Nie mamy telefonu!

– Gdzie jest najbliższy?

– W urzędzie, ale tam nikogo o tej porze nie ma!

– Sąsiedzi?

– Szkoła! – zawołała. – Jest w szkole, a tam jest woźny!

– Leć tam, dzwoń po karetkę, ja z nim zostanę. Szybko, na co czekasz, na miłość boską?

Ocknęła się jak z letargu.

– Włóż coś na siebie! – zawołał jeszcze za nią.

Po chwili usłyszał trzask drzwi i wiedział, że zostali sami. Otarł pot z czoła, wypita wódka i panika szumiały mu w głowie, ale nie miał teraz czasu, żeby się nad sobą uzalać. Musiał... Walczył ze sobą. Musiał ratować człowieka i musiał zrobić to, co kazał stryj. Pochylił się nad Karlem Remusem, usiadł obok niego na podłodze i spróbował podnieść jego głowę, ale nawet jej nie dotknął, nie miał odwagi. Remus rządził ciężko.

– Chciałbym ci pomóc, Karl, naprawdę – powiedział cicho, kiwając się nad nim. – Ale nie umiem. Wytrzymaj. Wytrzymaj do przyjazdu karetki. Dasz radę. Pozostało nam tylko czekać, nic innego nie możemy zrobić. Ja nie mogę. Nie potrafię. Słyszysz, co mówię, Karl? – Pochylił się mocniej, ale Remus nic nie mówił, wciąż ciężko oddychał, a walcząc o każdy oddech, łapał powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg. Kustler otarł mu z czoła obfity, lepki pot. – Leż spokojnie, bez ruchu i oddychaj. Wszystko będzie dobrze. Nie chciałem, Karl, rozumiesz? Nie wiedziałem, że się tak zdenerwujesz. Masz rację, oni powiedzieli mi, o co mam pytać, czego mam od ciebie żądać. Nie mogę wrócić z pustymi rękami,

rozumiesz? Wiesz, jaki on jest, prawda? Po co ci te papiery? Zabiorę je i wepchnę mu w gardło, niech się nimi udławi. Nie mówmy nic Reginie. – Odruchowo spojrział na drzwi, ale nikogo w nich nie było. – Po co ma się denerwować? To wspaniała kobieta. Mądra i piękna. Powiedz mi, gdzie to ukryłeś, Karl, proszę... Skoro i tak czekamy... Możemy poczekać, aż wyjdiesz ze szpitala, ale możemy też załatwić to od razu, skoro i tak czekamy, prawda? Chcesz coś powiedzieć, tak? Powiedz, Karl. Nie musisz głośno, nie trać sił, szepnij mi, słucham cię.

Karl Remus jęknął i umarł.

Po prostu przestał nagle oddychać, jego stężałe ciało rozluźniło się i znieruchomiło, a Georg Kustler siedział bez ruchu, patrzył na jego bladą, mokrą twarz i zastanawiał się, jak przygotować na ten widok Reginę. I czy w ogóle da się kogokolwiek na taki widok przygotować. Nigdy wcześniej nie widział martwego człowieka i to, co się przed chwilą wydarzyło, wstrząsnęło nim do głębi. Drżał cały, zrobiło mu się niedobrze, bo przecież to mogło się stać przez niego. A może przez nich? To oni go tu przysłali, tłumaczył sobie, wykonywał tylko ich polecenia i nie wiedział, że Karl Remus jest chory. Nie mógł tego wiedzieć.

I w takiej pozycji zastała go Regina. Wróciła zdyszana, spanikowana, tuż za nią do pokoju wszedł starszy, siwy mężczyzna z sumiastymi wąsami. Patrzył na Georga nieufnie. Podeszedł do Remusa, uklęknął i przyłożył palce do szyi. Trwał w tej pozycji przez kilkanaście sekund, potem uchylił powiekę. Pokręcił głową i spojrział na Reginę, zamknął zmarłemu oczy i przesunął jeszcze dłonią po jego twarzy powolnym, niemal pieśczośliwym ruchem.

- Przykro mi, dziecko, tu już pogotowie nie pomoże.
- Co powiedział? – zapytał ją Georg.
- Że już za późno. – Zaczęła płakać.
- Skąd może mieć pewność? – pytał gorączkowo; gdzieś w głębi duszy kołatała się rozpaczliwa nadzieja, że stary się myli.

Starszy człowiek go zrozumiał.

– Byłem sanitariuszem w armii Berlinga – powiedział po polsku, patrząc na Kustlera zimnym, nieruchomym wzrokiem. – Widziałem setki trupów i doskonale wiem, kiedy już nic nie da się zrobić.

Kustler nie rozumiał, co mówi, ale ton jego głosu świadczył dobitnie, co ma na myśli. Wstał i podszedł do płaczącej Reginy. Przytulił ją, a ona, nie odrywając dłoni od zapłakanej twarzy, wcisnęła mu się w ramię, mocno się o niego opierając.

Karetka przyjechała niecałe czterdzieści minut później, lecz lekarz mógł jedynie stwierdzić zgon.



– Nie mogę w to uwierzyć, Georg – powiedziała Regina Remus z twarzą ukrytą w dłoniach. – Po prostu nie mogę w to uwierzyć. Powiedz, że to się nie dzieje.

Był środek nocy. Siedzieli przy stole, przy którym dwie godziny wcześniej zmarł jej ojciec. Jego ciało leżało na łóżku, w jego pokoju. Na blacie wciąż stała butelka wódki, którą pił, i przewrócony kieliszek. Georg bawił się swoim, wodząc palcem po jego brzegu albo postukując nim w blat.

– Należysz mi? – zapytała.

Nie piła alkoholu, ale teraz czuła, że tego potrzebuje. Nie chciała się upijać, chciała tylko, żeby zelżało napięcie. Wzięła kieliszek ojca i podstawiała Georgowi. Z pytaniem w oczach odkręcił zakrętkę i uniósł butelkę.

– Tak, na pewno – mruknęła. – Tylko jeden. Może dwa, nie więcej.

Nalał jej. Wypiła, wzorem ojca jednym haustem, i rozkaszała się, kiedy alkohol rozlał się palącym płomieniem po jej gardle.

– Przepraszam... – Zawstydzona otarła z ust ślinę.

– Nie szkodzi. – Georg pokręcił głową. – Jeszcze jeden?

– Nie, wystarczy. – Kaszlnęła kilka razy i wbiła spojrzenie w kieliszek.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, słychać było tylko tykanie zegara.

– Był surowym ojcem, wiesz? – powiedziała nagle. – Nigdy mnie nie uderzył, ale bywał chłodny. Nie rozpieszczał mnie, ale nigdy nie byłam głodna ani zmarznięta. Nie zawsze stawał w mojej obronie, kiedy uważał, że jestem czemuś współwinna, a mówiłam

ci już, że nie miałam łatwego dzieciństwa. Ale był moim ojcem. Nie mam już nikogo, Georg. Mama umarła, kiedy miałam trzynaście lat. Babcia dwa lata później, dziadka nawet nie pamiętam, drugiego, ojca mamy, i drugiej babci nawet nie znałam, zginęli podczas pierwszej wojny światowej. Jestem sama jak palec. Nie mam pojęcia, czy mam jakichś kuzynów, jakkolwiek dalszą rodzinę. Na pewno nie tu, w Polsce.

– Przykro mi, Reginko...

Popatrzyła na Georga smutno.

– Wiesz, zawsze myślałam, że jego ostatnie słowa będą skierowane do mnie. Że powie mi to wszystko, czego nie chciał, bał się albo wstydził powiedzieć mi wcześniej. Że to się stanie w domu, tak jak z babcią Irmą, wśród swoich, w spokoju, że przyjdzie pastor lub ksiądz. Że się pożegnamy, jak trzeba. Pomodlimy wspólnie. Czy on... Czy on zdążył się pomodlić?

Kustler nie miał pojęcia, czy Karl Remus w ogóle zdawał sobie sprawę z tego, co się dzieje. Zastanawiał się, czy powiedzieć Reginie, że na twarzy jej ojca tuż przed śmiercią był wyraz skrajnego przerażenia, które zapewne odbiera wszystkie myśli. Na pewno nie mógł powiedzieć jej, o czym rozmawiali, kiedy to się stało. Mógł jej jedynie powiedzieć to... co chciałyby usłyszeć. I zdecydował w jednej chwili, że tak właśnie zrobi.

– Tak. Szeptał słowa modlitwy, modliłem się razem z nim – powiedział poważnym tonem. – Pocieszałem go, jak tylko mogłem. Bolało go, ale mówił, że bardzo cię kocha. Prosił, żebym ci przekazał, żebyś nie martwiła. I że wszystko będzie dobrze. I że miał coś dla ciebie, ukrył to dobrze i chciałby ci to kiedyś dać.

– Nie powiedział gdzie?

– Nie zdążył. Nie wiesz, gdzie to coś może być? Może mieliście gdzieś umówioną skrytkę?

– Nie. Jedyna cenna rzecz to biżuteria, którą mamy od lat. Po babci. I to też nie ma jakiejś kolosalnej wartości, każdy ma takie

pamiętki w domu. Leży w szufladce w sekretarzyku. Co jeszcze mówił?

– Niewiele. Prosił o wybaczenie. Chyba zdawał sobie sprawę, że może z tego nie wyjść.

Regina spojrzała ponad jego głową na przytwierdzoną do ściany półkę, na której stał model rybackiej łodzi pod pełnymi żaglami. Na takiej pływał jej dziadek.

– Gdyby żył, to mógłbyś uczyć się od niego fachu – powiedziała do Georga.

Uśmiechnął się.

– Dziś jachty buduje się trochę inaczej niż kiedyś. Ale racja, co dobry fachowiec, to dobry fachowiec. Mógłby mnie sporo nauczyć. Szkoda...

– Najważniejsze, że pojednał się z Bogiem przed śmiercią. I że nie był wtedy sam, tylko z kimś, kogo lubił. Będzie mi łatwiej dzięki temu, wiesz? Nie zniosłabym świadomości, że umierał sam jak palec. Miał wtedy przynajmniej ciebie. Ciekawe, kto będzie przy mnie? – Uśmiechnęła się smutno do niego.

– Kto to wie? – odparł melancholijnie i to ją trochę zabolowało.

Nie żądała zapewnienia ani deklaracji, ale ucieszyłaby się, gdyby powiedział coś innego. Zdała sobie sprawę, jak daleko wybiegły jej plany wobec tego człowieka. Ile zaczął dla niej znaczyć. To wszystko było poza jej kontrolą, ilość emocji, zarówno tych pozytywnych, jak i negatywnych, jakich doświadczyła w ciągu ostatnich kilku dni, była przytłaczająca. Przytłoczyłyby każdego, nie tylko młodą, niedoświadczoną życiowo kobietę, którą była.

Georg westchnął i spojrzał na zegarek.

– Trzeba iść spać. Ciężki czas przed tobą.

Dotknęła kieliszka, ostatnią rzecz, jaką jej ojciec trzymał w dłoniach.

– Tak, masz rację.



Kustler nabrał powietrza, jakby chciał o coś zapytać, ale zawahał się.

– Co się stało? – zapytała.

– Wiesz... Ten człowiek, który przyszedł z tobą...

– Franciszek. Woźny ze szkoły, w której uczę.

– Dlaczego on tak na mnie patrzył? Przecież nic mu nie zrobiłem? Nawet mnie nie znał.

Regina spojrzała na niego, sięgnęła przez stół i pogłaskała po policzku. O skórę jej dłoni zachrobotał twardy zarost. Co miała mu powiedzieć? Że po trzydziestu latach Polacy, którzy pamiętają wojnę, wciąż patrzą na nich, Niemców, jak na okupantów? Że większość nie chce nawet mówić o tym, co mają wciąż w głowach i pod powiekami, kiedy je zamykają przed zaśnięciem, a każdy Niemiec, którego spotkają, samym swym widokiem sprawia, że te obrazy znów wyskakują im gdzieś z tyłu głowy, z szufladek, w które były powciskane, nabierają barw i stają przed oczami jak żywe? I nawet jeśli ci ludzie nic nie mówią, to patrzą na nich nieufnie, z rezerwą, czasem z nienawiścią. Tak jak Franciszek. Szwaby i niemry, oto kim wciąż byli w tym kraju.

– Nie zrozumiesz tego – powiedziała i poczuła, jak znów coś ściska ją w gardle, a do oczu napływają łzy. I nagle, wbrew sobie, zanim sobie uświadomiła, co robi, popatrzyła na niego i ku swemu przerażeniu wyszeptała: – Kocham cię, Georgu Kustlerze.

– Ja ciebie też, Regino – odparł z zaskoczeniem.

Raz w życiu zdarzyło się jej zemdleć. W upalny dzień w ogrodzie poczuła, jak robi się słodko i ciężko, świat zawirował, a potem zniknął, zastąpiony czarną płachtą, która owinęła się wokół niej i ściągnęła ją na miękką ziemię. Teraz czuła się niemal identycznie. Wstała, choć była jak z drewna, Georg zrobił to samo. Obszedł stół, stanął przy niej i spojrzał jej w oczy. Bała się. Bała się tego, co zaraz miało nastąpić, i pragnęła tego, jak niczego innego. Wydawało się jej, że stoi na skraju przepaści, nie mając pewności, czy jeśli skoczy, polecą prosto w dół, czy przed siebie,

a potem wyżej i wyżej. Tak wysoko, że aż spojrzy w oczy samemu Bogu i...

I co wtedy powie jej Bóg?

Napięcie było ogromne. Wyczuwała je u Georga i u siebie. Kiedy ich usta się zetknęły, strach jednak zwyciężył. Pozwoliła mu całować się sekundę, może dwie, ale kiedy poczuła na swojej piersi jego delikatną dłoń, odsunęła się, przerażona reakcją własnego organizmu. Była gotowa dać mu wszystko, jej ciało było na to gotowe, jej serce też, ale nie dusza. Bo dusza nie należała do niej. Odsunęła się i spojrzała mu w twarz, głośno dysząc z pożądania i strachu. Georg nie miał w oczach złości, rozczarowania ani niczego, co mogłoby świadczyć o tym, że ma do niej pretensje. Doceniała, że zniósł to dzielnie. Tak właśnie wyobrażała sobie prawdziwego mężczyznę.

Odstąpił od niej dwa kroki, wyciągnął przed siebie ręce i położył jej na ramionach.

– Dobranoc, moja miła. – Jego uśmiech mógł skraść miliony serc, a skradł właśnie jej.

– Dobranoc... – wyszeptała niemal bez tchu.

Stała i patrzyła, jak Georg znika w kuchni, gdzie wciąż stało jego łóżko, a potem odwróciła się i poszła do łazienki. Napuściła do żeliwnej wanny trochę wody, chcąc zmyć z siebie cały dzisiejszy wieczór i noc. Czekając, aż woda się naleje, gładziła swoje usta, na których wciąż czuła smak jego warg. Kiedy dno wanny wypełniło się wodą, zakręciła kran, rozebrała się, weszła do niej i ułożyła się wygodnie. Z tej perspektywy doskonale widziała swoje ciało, wciąż młode i jak mniemała atrakcyjne, i zastanawiała się nad dwiema rzeczami. Jedną był dysonans, jaki czuła w związku z tym, że w dziele Boga, jakim jest człowiek i jego cielesna powłoka, może być tyle grzesznej pokusy i chuci. A drugą, jak by to było, gdyby pozwoliła Georgowi na coś, czego oboje tak bardzo pragnęli. Bo to nie była chuć. To była miłość. A miłość stworzył Bóg. Zamknęła oczy i dotykała się, marząc, że to dłonie Georga Kustlera. Gdy

wstrząsnęły nią spazmy rozkoszy, rozplakała się z poczucia winy, bezsilności, smutku i niespełnienia, bo to, które poczuła przed chwilą, było tylko pozorne i chwilowe. Wyszła z wanny, wytarła się, włożyła koszulę nocną i poszła do łóżka, ale nie mogła zasnąć. W ciszy nocy nasłuchiwała oddechu i ze zmęczenia sama już nie wiedziała czyjego: ojca, którego już nie było, czy Georga. Nagle usłyszała skrzypienie podłogi i puls jej przyśpieszył. Dźwięk dochodził z kuchni, gdzie rozstawione było polowe łóżko, na którym spał gość. Drzwi otworzyły się cicho i w mroku rozproszonym nikłym światłem zbliżającego się świtu zobaczyła sylwetkę Georga. Zbliżył się do jej łóżka i wyciągnął rękę, jakby wiedział, że nie śpi. Może wiedział?

– Georg, nie wolno nam... – szepnęła.

Klęknął obok łóżka.

– Wiem. – Miał niski i zmysłowy głos. – Ale nie potrafię się powstrzymać. Po prostu nie potrafię. Jesteś zbyt piękna, zbyt moja...

– Jeszcze nigdy nie byłam z mężczyzną.

– Będę delikatny.

– Obiecujesz?

– Tak...

Był delikatny. Czuły i namiętny, opowiadał, co robi, jakby odbywał rejs łodzią, używając przy tym żeglarskiej nomenklatury. Odkrywał przed nią nieznane terytoria, kreśląc trasę podróży na mapie jej ciała. Żeglował dłonią po bezkresnym oceanie jej brzucha, wspinał się na grzbiety fal jej drobnych piersi, zawijał do portu gorącej kobiecości, potem odwracał ją i spływał z nurtem wzdłuż kręgosłupa, sięgając pośladków, a ona poddawała się temu z rozkoszą, raz śmiejąc się, innym razem zaciskając wargi, żeby nie krzyknąć. Pierwszy ból minął niemal od razu, kiedy tylko zaczęła się podróż. Georg Kustler zabrał ją daleko do krainy szczęścia, dał jej kilka godzin zapomnienia, a ona oddała mu siebie, oddała mu ciało i duszę, zatracając się w nieznannej jej do

tej pory rozkoszy. Chłoneła Georga wszystkimi zmysłami. Jego zapach wciskał się w jej nozdrza, widok jego przystojnej, skupionej twarzy wzmagał pożądanie, dotyk przeszywał dreszczem, przyspieszony oddech przyspieszał jej oddech, a ciche jęki sprawiały, że przestała się powstrzymywać i krzyczała, kiedy razem osiągnęli szczyt, mokrzy od potu, drżący z wysiłku – szczęśliwi u celu podróży. A potem zaczęli ją od nowa.

Koszmar wrócił rano, ale kiedy zobaczyła obok siebie Georga, była pewna, że łatwiej to wszystko zniesie. Obudził się i gdy zobaczył, że patrzy na niego, uśmiechnął się.

– W porządku? – zapytał.

– I tak, i nie – odparła, wspominając noc.

– Jasne. – Jego twarz przybrała poważny wyraz. – Dziękuję...

– Zaraz wyjeżdżasz. – Ta myśl była jak sztylet wbijający się w serce.

– Będę musiał pojechać na tę wycieczkę do Szczecina. Ale kiedy wrócę, zostanę jeszcze kilka dni, jeśli chcesz. Pomogę ci. Będę z tobą przez ten krytyczny czas, załatwimy razem formalności. Będę ci po prostu towarzyszył. Co ty na to?

Rzuciła mu się w ramiona. Przepęłniała ją wdzięczność, miłość i pewność, że co prawda Bóg zaplanował coś kompletnie zaskakującego, ale za to nigdy, przenigdy nie powinna wątpić w Jego mądrość.

Kiedy sprzątała po śniadaniu, a Georg robił sobie przepierkę, ktoś zapukał do drzwi. Gdy je uchyliła, zobaczyła Junga. Ferdinand Jung też był skutnikiem, pracował z jej ojcem i również został tutaj po zakończeniu wojny z całą rodziną. Stał teraz przed nią z poważną, smutną miną, ubrany w czarny surdut, sztuczkowe spodnie i kapelusz, który który nosił, odkąd pamiętała. Pod szyją miał fular i wyglądał, jakby właśnie wysiadł z wehikułu czasu. Poczła nagły wstyd, jakby Jung przyłapał ją na czymś. Jej ojciec umarł, a ona oddawała się rozkoszy z mężczyzną tuż za ścianą pokoju, w którym leżało jego ciało.

– Słyszałem. – Kiedy wyszła do niego, ujął jej głowę i pocałował ją w czoło. – Przykro mi, Reginko. Za wcześnie odszedł. Za wcześnie...

– Wygląda na to, że zostałam sama na świecie, Onkel. – Objęła go mocno. – Wejdz, proszę. Leży u siebie. Jeszcze go nie zabrano, niedługo powinien przyjechać karawan.

Jung wszedł i zdjął kapelusz. Nie był jej wujkiem, ale Jungowie przyjaźnili się z ojcem od dziesięcioleci i dlatego byli jak rodzina. Wszedł do domu, zdejmując kapelusz w progu, i kiedy w kuchni natknął się na Georga, przystanął zaskoczony i obejrzał się na Reginę.

– To Georg, nasz gość z Ueckermünde, bierze udział w rajdzie – wyjaśniła, a potem uświadomiła sobie, że Jung musiał znać jego ojca i dodała z lekkim uśmiechem. – No, przecież: Georg Kustler.

Jung, który szedł już w stronę Georga z wyciągniętą dłonią, zatrzymał się nagle i ręka opadła.

– Kustler... – Zmarszczył gęste brwi. – Pamiętam braci Kustler. Jesteś synem Erwina czy Eugena?

– Erwina.

Jung pokiwał łysą jak kolano głową i znów wyciągnął dłoń.

– Witaj w domu – powiedział.

– To już nie mój dom – odparł Georg, ściskając rękę Junga, choć robił to z trudnością, bo była wielkości bochna chleba.

Regina patrzyła na nich. Dwóch mężczyzn. Tylko jedno pokolenie różnicy. Starszy człowiek jakby żywcem przeniesiony z przedwojennej pocztówki i młodszy jak z żurnala, w dżinsach dzwonych i obcisłej koszulce polo, rozpiętej pod szyją. Dwa światy. Zastanawiała się, do którego należy ona. Czuli, jakby była gdzieś pomiędzy.

– Znalazłeś nowy, co? – sapnął Jung.

– Szczerze mówiąc, nie miałem na to zbyt dużego wpływu, bo miałem cztery lata i nic do gadania.

– Taa... – Jung odwrócił się do Reginy, jakby całkowicie stracił zainteresowanie Kustlerem. Uznała, że to niezbyt grzeczne, ale Jung miał już swoje lata, był znacznie starszy od ojca i pewne rzeczy trzeba było mu wybaczyć. – Mogę się z nim pożegnać?

– Oczywiście...

Patrzyła, jak powolnym krokiem zmierza do pokoju ojca, gdzie spędził z nim sporo czasu, grając w karty, gadając o robocie albo dyskutując o polityce i historii. Wszedł, zostawiając lekko uchylone drzwi. Przez szparę widziała, jak przysuwa sobie krzesło, stawia je obok łóżka, siada na nim ciężko i pochyła się nad zmarłym przyjacielem. Potem położył mu rękę na dłoni i trwał w ciszy kilka minut. Kiedy wstał, Regina szybko się odwróciła i znów zajęła się wycieraniem naczyń. Jung wyszedł od ojca i cicho zamknął drzwi.

– Gdybyś potrzebowała pomocy w czymkolwiek, przyjdź, dziecko – powiedział. – Jesteśmy z tobą.

– Dziękuję, Onkel. Wiem, że mogę na was liczyć.

– Zawsze. – Jung obejrzał się jeszcze na Georga, uścisnął ją ponownie i wyszedł z domu, stukając obcasami wypastowanych na błysk butów.

– Wydaje mi się, czy on też dziwnie na mnie patrzył? – zapytał Georg, kiedy za Jungiem zamknęły się drzwi.

Regina wpatrywała się przez chwilę w podłogę.

– Tego też nie zrozumiesz – powiedziała, choć akurat zachowanie Ferdinanda Junga było jej o wiele łatwiej wytłumaczyć niż Franciszka.

– Jestem jak z innego świata, co? – wyartykułował jej myśli i to też było dla niej jak znak.

– Owszem, jesteś. – Podeszła do niego, wspięła się na palce i pocałowała go w usta, dziwiąc się, jak naturalnie jej to przyszło.

Dzień, który Georg spędził w Szczecinie, dłużył się jej niemiłosiernie. Tuż po jego wyjeździe przyjechał karawan po ciało ojca. Płakała, żałując, że Georga przy niej nie ma. Potem poszła

do kościoła pomodlić się i ustalić z proboszczem szczegóły pogrzebu, zawiadomiła znajomych, zrobiła pranie i przejrzała rzeczy ojca, wciąż zastanawiając się, co mógł mieć na myśli, wspominając o czymś ukrytym, co chciał jej dać. Nie znalazła nic, o czym by nie wiedziała.

Georg wrócił wieczorem. Powitała go tak, jakby nie widziała go rok, ale on był jakiś niemrawy.

– Chyba się czymś strułem – powiedział, trzymając się za brzuch. – Zwracałem w autokarze.

Faktycznie, był blady i rozpalony.

– Piliście coś?

– Trochę, ale nie przesadzałem.

– Nie masz gorączki? – zaniepokoiła się.

– Nie wiem. Chyba powinienem się położyć. Tak myślę.

Zaprowadziła go pod ramię do pokoju ojca. Zawahał się przez chwilę w drzwiach, poczuła, jak lekko zeszywniał.

– Zmieniłam pościel, nie masz nic przeciwko, żeby dziś spać tutaj? W takim stanie lepiej w porządnym łóżku niż na polówce.

Kiedy zobaczył, że ciała ojca nie ma, rozluźnił się i pozwolił zaprowadzić do łóżka. Pomogła mu się położyć i troskliwie okryła go kocem.

– Śpij, mój rybaku. – Palcami rozczesła mu gęste włosy, poddawał się temu niechętnie, więc zabrała rękę.

Musiał naprawdę źle się czuć. W nocy słyszała, jak wymiotuje, więc wstała i poszła do niego, ale kiedy otworzyła drzwi między ich pokojami, zatrzymał ją jego słaby głos.

– Nie chcę, żebyś oglądała mnie w takim stanie, Regina.

– Kochany mój, to nie ma znaczenia – zachnęła się. – Chcę się tobą zaopiekować!

– Proszę, nie...

Uszanowała jego prośbę. Kiedy weszła do niego rano, w pokoju panował zaduch. Otworzyła okno, uważając, żeby nieostrożnym ruchem klamki nie zbudzić go, ale i tak ją usłyszał.

– Dzień dobry. – Uśmiechnęła się do niego i podeszła do łóżka.

– Dzień dobry – odpowiedział.

Wyglądał odrobinę lepiej. Obrzuciła uważnym spojrzeniem jego całego i nagle zauważyła coś na stoliku nocnym.

– Co to? Telegram? – zdziwiła się.

Spłoszył się lekko.

– Tak, do mnie, oddaj mi, proszę.

Zanim dość gwałtownie wyjął go jej z rąk, zerknęła na kartonik, na którym był tylko jeden, krótki pasek z tekstem, na nim zaś jedynie kilka słów po niemiecku: Rób, co trzeba. Popatrzyła na Georga wzruszona.

– Pozwolili ci zostać dłużej? Dla mnie?

– Tak. – Odetchnął wyraźnie. – Musiałem prosić o zgodę w pracy. Jak widzisz, podeszli do sprawy po ludzku. Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej.

– Jak się czujesz? – zapytała troskliwie, wodząc wzrokiem po jego wciąż bladej twarzy.

– Niezbyt dobrze.

– Jadę dziś do Szczecina. Będę rozmawiać z pastorem z parafii ewangelickiej w sprawie pogrzebu ojca.

– Przepraszam, ale chyba nie dam rady pojechać z tobą. – Westchnął ciężko. – Wiem, że ci obiecałem, ale...

– Nie przejmuj się tym. Zostań w domu i wypocznij. Wystarczy, że jesteś, sama świadomość tego mi pomaga. Zrobić ci coś do jedzenia?

– Nie, dziękuję. Może później usmażę jajecznicę.

Pochyliła się nad nim i pocałowała go w czoło.

– Posprzątam po sobie. – Wstydliwie odwrócił głowę, kiedy jej wzrok padł na miskę obok łóżka.

– Nie masz większych zmartwień? – zapytała z uśmiechem.

– A jak ty się czujesz? Jak to znosisz?

Zacisnęła usta w wąską linię i spoważniała.



– Chyba dobrze. Wciąż nie mogę w to uwierzyć, ale wczoraj dużo rozmawiałam z proboszczem. Sporo mi wytłumaczył. I wiesz, co mi powiedział? Że cieszy go widok takiej wewnętrznej siły, jaką mam. Chciałam mu powiedzieć, że jest ktoś, kto mi ją dał, ale pomyślałam... Pomyślałam, że zachowam to dla siebie. Obawiam się, że mógłby nie zrozumieć.

– To prawda, mógłby nie zrozumieć... – Georg westchnął i poprawił się na łóżku.

Pożegnała go czule i pojechała rowerem na przystań spółdzielni rybackiej, gdzie czekał na nią samochód, który jechał do Szczecina z ładunkiem świeżych ryb. Siedząc w trzęsącej na wyboistej drodze szoferce, usiłując zignorować smród ryb i potu kierowcy, Regina Remus rozmyślała o wielu rzeczach. O tym, że tylko kilka godzin dzieliło najpiękniejsze i jedno z najkoszmarniejszych doświadczeń jej życia. O tym, że Georg Kustler rozbudził w niej namiętność, o której nie miała pojęcia. I o tym, że będzie musiała mu to wszystko powiedzieć.

Sprawę w kościele Świętej Trójcy na szczecińskiej Łasztowni załatwiła od ręki. Tamtejszy pastor nie widział żadnego problemu, obiecał nawet przyjechać na ceremonię własnym transportem i Reginie odpadł jeden kłopot. Złapała też wcześniejszy pekaes i już późnym popołudniem wróciła do domu, kiedy jednak weszła do środka, stanęła w drzwiach jak wryta. Wnętrze wyglądało, jakby przeszła przez nie trąba powietrzna.

– G... Georg? – wyjąkała, ostrożnie przechodząc nad wyjętymi z komody szufladami, których zawartość leżała rozwłóczona na podłodze. – Georg!

Odpowiedziała jej cisza. Przeszła przez wszystkie pomieszczenia i wszędzie wyglądało to tak samo. W paru miejscach naruszona była drewniana podłoga, jeden z kafli pieca był utłuczony. W całym domu nie był ani jednego mebla, który nie zostałby wybebeszony.

Niczego nie rozumiała. Zupełnie niczego. A już najbardziej tego, gdzie podział się Georg.

Nie było jego roweru ani plecaka, który za uczestnikami rajdu wiozła ciężarówka i z którym przyszedł do niej kilka dni temu. Nie było niczego, co świadczyłoby o tym, że Georg Kustler przebywał w jej domu. Tysiące myśli opanowało jej umysł, od najbardziej fantastycznych po najczarniejsze. Niewiele myśląc, zamknęła drzwi na klucz, wsiadła na rower i pojechała do komisariatu. Przez całą drogę z tymi myślami było tylko gorzej, do budynku komisariatu wbiegła, rzuciwszy rower na ziemię przed wejściem. Od razu podeszła do siedzącego za biurkiem milicjanta. Znała go trochę z widzenia, uważała, że nie grzeszy bystrością, ale nikogo innego tu nie było.

– Chciałam zgłosić zaginięcie obywatela NRD, Georga Kustlera – wydyszała.

– A skąd się ten obywatel wziął w Nowym Warpnie? – zapytał podejrzliwie milicjant.

– Mieszkał u mnie. Był... Jest uczestnikiem Rajdu Przyjaźni.

– Rajd Przyjaźni przeszedł już do historii. Znaczący, skończył się.

– Nie szkodzi, on jest jego uczestnikiem, a nie rajdem. – Nie mogła odmówić sobie drobnej złośliwości.

Milicjant zmarszczył nos, a górna warga napęczniała, kiedy wsunął język między nią a zęby.

– Obywatelko, o ile mi wiadomo, wszyscy Niemcy wyjechali wczoraj wieczorem – wycedził, cmokając z niesmakiem. – Przyjechał specjalnie zamówiony autokar, który odwiózł ich na granicę razem z rowerami.

– Pan nie rozumie, on nie mógł wyjechać. Miał zostać jeszcze kilka dni. Tej nocy zresztą spał w moim domu. A teraz, kiedy byłam poza miastem, ktoś w nim był.

– Co to znaczy, że ktoś był? Ten Niemiec?

– Nie mówię teraz o Kustlerze. Miałam włamanie, nie rozumie pan?

– Dlaczego mam nie rozumieć? – Z jego oczu biła bezmyślność, był jak typowy milicjant z dowcipów o tych, którzy albo umieją czytać, albo pisać. – Czy coś zginęło? Coś cennego?

– Nie, ale ten ktoś zrobił bałagan. I nie ma Georga.

– Bo wyjechał.

– Nie wyjechał!

– Obywatelko... Uspokójcie się, dobrze? Czy wy coś piliście?

– Nic nie piłam. – Uniosła dumnie podbródek. – Nie piję alkoholu. A Georg Kustler zniknął.

– A ja wam mówię, że wyjechał razem z innymi.

Zacisnęła bezsilnie zęby. Rozmowa z tępym krawężnikiem nie miała sensu. Wyszła z posterunku, trzaskając drzwiami, wściekła jak osa, i wróciła do domu. W środku jeszcze raz obejrzała bałagan, potem otworzyła na oścież tylne drzwi prowadzące na ogród. Usiadła w progu i przez chwilę myślała, że zwariowała. Że Georg Kustler jest wyłącznie wytworem jej wyobraźni, że wymyśliła go sobie, że nigdy nie istniał. Ale to było niemożliwe. Miała przecież dowód; list, który napisał do niej przez rajdem. I miała wspomnienia. Zgarbiła się i objęła głowę rękami. Wspominała chwile, gdy jego zachłanne i czułe dłonie błędziły po jej ciele, nie wiedziała, że tamtej nocy była z mężczyzną po raz pierwszy i zarazem ostatni w życiu.



Nowe Warpno, 07 lipca 1976 r.

Georg, najmilszy

Jestem przerażona brakiem wieści od Ciebie. Kiedy wróciłam do domu i zobaczyłam, że ktoś się do niego włamał, myślałam, że coś Ci się stało. Był straszny bałagan, ale nic nie zginęło. Podejrzewałam nawet swojego ucznia, który mieszka obok i jest niedobrym chłopcem. Jego ojciec też zresztą nie lepszy. Pytałam o Ciebie na milicji, i nawet znajomego, ojca jednego z moich uczniów, który jest tutejszym komendantem WOP, i sprawdził dla mnie, że przekroczyłeś granicę 24 czerwca. Nie wiem, czy przestraszyli Cię włamywacze, czy bałeś się, że ktoś Cię posądzi o włamanie, i uciekłeś, albo że coś Ci grozi, bo byłeś przy śmierci Taty, ale nie bój się. Wszystko jest w porządku. Nic nie zginęło, poza tym to faktycznie był zawał serca, było w bardzo złym stanie, choć nie wiedzieliśmy tego, bo zawsze był silnym mężczyzną i nigdy nie narzekał na zdrowie. Poradziłam sobie ze wszystkimi formalnościami. Jego pogrzeb był bardzo skromny, chociaż przyszło trochę ludzi. Tata był chyba lubiany w Nowym Warpnie. Bardzo za nim tęsknię, to straszne uczucie być samotnym, ale pocieszam się, że mam przecież Ciebie. Nie mówiłam Ci wielu rzeczy, bo nie miałam śmiałości, ale wiesz przecież, ile dla mnie znaczysz. Oddałam Ci wszystko, całą siebie, i tak sobie myślę, że Bóg mi wybaczy ten grzech, bo coś tak pięknego, co przeżyłam z Tobą tej nocy, nie może przecież być grzechem. Myślę o Tobie nieustannie, jesteś ze mną o każdej porze dnia i nocy, jesteś moim natchnieniem i zgryzotą, wypełniasz mnie radością i bólem rozstania, rozkoszą wspomnień i nadzieją na rychłe spotkanie.

Nie wiem, dlaczego tak smutno mi,  
Smutek tak serce mi porze?  
Czarowna pieśń zamierzchłych dni  
W mej duszy zmilknąć nie może.

Pamiętasz, jak to czytaliśmy razem? Rybak uwiódł Lorelei,  
zwiódł ją, ale ona nie miała nic przeciwko temu. Napisz, proszę,  
jak najszybciej, daj znać, czy wszystko w porządku, usycham  
z tęsknoty.

Twoja Regina

\* \* \*

Nowe Warpno, 27 lipca 1976 r.

Georg, najdroższy mój

Ciągle nie piszesz i boję się, że masz przeze mnie kłopoty. Podobno cenzura w Twoim kraju miała pretensje, że zdradzam Ci w liście tajemnice związane z ochroną granicy państwowej. Było u mnie wojsko i kazali więcej takich rzeczy nie pisać, podobno komendant poniósł jakieś konsekwencje służbowe. Może to egoistyczne, ale trochę się cieszę, bo to chyba oznacza, że mój list dotarł do Ciebie, ale brak odpowiedzi napawa mnie przerażeniem, że Ty poniosłeś jeszcze większe konsekwencje. Wciąż tęsknię, wciąż zanurzam się w nasz świat, marzę, że kiedyś pojedziemy razem zobaczyć Ren, a może nawet do Paryża, odwiedzić grób Heinego, i że w ogóle pojedziemy na koniec świata, popłyniemy tam łodzią, którą sam zbudujesz, o której tak marzysz. Niestraszne nam będą sztormy, niestraszne wołanie syren, które mogłyby nas zwieść na zatracenie, nie będzie granic, nie będzie przeszkód, które mogłyby nas zatrzymać. Tylko my i morze, ten bezmiar wody, w którego zapowiedź wpatrywaliśmy się na plaży w Podgrodziu. Wyczekuję spotkania z Tobą, może znów u mnie, może u Ciebie, jeśli zechcesz. Jestem jedną wielką tęsknotą, Najdroższy. Napisz. Czekam. I Kocham.

Twoja Regina

\* \* \*

Nowe Warpno, 19 sierpnia 1976 r.

Drogi Georgu

Ciągle nie mam wieści od Ciebie, a mój niepokój sięgnął zenitu. Nie mam żadnych możliwości dowiedzenia się, co się z Tobą dzieje, poza listami, które wciąż pozostają bez odpowiedzi. Próbuję wciąż i wciąż, i nie wiem sama, co myśleć. Wpadłam na taki pomysł, że wybiorę się do Ueckermünde i będę pytać o Ciebie przypadkowych ludzi, ale to głupie, wiem. Nie mam żadnego transportu ani nie znam nikogo, kto mógłby mnie tam zawieźć. Niemniej jestem zdesperowana. Tęsknota za Tobą wypala mnie od środka. Jestem jak nie ja, czuję się chora bez Ciebie, mój Ukochany. Daj znać przez kogoś, jeśli nie możesz pisać. Choć jedno słowo.

Twoja Regina

\* \* \*

Nowe Warpno, 11 września 1976 r.

Drogi Georgu

Od jakiegoś czasu zauważyłam u siebie nietypowe objawy. Poszłam do lekarza i stwierdził, że bez żadnych wątpliwości jestem w ciąży! Noszę pod sercem nasze dziecko! Owoc naszej miłości. Nie wiem jeszcze, czy to będzie chłopiec, czy dziewczynka, ale to chyba nie ma znaczenia, ważne, żeby było zdrowe, o co modłę się do Boga codziennie gorąco i żarliwie. Zapewne będziesz zdziwiony tym faktem, ale myślę, że to może być tylko przypieczętowanie tego, co było i jest między nami, bo przecież nowe życie, które powołał Bóg, nie może być złem, prawda? Mam też drugą cudowną wiadomość. Rozmawiałam z koleżanką i ona

podpowiedziała mi świetną rzecz, więc gdy byłam ostatnio w Szczecinie, wykupiłam w „Orbisie” wycieczkę do NRD, na Rugię, która podobno jest taka piękna! Trasa przebiega przez Ueckermünde, wycieczka ma się odbyć za miesiąc, ciąża nie będzie jeszcze bardzo zaawansowana i jeśli zdążysz odczytać ten list, zanim tam przyjadę, to może się wreszcie spotkamy. Postój z krótkim zwiedzaniem ma być pod zamkiem, wycieczka jest w terminie 15–18 października. Tak sobie myślę, że po prostu tam zostanę i zapytam o Ciebie w urzędzie. Nie masz pojęcia, jak bardzo nie mogę się doczekać, żeby pokazać Ci nasze dziecko, jeszcze we mnie, pod sercem, które bije dla Ciebie i teraz dla Niego. Niedługo chcę się też wybrać do naszego księdza proboszcza, żeby zapytać o przeszkody natury formalnej, jeśli chodzi o nasz ślub kościelny, związane z różnicami między naszymi kościołami. Wierzę jednak, że pokonamy je wszystkie z pomocą Wszechmocnego. Odpisz szybko. Chcę zobaczyć chociaż Twoje pismo, dotknąć papieru, którego Ty dotykałeś, niech będzie to przedsmakiem naszego spotkania...

Regina, Twoja na zawsze





Regina Remus otworzyła drzwi ze ściśniętym sercem. Każde pukanie powodowało jego przyśpieszone bicie, za każdym razem, kiedy biegła do nich, miała nadzieję, że gdy je otworzy, za nimi będzie stał Georg. Teraz też w niej była, przepełniała ją wręcz. Ale kiedy zobaczyła nieznanego jej, mokrego od jesiennego deszczu mężczyznę, znów poczuła, jak ta nadzieja ją opuszcza, spływa z serca do brzucha, do nóg i na ziemię. Niemal widziała szarą, brudną kałużę otaczającą stopy, jak popłuczyny z miski, w której odmaczała się brudna szmata.

– Morgen – powiedział mężczyzna, patrząc na jej lekko zaokrąglony brzuch.

– Morgen – odparła i nadzieja z powrotem rozgrzała jej serce.

– Jestem przyjacielem naszego wspólnego znajomego – powiedział cicho przybysz.

Zmartwiała. To brzmiało tajemniczo. Czyżby Georg jednak miał kłopoty przez list, w którym tak nieostrożnie wspomniała o wypytywaniu o niego?

– Proszę, niech pan wejdzie. – Cofnęła się lekko, robiąc mu miejsce.

– Nie, nie, jestem tylko przejazdem. Georg poprosił mnie o przysługę...

– Co z nim? Czy coś się stało?

Mężczyzna spuścił głowę.

– Prosi, żeby pani więcej do niego nie pisała.

Poczuła, jakby dostała w głowę obuchem siekiery.

– Nie bardzo rozumiem... Czy jest w więzieniu? – Oddychała szybko.

– N-nie... – Niespodziewany gość był wyraźnie zdziwiony, ale widać było też, że ta rozmowa przychodzi mu z wyraźnym trudem, jakby wypełniał nieprzyjemny obowiązek. – Fraulein Remus, Georg jest żonaty, w dodatku on i jego żona spodziewają się dziecka.

Położyła dłoń na brzuchu, jakby chciała ochronić swoje.

Jego i jej. Ich.

Mężczyzna obejrzał się i wyciągnął w jej stronę zaciśniętą w pięść dłoń.

– To dla pani, od niego. – Otworzył palce i zobaczyła w niej zwitek wilgotnych od potu banknotów. – Tu jest pięćset marek. Zachodnich, oczywiście. Mam jeszcze dla pani...

– Co to ma znaczyć? – Jej usta były jak z drewna, a gardło zmieniło się w pustynię.

– To na lekarza. – Wskazał podbródkiem jej brzuch. – Na zabieg. Georg prosił, żeby to był dobry specjalista, żeby pani nic się nie stało. Troszczy się o panią i...

Regina patrzyła na niego jak na zjawę, a jej umysł nie ogarniał tego, co się dzieje. Banalność wszystkiego, co się zdarzyło w ciągu kilku czerwcowych dni, a przede wszystkim jej własna naiwność poraziły ją nagle jak prąd. I reakcja była taka sama: zeszywniała w jednej chwili.

Mechanicznym, powolnym ruchem zamknęła bez słowa drzwi, przekręciła klucz, przeszła do swojego pokoju i upadła na kolana na jego środku. Plecy wygięły się w łuk, ramiona obwisły i chwilę później wstrząsnął nimi bezgłośny płacz. W miarę jak żal narastał, płacz wzmagał się, wyrywał z jej piersi rozpaczliwym zawodzeniem, przechodzącym w bezsilne wycie. Regina Remus straciła poczucie czasu. Klęczała na podłodze, nie czując, jak drętwieją jej nogi, obejmowała brzuch matczynym ruchem i szlochała, a echo płaczu niesło się po wszystkich pomieszczeniach pustego domu. Owca

Umiłowany Rybak zostawił swoją Lorelei. Ale ona, tak jak tamta dziewczyna, nie mogła rzucić się ze skały. Musiała nieść ten ciężar sama, bo nie miała prawa zabić ani dziecka, ani siebie, nie skazując się na wieczne potępienie.

Wieczorem poszła na cmentarz odwiedzić grób rodziców, a potem nad zalew. Było bardzo chłodno, chmury zniknęły, a na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy. Przedarła się przez trzciny na sam skraj wody i długo wpatrywała w niewidzialny horyzont. Spokojna, wieczorna woda zlała się z bezchmurnym niebem, granica pomiędzy nimi zatarła się i Regina miała przed sobą nieokreśloną, pustą przestrzeń. Dokładnie taką samą jak w domu i w duszy. Wróciła późno, już po ciemku, a kiedy otwierała drzwi, zauważyła na progu białą kopertę. Zastanawiała się, czy była tu wcześniej i jej nie dostrzegła, wychodząc, czy ktoś podłożył ją podczas jej nieobecności, weszła do domu, odłożyła klucze, zapaliła światło przed wejściem i w środku, a dopiero potem ją otworzyła. W środku było dziesięć pomiętych pięćdziesięciomarkowych banknotów i zdjęcie. Jej zdjęcie. To, które zrobił jej Georg na ulicy. Wciąż czując tę nieznośną pustkę, na którą nic nie mogła poradzić, odłożyła wszystko na półkę, włożyła sweter i napaliła w piecu kaflowym. Czuła, że noc będzie zimna. Kiedy ogień trzaskał już w palenisku na całego, zanim zamknęła drzwiczki, wzięła z półki znalezione na progu rzeczy i wrzuciła po kolei w ogień; najpierw jeden banknot, potem drugi, kolejny, w ślad za ostatnim kopertę i kiedy miała wrzucić swoje zdjęcie, zawahała się. Zbliżyła je do oczu, przyjrzała mu się, a potem odwróciła. Z tyłu były dwa słowa, skreślone wiecznym piórem.

Vergib mir.



*Kwiecień 2018*

– Zobacz, co znalazłem.

Jej syn stał w drzwiach z plikiem jakichś papierów w ręce i wpatrywał się w nie ze zdumieniem.

Niechętnie oderwała wzrok od telewizora.

– Co? – zapytała krótko.

– Nie wiem, jakieś stare zdjęcia i dokumenty. Po niemiecku.

– Pokaż – mruknęła.

Była przyzwyczajona, że przedwojenni mieszkańcy utykali gazety i papiery w szparach ścian, pod posadzkami i w futrynach, traktując te materiały jako wypełnienie i izolację w jednym. Sama znajdowała w różnych miejscach domu poźółkłe strony „Pommersche Zeitung” i było pewne, że kiedy syn zabierze się do remontu swojego pokoju, natknie się na coś takiego.

Remigiusz wszedł do pokoju i podał jej papiery, a kiedy je od niego brała, poczuła zapach piwa. Nie skomentowała tego. Wzięła ze stolika okulary do czytania i włożyła je na nos, podsuwając sobie plik do oczu.

– Gdzie to było? – zapytała, poprawiając okulary.

– W parapecie.

– Masz na myśli ten pojemnik na wodę pod odpływem? – Zmarszczyła nos.

Zaglądała tam wielokrotnie i nigdy niczego takiego tam nie znalazła.

– Nie. Rozebrałem cały parapet, bo Rafał będzie montował nowy z płyty laminowanej. Z boku była taka wnęka i to tam leżało.

Okno też zamówiłem nowe, plastikowe, szczelne, pojutrze będziemy montować. I to było pod tą pionową deską, na ścianie. W takim brązowym notesiku.

– Nic nie mówiłeś, że chcesz też okno wymienić. Masz pieniądze?

– Mam, odłożyłem. – Wzruszył lekko ramionami.

Przewertowała pobieżnie trzymane w ręku papiery i zobaczyła, że to zdjęcia i jakieś dokumenty. Musiały być złożone we czworo, bo w połowie przecinały je wytarte linie zagięć. Gdy przyjrzała się pierwszemu zdjęciu, poczuła, jakby lodowe sople wbijały się w jej klatkę piersiową, ale kiedy przeczytała jeden z dokumentów, serce niemal stanęło, a jej zabrakło tchu.

– Co się dzieje? – Głos syna brzmiał, jakby dochodził z daleka.

Czuła, jakby ktoś owinał jej głowę ogromnym kłębem waty, czuła krew pulsującą w skroniach i ucisk z tyłu czaszki. Chciała wstać z fotela, ale nie mogła.

– Słyszysz mnie? Co się stało?

Spojrzała na syna nieprzytomnie.

– Nic – zaskrzeczała. – Zostaw mnie samą.

Pokiwał głową i bez słowa sprzeciwu spełnił jej prośbę, znikając w swoim pokoju. Po chwili znów usłyszała stukanie młotka i miała wrażenie, że uderza w jej głowę, w sam czubek. Poszła do kuchni, położyła papiery na blacie i sięgnęła do szafki z lekami. Kiedy zdejmowała plastikowy pojemnik z półki, kilka opakowań wypadło z niego, zsunęło się po jej włosach i ramionach i zaszeleściło na posadzce. Wysypała resztę na blat i zaczęła gorączkowo przerzucać pudełka i blistry w poszukiwaniu właściwego leku. Znalazła. Trzęsącymi się rękoma wyłuskała z blistra małą tabletkę captoprilu i wsunęła ją sobie pod język, czując, jak natychmiast przylepia się do wyschniętej śluzówki. Stojąc oparta o kuchenny kredens, oddychała szybko i spazmatycznie. Miała zamknięte oczy, ale mimo to przed nimi przesuwały się obrazy. Nie z teraz, tylko sprzed czterdziestu lat.

I znów, tak jak wtedy, gdy odwiedził ją przyjaciel człowieka, który zniszczył jej życie, poczuła w pełni, jak była naiwna.

– Już?

Otworzyła oczy. Remigiusz stał w drzwiach i przyglądał się jej. W jego oczach nie było przestrachu ani troski, ledwie uprzejme zainteresowanie, ale ona tego nie widziała.

– Źle się poczułam. – Odetchnęła głęboko kilka razy i odwróciła się do niego, dla pewności opierając się pośladkami o krawędź blatu; nie była pewna, że ustoi sama.

– Ale już lepiej?

– Tak, lepiej – skłamała.

– To przez te papiery? – Wskazał wzrokiem na blat.

Nie wierzyła, że można aż tak nie wykazywać zainteresowania znaleziskiem tego rodzaju, ale jej syn taki już był. Nie oczekiwał wiele od życia i niewiele rzeczy go interesowało. Ale to, że nie spojrział nawet na zdjęcia, oszczędziło jej teraz szczegółowego tłumaczenia. To, że nie znał niemieckiego, również.

– Nie – odparła, chyba zbyt gwałtownie. – No, może trochę, wzbudziły wspomnienia z dzieciństwa i wzruszyłam się. Serce mi zatrzepotało.

– A co w nich jest?

– Nic konkretnego, jakieś rozliczenia, nawet nie twojego dziadka, pewnie włożył tam, co miał akurat pod ręką.

– A zdjęcia?

– Z wojny. Nic interesującego. Do spalenia. – Obrzuciła go uważniejszym spojrzeniem i zapytała. – Nie idziesz do niej?

Rzadko wypowiadała jej imię. Nie uważała Natalii Druszkiewicz za idealną partię, choć była świadoma dwóch rzeczy: że o lepszą trudno w małym mieście i że obiektywnie jej syn też nie był najlepszą partią. No i wiedziała, że robią TO przed ślubem, z czego nie była zadowolona. Ale kiedy napomknęła o tym w rozmowie z synem, po raz pierwszy się jej postawił i poprosił,



żeby się nie wtrącała. Uszanowała to. Dla niej też było to krępujące. Powiedziała mu tylko wtedy, żeby uważał.

– Nie... Nie wiem. – Nabrał głęboko powietrza, jakby chciał coś powiedzieć, ale nagle się rozmyślił.

– No co? – Spojrzała na niego łagodniej.

Poczerwieniał lekko i wreszcie z siebie wydusił:

– Taki jeden chyba koło niej się kręci.

– Kto?

– Dzielnicowy... – Spuścił głowę.

– Ten nowy, co niedawno przyjechał? – zapytała.

– Tak.

– Chyba się kręci czy się kręci?

– Kręci się.

– I co, odpuścisz? – Fakt, że chodziło o jej syna, sprawił, że sama poczuła ukłucie zazdrości.

– Nie, nie odpuszczę. Kocham ją.

Pokiwała głową i przed oczami stanęła jej twarz Georga Kustlera. Na ciele poczuła jego delikatne dłonie, jego ciepły oddech na szyi, jego czuły szept w uchu. A potem zobaczyła bałagan w domu, kiedy tego dnia wróciła ze Szczecina od pastora, a jego już nie było. Choć teraz wszystko wyglądało inaczej. Zupełnie inaczej.

– Walcz, póki możesz – powiedziała chłodno. – Póki nie jest za późno...

Oderwała się od blatu, wzięła papiery i ruszyła w stronę drzwi. Kiedy mijała syna w drzwiach, wyciągnął rękę.

– Daj, spalę – mruknął.

Przycisnęła je do piersi.

– Sama spalę, później, jeszcze sobie poczytam, dawno takiej ładnej niemczyzny nie widziałam. A ty już idź do niej.

– Wrócę później – bąknął. – Najpierw skoczę do... do Jurka.

– Znowu będziesz pić na przystanku z tymi ochlapusami? – Przystanęła i zmierzyła go krytycznym spojrzeniem. – Zajmij się

lepiej nią, póki nie uciekła. – Zreflektowała się, że to niezbyt szczęśliwe sformułowanie, ale syn nie zareagował jakoś emocjonalnie.

– Zajmę się. – Pokiwał głową.

Wyszła z kuchni, zostawiając go tam, i wróciła do swojego pokoju. Opadła na fotel, położyła papiery na kolanach i zakryła oczy przedramieniem, jakby chciała się odciąć od światła. Chwilę później usłyszała trzask zamykanych drzwi. Odetchnęła. Chciała być teraz sama.

Kilka minut później była gotowa, żeby spojrzeć na dokumenty jeszcze raz. A przynajmniej myślała, że jest na to gotowa. Biorąc je do ręki, przez chwilę żywiła jakąś irracjonalną nadzieję, że jeśli przeczyta i obejrzy je ponownie, będzie w nich zupełnie coś innego. Ale oczywiście nie było. Potworne obrazy i słowa wwiercały się w jej mózg i po chwili Regina Remus zagłębiła się w fotelu i zapłakała rzewnymi łzami.



Remigiusz nie odbierał telefonu. Kiedy Regina Remus obudziła się o pierwszej w nocy i zorientowała, że wciąż nie ma go w domu, poczuła zaniepokojenie. Ostrzegwał, że wróci późno, ale nigdy jeszcze nie zdarzyło się, żeby wracał po północy. Nawet jeśli pił, około dwudziestej trzeciej włączał mu się jakiś mechanizm, który kazał mu obrać kurs na dom bez względu na stan upojenia. Ze spotkań z nią, z Natalią, wracał jeszcze wcześniej, podejrzewała, że dziewczyna była dość zasadnicza, co jednak nie przeszkadzało im robić TEGO.

Zapaliła lampkę nocną i jeszcze raz wybrała numer syna. Znów bez odpowiedzi. Nie była panikarą, więc jeszcze nie wyobrażała sobie najgorszego, choć znając siebie, wiedziała, że w końcu taka chwila nastąpi. Przyszła o piątej, kiedy Regina obudziła się z niespokojnego snu, czy może raczej półsnu, i oprzytomniała na tyle, żeby pójść do pokoju syna sprawdzić, czy wrócił.

Na zewnątrz było już jasno, więc nawet nie musiała zapalać światła. Zajrzała do jego pokoju i zobaczyła, że narzędzia wciąż rozrzucone są pod parapetem, a łóżko jest zaścielone. Na kanapie, na której przyjmował gości i pewnie z nią się gził, kiedy ona gdzieś wychodziła, też go nie było. Czasem walił się na wersalkę w ubraniu, kiedy zamroczony alkoholem nie potrafił się sam rozebrać, a miał jeszcze tyle szacunku dla pracy matki, by nie wchodzić w takim stanie do pościeli.

Teraz naprawdę zaczęła się bać.

Ubrała się. Ściskając w rękę telefon, który wciąż informował beznamytnym głosem, że użytkownik, do którego dzwoni, nie odpowiada, jakby sama tego nie wiedziała, włożyła buty i wyszła

na zewnątrz. Zamknęła drzwi na klucz i zajrzała pod wiatę z boku domu, gdzie jej syn parkował skuter, którym czasem jeździł do pracy, do fabryki nawozów w Policach. Nie było go i nie widziała, czy się cieszyć, czy raczej martwić. Przeszła ulicą kawałek dalej, pod okna drugiej części bliźniaka, gdzie mieszkał jej dawny uczeń, Rafał Błach, i zajrzała w jedno. Pożółkłe firanki, które pamiętały jeszcze jego rodziców, zasłaniały widok i Regina nie mogła stwierdzić, czy sąsiad jest w domu. Remigiusz pił z nim kilka razy, miała nadzieję, że może dziś również, choć nie słyszała zza ściany żadnych odgłosów, które mogłyby o tym świadczyć. Tylko co się stało ze skuterem? A może chociaż wyszli gdzieś razem? Zapukała w szybę. Mocno, aż pokryte warstwą kurzu szkło zadrżało w ramach. Potem jeszcze raz, aż wreszcie firanka drgnęła, odsunęła się i zobaczyła napuchniętą i zaspaną twarz Błacha. Oblizując usta, z trudem przekręcił klamkę i uchylił okno.

– Dzień dobry, Rafał, czy jest u ciebie mój syn? – zapytała, modląc się, by spał w tej jego norze, byle gdzie: na łóżku, na podłodze, gdziekolwiek, ale żeby tam był.

– Nie widziałem go od... – Machnął ręką, widać było, że jest skacowany.

Nie wdając się w dalszą dyskusję, podziękowała i ruszyła w stronę ratusza. Kiedy dotarła na Kilińskiego, pod budynkiem rewiru zobaczyła na bruku plamę ciemnej krwi, a wokół niej kolejne, mniejsze i pojedyncze krople, których szlak prowadził w stronę wejścia. Podeszła do drzwi i zadzwoniła. Kiedy nic się nie działo, załomotała głośno, ale wciąż odpowiadała jej cisza, więc wyszła z powrotem na ulicę, ale jedyne, co mogła zrobić, to bezradnie spojrzeć w zakratowane okna. Wiedziała, że dzielnicowy mieszka na poddaszu, więc nie poddawała się, tylko wróciła do wejścia i wciskała przycisk, teraz z kolei ostatni, ale efekt był ten sam. Żaden. Nie wiedziała, co robić. Został jej albo telefon do Polic, albo wizyta w komendzie, ale musiałaby prosić

kogoś o podwiezienie. A nie wiedziała, kto mógłby to być. W akcie desperacji podniosła głowę i zawołała:

– Panie dzielnicowy!

Nagle otworzyło się okno, ale na pierwszym piętrze, gdzie pomieszkiwał pracownik Urzędu Morskiego, podobno jakiś naukowiec, prowadzący badania. To właśnie on wychylił się z okna.

– Nie ma go – poinformował Remusową.

– A gdzie jest? – W jej głosie była rozpacz.

– Miał... Zaraz do pani zejdę. – Mężczyzna zniknął z jej oczu, okno zamknęło się, więc podeszła bliżej drzwi, żeby szybciej się z nim spotkać, nawet jeśli to miało być tylko kilka sekund.

Kiedy wyszedł do niej, niemal go dopadła.

– Gdzie jest?

Odsunął ją delikatnie.

– Ktoś go napadł wczoraj w nocy, tu, pod budynkiem. – Wskazał plamę krwi na ulicy. – I zranił nożem. Znalazłem go, był nieprzytomny, zabrało go pogotowie, nie wiadomo, czy przeżyje, stracił dużo krwi, tyle wiem...

– Kto? – Zabrakło jej powietrza. – Kto to był?

Wiedziała, że jej syn nosi ze sobą nóż. Wszystko zaczęło układać się w jakąś koszmarną całość.

– Podobno były komendant Straży Granicznej – odparł cicho. – Zatrzymali go jeszcze w nocy.

Odetchnęła. Zganiła samą siebie za te myśli; podejrzenia, że jej syn mógłby kogoś napaść i skrzywdzić. Ale potem przypomniały się jej zdjęcia i dokumenty, które znalazł pod parapetem, i te myśli wróciły. Jeszcze czarniejsze. Bo wiedziała, że dzieci nie odpowiadają za grzechy ojców, ale nie miała pewności, czy to, jacy są ojcowie, nie przechodzi na ich dzieci. I na kolejne pokolenia.

– Dziękuję – szepnęła.

Ruszyła w stronę jeziora, żeby później skręcić do siebie, na Jeziorną. I wtedy zadzwonił telefon, który wciąż nieświadomie

ściskała w spoczonej dłoni. Spojrzała na wyświetlacz i serce jej skoczyło. On. Ze zdenerwowania nie mogła trafić w klawisz odbierający, wreszcie wcisnęła go i przyłożyła komórkę do ucha.

– Halo, gdzie jesteś? – wydyszała.

– Mamo... – Jego głos ją przeraził.

– Remigiusz... – Nie wiedziała, co powiedzieć. – Co się dzieje? Gdzie ty jesteś, dziecko?

– Nie wiem... – Zaczął płakać. – Ja... Zrobiłem coś strasznego...

– Uspokój się! – Ze zdenerwowania podniosła głos. – Uspokój się natychmiast i mów, co się stało! Po kolei!

Płacz umilkł gwałtownie. Jeszcze przez kilka sekund słyszała jego urywany oddech i świst powietrza przechodzącego przez nozdrza, a potem zapadła cisza. Rozłączył się bez słowa. Patrzyła w telefon, oniemiała z zaskoczenia. Wybrała jego numer, ale znów odezwał się automat, tylko tym razem poinformował ją, że abonent jest czasowo niedostępny. Domyśliła się, że wyłączył telefon. Zaczęła się trząść. Poczuła, jakby urwała się ostatnia nić, którą ją z nim łączyła, a może na odwrót: jego z nią. Nie powinna była krzyczeć. Nie teraz. Co strasznego zrobił? Skoro to nie on napadł na dzielnicowego, to co takiego się stało, że był taki roztrzęsiony? Zwykle nie pokazywał po sobie żadnych emocji, ani tych dobrych, ani złych, cokolwiek się działo, po prostu patrzył na pozór obojętnie, choć emocje musiały w nim się kotłować, jak w każdym.

Regina Remus wróciła do domu. Nie była w stanie na niczym się skupić; co kilka minut próbowała dodzwonić się do syna, ale wciąż miał wyłączony telefon. I tak mijały godziny. Zmusiła się do przełknięcia obiadu, na kolację nie miała już ochoty, ściśnięty żołądek i tak nie przyjąłby już niczego. Wieczór nie przyniósł zmian, niemal bezsenna noc też nie. I tak było do chwili, gdy usłyszała pukanie do drzwi. Kiedy je otworzyła, zobaczyła dwoje policjantów i już wiedziała, że stało się coś strasznego.

– Pani Remus? – zapytała policjantka.

- Tak – wyszeptała.
- Możemy wejść?
- Co się stało?
- Wejdźmy do środka, dobrze?

Poczuła, jak uginają się pod nią nogi. Odwróciła się i weszła do domu, słysząc za sobą kroki i szepty policjantów. Usiadła w swoim fotelu i patrząc tępo w czarny ekran wyłączzonego telewizora, zapytała:

– Gdzie jest i co zrobił?

– Pani syn ciężko zranił nożem dzielnicowego – powiedział policjant, a w jego głosie było oskarżenie.

– To nieprawda. – Pokręciła głową. – To nie on, to Pabis.

Nie przestawała nią kręcić, jak gdyby każdym, zdecydowanym skretem szyi udowadniała, że się mylą. Udowadniała to bardziej sobie niż im.

– Gdzie on jest? – Ostatnie słowo wypowiedziała na wdechu, z emocji brakowało jej tchu.

– Pani Remus, przykro mi. – Teraz policjantka przejęła pałeczkę. – Z najnowszych ustaleń wynika jednoznacznie, że to on dokonał tej napaści.

– Czy pani wie, gdzie przebywa obecnie pani syn? – zapytał policjant.

Patrzyła na nich jak ogłupiała, przenosząc wzrok z jednego na drugie.

– Jak mogę to wiedzieć, skoro to was pytam, gdzie jest! – Podniosła głos.

Traciła nad sobą kontrolę. Nad sytuacją straciła już chyba dawno temu.

– Proszę się nie denerwować...

Roześmiała się histerycznie.

– Żarty sobie robicie?

– Czy potrzebuje pani pomocy lekarza?

– Zostawcie mnie w spokoju! Potrzebuję spokoju!



– Ukrywanie osób poszukiwanych za popełnienie przestępstwa przez najbliższych nie podlega co prawda karze, ale jeśli syn zjawi się w domu, proszę go przekonać, żeby zgłosił się do nas sam. To poprawi nieco jego sytuację – powiedziała łagodnym głosem policjantka, patrząc jej w oczy.

Regina Remus zaczęła machać rękami. Chaotycznie, jakby opędzała się przed natrętnymi muchami.

– Zostawcie mnie, słyszycie? Zostawcie mnie w spokoju! Idźcie stąd! Precz!

Popatrzyli na siebie, policjantka z powątpiewaniem pokręciła głową, policjant wzruszył ramionami. Regina Remus tego nie widziała. Spazmatyczny oddech natlenił jej organizm, przed oczami latały jej ciemne pląty. Uspokoiła się, ręce opadły i teraz siedziała oklapła, jakby straciła całą wolę walki i nadzieję.

– Poradzi sobie pani?

Nie wiedziała nawet, które z nich zadało to pytanie, mimo że je usłyszała i zrozumiała.

– Tak. – Zacisnęła zęby i dłonie, wpatrując się w wiszący na ścianie krucyfiks.

Kiedy zostawili ją wreszcie w spokoju, z wyczerpania i emocji zasnęła w fotelu. Obudziła się wieczorem, z wyschniętymi ustami, głodna i zasikana. Poszła do łazienki się umyć, potem do kuchni zjeść coś i przede wszystkim się napić. Wzięła leki, których zapomniała rano, od razu z tymi wieczornymi i poszła do łóżka, otepiała i zbolała. Nie mogła zasnąć do trzeciej nad ranem, tylko przewracała się pod kołdrą, bo albo tabuny myśli przelatywały jej przez głowę, albo zupełnie z nich wyjałowiona trwała w dziwnym stuporze, z przykurczonymi rękami zaciśniętymi na skraju kołdry naciągniętej pod brodę. Następne dwa tygodnie jej życia spędzone w oczekiwaniu na jakiegokolwiek wieści były jak wyjęte z koszmaru. Musiała żyć normalnie i znosić spojrzenia ludzi: w sklepie, na ulicy, nawet w kościele. Nikt jej niczego nie powiedział, ale też

nikt nie musiał. Wiedziała wszystko. I nie wiedziała nic. Wciąż go szukali.

Kiedy tego dnia szła do drzwi, wiedziała też, kto za nimi stoi. Jakimś cudem przeczuwała, że będzie to ta sama dwójka policjantów, która odwiedziła ją poprzednio. Któż inny mógłby do niej pukać?

– Proszę usiąść – powiedziała dziewczyna, kiedy wprowadziła ich do środka.

– Czy zrobił krzywdę komuś jeszcze? – wyszeptała zdruzgotana.

– Proszę usiąść...

Usiadła. Zrobiła to powoli, jak bardzo stary i schorowany człowiek.

– Pani syn został znaleziony w pokoju w jednym z hoteli w Łodzi. Niestety nie żyje. Wszystko wskazuje na to, że popełnił samobójstwo.

Poczuła, że waży kilkaset kilogramów, jej ciało zapada się w fotelu pod własnym ciężarem, miękki plusz przyjmuje ją w swoje ciepłe objęcia i odcina od rzeczywistości: od policjantów, którzy wpatrują się w nią, od słów, które przed chwilą padły i które sprawiły, że umarła w środku po raz kolejny, tak jak kilkanaście dni temu, kiedy jej syn przyniósł jej znalezisko spod parapetu.

Obudziła się na oddziale kardiologii w szpitalu w Policach. Nie dostała zawału, ale ponieważ miała nadciśnienie i jej reakcja zaniepokoiła policjantów, wezwali pogotowie, a ratownik zdecydował o przewiezieniu do szpitala. Może i dobrze się stało. Regina Remus odpoczęła trochę, odcięła się od środowiska, a ponieważ nie miała co robić przez te dwa dni, które w nim spędziła, dużo myślała. Myślała o winie i o karze, o Bogu, który tak ciężko ją doświadczał, o Złym, który wiódł ją na pokuszenie, o czerni i bieli, i tym wszystkim, co jest pomiędzy nimi. I o tym, czy zło jest zapisane w genach; czy kombinacja czterech zasad azotowych ułożonych w zaplanowany przez Stwórcę sposób może

determinować określone zachowanie, czy jest ono wynikiem okoliczności albo co gorsza czyichś zaniedbań. A jeśli tak, to czyich?

Wyszła stamtąd złamana. Wyszła stamtąd jako inny człowiek.



*Maj 2018*

– Dzień dobry, pani Aniu.

Cichy głos Reginy Remus sprawił, że bibliotekarka uniosła głowę znad klawiatury.

– Dzień dobry, pani Regino. – Obrzuciła Remusową uważnym spojrzeniem i nie chodziło tylko o to, że zmartwiła się jej stanem: wejście na górę wyraźnie sprawiło kobiecie problem.

Wszyscy w Nowym Warpnie już wiedzieli. Prawie wszyscy jej współczuli.

Regina Remus rozejrzała się po ścianach i regałach z książkami, jakby była tu pierwszy raz, a przecież przychodziła tu regularnie od lat, odkąd biblioteka powstała. Uspokoila oddech i zagadnęła:

– Mam prośbę... – Zerknęła na komputer stojący na blacie, a w jej oczach była bezradność. – Chciałabym skorzystać z internetu, ale nie bardzo potrafię i...

– Oczywiście, chętnie pani pomogę, zapraszam do stanowiska. – Bibliotekarka wstała, obeszła kontuar, zaprowadziła ją do stanowiska komputerowego i posadziła na krześle, a potem uruchomiła komputer.

– Czy może pani...

– Chce pani coś znaleźć w internecie, tak? – podpowiedziała Remusowej. – Jakąś informację?

– Tak, mniej więcej. Chcę odnaleźć pewnego człowieka.

– Dziś to o wiele prostsze niż kiedyś.

– Też tak słyszałam. – Przez chwilę Regina Remus była znów tą wyniosłą, emerytowaną nauczycielką, ale sekundę później jej

wzrok przygasł, a ramiona opadły.

Nie czuła się pewnie i to było widać.

– Jak się nazywa?

– Kustler. Georg Kustler. Mieszka najprawdopodobniej w Niemczech.

– Jeśli jest aktywny w sieci, to nie powinien być żaden problem

– zapewniła bibliotekarka, a Regina poczuła, jakby w jej duszę wniknął nagle promyk słońca.

Patrzyła na palce sprawnie śmigające po klawiaturze i po chwili ekran wypełnił się napisami. Widziała przynajmniej kilkanaście fraz „Georg Kustler” i to ją lekko zdenerwowało.

– Kim on jest? – Pani Ania odwróciła twarz w jej stronę.

– Nie wiem... – odparła cicho.

– A wie pani, jak wygląda?

– Tak. To znaczy wiem, jak wyglądał kiedyś. Czterdzieści lat temu. Jest kilka lat starszy ode mnie.

– Może już nie żyć... – Bibliotekarka ujęła mysz.

Na te słowa Regina Remus zmartwiała. To było oczywiste, ale nawet nie przeszło jej wcześniej przez myśl. Prosiła Boga, żeby Georg żył. Żył i cieszył się dobrym zdrowiem. I nagle go zobaczyła, a serce prawie stanęło jej w piersi.

– To opcja grafi... – Bibliotekarka urwała nagle, kiedy zobaczyła, jak zmienia się twarz pani Remus.

Regina Remus wpatrywała się w monitor szklanym spojrzeniem. Jej usta drżały lekko, a załzawione oczy minimalnie ruszały się, kiedy studiowała wizerunek człowieka na ekranie. Jego postarzała, choć wciąż przystojna twarz wzbudziła w niej cały wachlarz uczuć.

– To on. – Wyciągnęła palec i dotknęła nim monitora. – Co teraz?

– Wejdziemy na jego stronę i zobaczymy, co robi. Czyli żyje, cieszy się pani? – Zerknęła na nią.

Remus nie odpowiedziała, tylko wpatrywała się w ekran. Pani Ania kliknęła link i po chwili wyświetliła się strona jakiejś firmy, na pierwszy rzut oka związanej z żeglarstwem.

– Nie znam niemieckiego, więc...

– Ja znam – wyszeptała, przebiegając wzrokiem przez treść strony.

Georg Kustler. Właściciel stoczni jachtowej. Od projektu po gotową łódź. A skoro tak, to pewnie popłynął w ten swój wymarzony rejs. Bez niej.

– Jak mogłabym się z nim skontaktować? – Spojrzała pani Ani w twarz.

– Może pani napisać mail.

– Do niego?

– Może niekoniecznie do niego bezpośrednio, ale na adres mailowy firmy. – Rozwinęła zakładkę „Kontakt” i kliknęła w mydełko formularza kontaktowego. – To coś osobistego, jeśli mogę zapytać?

Widziała na twarzy Reginy Remus, że toczy jakąś wewnętrzną walkę, dlatego zadała to pytanie.

– Raczej tak – odparła z wahaniem.

– To proponuję napisać coś w rodzaju zaproszenia do kontaktu, ale w taki sposób, żeby tę wiadomość pracownik przekazał szefowi. Poda pani swój adres...

– On zna mój adres.

– Mówię o poczcie elektronicznej. – Bibliotekarka uśmiechnęła się lekko.

– Aha... To nie mam. A mogę mu podać numer telefonu?

– Oczywiście. Myślę, że tak będzie najrozsądniej. Co prawda w formularzu trzeba podać jednak swój adres mailowy, ale możemy podać ten biblioteki. Jeśli przyjdzie odpowiedź, dam po prostu znać. Zostawię panią samą, proszę napisać wiadomość i kliknąć absend.

– I to wszystko?

– Tak.

– Odczyta?

– Ktoś na pewno, po to jest ten formularz. Ale czy to będzie ten człowiek, tego nie wiem. Tego, czy ewentualnie pracownik przekaże to jemu, też nie można być pewnym. Ale proszę próbować.

– Dziękuję, pani Aniu – szepnęła z wdzięcznością.

Bibliotekarka zostawiła ją samą, a Remus znów wpatrzyła się w monitor. Twarz Georga zniknęła, zastąpił ją formularz z pustym polem na wiadomość, kursor migał wyczekująco, a ona nie wiedziała, co ma napisać. Zaciskała palce i przypominając sobie listy, które wysyłała mu czterdzieści lat temu, myślała, jakie to wszystko jest teraz proste. A potem przyszło jej do głowy, że w jej przypadku równocześnie tak koszmarnie skomplikowane... Przez chwilę przypatrywała się klawiaturze. Kiedyś zrobiła kurs maszynopisania, trochę pamiętała, ale w porównaniu ze zwykłą maszyną do pisania tu na klawiaturze było mnóstwo symboli, których nie знаła. Powoli, z namysłem zaczęła wciskać klawisze liter.

liebe georg

Palce zawisły nad klawiaturą i Remus zagryzła usta. Po chwili namysłu wstała i podreptała do kontuaru.

– Przepraszam, ale nie wiem, jak wymazać to, co źle napisałam.

Bibliotekarka podniosła głowę.

– Proszę wcisnąć klawisz backspace, taki większy, po prawej. Za każdym naciśnięciem znika literka, ta przed kursorem, który można przenosić myszą: trzeba najechać strzałką na konkretne miejsce, nacisnąć lewy klawisz myszy i on się tam pojawi. Klawisz enter przenosi z kolei tekst do następnej linijki, backspace'em można to odwrócić.

– A jak się robi wielkie litery?

– Po lewej stronie jest klawisz shift. Trzeba go wcisnąć równocześnie z literą. Proszę spróbować, jeśli będą problemy,



podejdę i pomogę, dobrze?

Regina pokiwała głową. Poczwała wdzięczność, że nic w tej kobiecie: ani mina, ani wzrok, ani intonacja głosu, nie świadczą o tym, że jej brak zaznajomienia z podstawowymi przecież kwestiami informatycznymi w jakikolwiek sposób ją denerwuje. Trochę jej to imponowało.

Wróciła do stanowiska i usiadła na krześle. Najechała kursorem za wyrazem „Liebe”, kliknęła w lewy klawisz myszy i ucieszyła się, kiedy zobaczyła migającą pionową kreseczkę. Wskazującym palcem nacisnęła pięć razy „backspace”, z satysfakcją obserwując, jak literki znikają po kolei, aż został sam bezosobowy i chłodny „Georg”. Tylko dla zasady poprawiła pierwszą literę na wielką. Ten podlec nie zasługiwał na nic wielkiego.

Georg

Piszę do Ciebie ten list tą drogą, ponieważ nigdy nie odpisałeś na te wysłane pocztą, choć wiem, że do Ciebie dotarły. Tym razem odpowiedz mi, dla swojego dobra. Mam coś, na czym Ci zawsze zależało, choć dawno temu myślałam, że chodziło o mnie. Znalazłam to. Zamknąłeś pewne sprawy przy pomocy swojego przyjaciela, który pojawił się u mnie jak sługa nadstawiający karku za swojego tchórzliwego pana. Wymigałeś się z problemu cudzymi rękami. Nie zrobiłam wtedy tego, co chciałeś. Nie piszę, że o to prosiłeś, bo to nie była prośba, lecz raczej polecenie. Nie wykonałam go. Nie pozbyłam się Go. Ściśle rzecz biorąc, to właśnie On znalazł to, czego wtedy szukałeś. Przeżył czterdzieści jeden lat, zmarł ostatnio tragiczną śmiercią. Chcę Ci o Nim opowiedzieć, bo myślę, że powinienesz to wiedzieć. A przynajmniej by wypadało. Podaję mój numer telefonu... – przepisała starannie numer ze swojej komórki, jej syn pokazał jej kiedyś, jak to sprawdzić – ...żebyś nie pisał, tylko od razu zadzwonił, bo szkoda czasu. Nie mam go już. Ty może też nie. Czekam. Nie próbuj mnie unikać jak czterdzieści lat temu. Wtedy odpuściłam, ale tym

razem zrobię wszystko, żebyś odpowiedział za to, co zrobiłeś. Boleśnie.

Jeśli odebrał Pan/Pani tę wiadomość, proszę o niezwłoczne przekazanie jej swojemu szefowi, panu Georgowi Kustlerowi.

Z poważaniem,

Regina Remus, Nowe Warpno

Przeczytała jeszcze raz to, co napisała, kiwnęła głową sama do siebie i najechała strzałką na czerwony prostokąt z napisem absend. Kliknięcie myszy było jak potwierdzenie nadania. Wstała od komputera, więcej nie dotykając ani myszy, ani klawiatury, i podeszła do kontuaru.

– Dziękuję za pomoc, pani Aniu – powiedziała cicho.

– Udało się? – Bibliotekarka uśmiechnęła się szeroko.

– Tak. Udało.

Nie była tego stuprocentowo pewna, ale skoro list miał dojść bez żadnych wątpliwości, to mogła tak śmiało zakładać.

– Niech pani chwilę poczeka, sprawdzimy od razu, czy coś nie przyszło. O, jest, i chyba nie wygląda na automatyczną odpowiedź! Porządna firma, co? Zechce pani zerknąć?

Bibliotekarka wpuściła ją za swój kontuar.

– Mogę otworzyć? – Upewniła się. – I tak pewnie będzie po niemiecku.

Remus skinęła w milczeniu głową, więc kliknęła w wiadomość i odsunęła się lekko, żeby mogła ją przeczytać. Kobieta, przyciskając do piersi podniszczoną torebkę, poprawiła okulary i pochyliła się w stronę monitora.

Szanowna Pani

Ze względu na niezwykłość prośby przekazuję ją do Szefa firmy, nie mogę jednak ze swojej strony zagwarantować, że Pan Kustler zechce lub będzie miał możliwość na nią odpowiedzieć. Łączę pozdrowienia.

Specjalistka ds. Marketingu i Handlu

Kustler Bootswerft GmbH

Yana Kulikowski

– I jak? Sprawa załatwiona?

– Możliwe. – Na zmęczonej twarzy Reginy Remus wykwitł słaby uśmiech. – Jeszcze raz dziękuję i do widzenia.

Prosto z biblioteki poszła do domu.

Georg Kustler zadzwonił następnego dnia o dziewiątej.



2018

Georg Kustler siedział w pojedynczej celi. Ze względu na wiek i to, że był cudzoziemcem, władze aresztu śledczego zdecydowały, że dla własnego bezpieczeństwa będzie trzymany w odosobnieniu.

Kiedy wprowadzono go do pomieszczenia przesłuchań, Przeworski miał po raz pierwszy okazję zobaczyć go na żywo, a to, że aspirant w ogóle się tam znalazł, było efektem wielu zabiegów, polegających głównie na zawracaniu głowy prokuratorowi Cehakowi.

– Nie mogę ci pozwolić na rozmowę z podejrzanym, bo niby w jakim charakterze? – Cehak lekko się denerwował.

– Chcę tylko pomóc.

– Nie wątpię, ale czemu uważasz, że ci się uda?

– Sam twierdziłeś, że wyczerpałeś praktycznie wszystkie możliwości dotarcia do niego i nic. Dalej głupio twierdzi, że nie on zabił.

– Głupio, nie głupio, ale takie jego prawo. I tak mam go w ręku. Nie wywinie się.

– Dam ci plan rozmowy, będę tłumaczył odpowiedzi.

– Muszę powiadomić jego adwokata, żeby przyjechał. Taki ambitny dzieciak z berlińskiej kancelarii, która specjalizuje się w różnych sprawach transgranicznych. Mówi po polsku, nie będziesz musiał niczego tłumaczyć. – Spojrzał na aspiranta z zaciekawieniem. – Niczego nie obiecuję, ale jak chciałbyś to rozegrać?

Przeworski powiedział mu, a ponieważ przekonał Cehaka swoim planem, został zaproszony na przesłuchanie. Adwokat Kustlera, poinformowany o tym, nie wyraził sprzeciwu, więc teraz obaj: i Cehak, i Przeworski witali go na korytarzu aresztu.

– Mecenas Christian Panek z berlińskiej kancelarii Wittblau und Panek. – Facet w jasnym garniturze podał rękę aspirantowi i faktycznie, tak jak wyraził się o nim Cehak, lepszym, bardziej pasującym do niego określeniem byłoby „chłopak”.

Był na oko jeszcze młodszy niż Przeworski, a podkreślenie, że kancelaria mieści się w Berlinie, miało chyba dodać mu pewności siebie, bo Panek był blady i lekko spocony, choć równie dobrze można było złożyć to na karb upału i pośpiechu. Przeszli do pomieszczenia przesłuchań, gdzie poczekali chwilę na Kustlera. Kiedy funkcjonariusz służby więziennej opuścił pokój, Panek otarł pot z czoła wewnętrzną stroną nadgarstka i obejrzał go, jak gdyby bał się, że zostało na nim coś poza wilgocią. Inspekcja widać wypadła pomyślnie, bo nagle uśmiechnął się, popatrzył na aspiranta i prokuratora i wyrecytował formułkę, której uczyli chyba jeszcze na korepetycjach przed egzaminami wstępnymi na wydział prawa każdego uniwersytetu na świecie:

– W porozumieniu ze swoim klientem oświadczam, że pan Georg Kustler wciąż nie przyznaje się do zarzucanego mu czynu i odmawia udzielania wyjaśnień, do czego ma pełne prawo.

Kustler musiał wiedzieć, co powie Panek, zapewne uzgodnili to wcześniej, i teraz nie reagował na nic. Po prostu siedział ze skutymi rękoma przy stole wpatrzony w blat.

Cehak spojrzał na adwokata, który odkąd tu wszedł, niezmiennie stał pod ścianą z obiema rękami zaciśniętymi na rączce skórzanej aktówki, jakby zasłaniał nią kolana. Nawet kiedy ocierał pot, wysokość teczki nad posadzką nie zmieniła się na milimetr.

– Rozumiem, ale ja też mam prawo zwrócić się bezpośrednio do pańskiego klienta, co niniejszym czynię. – Prokurator przeniósł

wzrok na Kustlera i wziął głęboki oddech. – Panie Kustler, chcemy zadać panu jednak parę pytań i mam nadzieję, że przemyślał pan sytuację, w jakiej się znajduje. Milczenie panu nie pomaga. Przyznanie się do winy i wyjaśnienie okoliczności zabójstwa będą traktowane jako współpraca z organami sprawiedliwości i pozwoli to sądowi potraktować pana nieco łagodniej. Jako prokurator mogę panu również obiecać, że potraktowane to będzie przeze mnie jako okoliczność łagodząca już przy wnioskowaniu o wysokość kary. Czy pan rozumie?

Czekał, aż Panek przetłumaczy to klientowi, ale nie było jakiegokolwiek reakcji i Niemiec wciąż wpatrywał się w stół.

– A gdybyśmy przyjęli na chwilę, nawet teoretycznie, na potrzeby tej rozmowy, że pan jej nie zabił? – zapytał nagle po niemiecku Przeworski.

Kustler drgnął i spojrzał na niego.

– Bo nie zabiłem – odparł.

Panek postąpił krok do przodu i otworzył usta, ale Kustler uniósł rękę i powstrzymał go przed dalszymi ruchami, więc aspirant wykorzystał moment i poprosił szybko adwokata, by tłumaczył rozmowę Cehakowi. Bo miał nadzieję, że to będzie jednak rozmowa, a nie monolog.

– Ale jest pan świadomy, ile rzeczy świadczy na pana niekorzyść? – Spojrzał na Kustlera spod brwi.

– Tak. Jestem świadomy. Co nie zmienia faktu, że jej nie zabiłem.

– Powiem panu, o co mi chodzi. Wszystko wskazuje na to, że Regina Remus spodziewała się, że zginie, Herr Kustler. Przeprosiła pewną osobę za to, że jej wcześniej wyrządziła przykrość. Innej, swojej dobrej znajomej, podarowała cenną rzecz. Była też u mnie i sugerowała, że coś jej grozi. Nie chodzi nawet o to, że się spodziewała śmierci, tylko o to, czy jej sama nie sprowokowała, rozumie pan? I to jest pytanie do pana. Dlaczego to zrobiła?

– Bzdura. Gdyby tak było, nie napisałaby mojego nazwiska tuż przed śmiercią. Chyba że to nie ona napisała, tylko prawdziwy sprawca.

– Analiza grafologiczna bezwzględnie potwierdza, że napis zrobiła pani Remus. Nie ma praktycznie żadnych wątpliwości. – Przeworski przesadzał z tą bezwzględnością, ale Kustler nie musiał o tym wiedzieć.

– Więc tym bardziej bzdura. – Niemiec wzruszył ramionami.

Przeworski westchnął głęboko.

– Może źle się wyraziłem, Herr Kustler. Bo ona nie sprowokowała swojej śmierci. Ja myślę, że ona sprowokowała pana, żeby to właśnie pan ją jej zadał...

Kustler patrzył na Przeworskiego, a w oczach miał udrękę, i aspirant wiedział już, że dotknął jakiejś czułej struny.

– Czyli jednak uważa pan, że zabiłem? – zapytał Niemiec, patrząc na niego ciężkim wzrokiem, jakby żałował, że się wcześniej w ogóle odezwał.

– Nie do końca. – Przeworski skrzywił się lekko i założył ręce na piersi. – Przyjmuję różne scenariusze. Na przykład taki, że pan się bronił. Że ona sprowadziła pana do Nowego Warpna, żeby bo ja wiem, podziękować panu, prosić o wybaczenie, ale coś się stało, że wpadła w szal...

Kustler roześmiał się. Głośno i szczerze, ale po chwili umilkł, a jego twarz znów przybrała ten cierpiętniczy wyraz. Panek marszczył zabawnie nos, pokrywając tym grymasem zmieszanie. Przeworski pomyślał, czy nie zastanawia się właśnie nad jeszcze inną linią obrony: niepoczytalnością bądź nawet chorobą psychiczną.

– Co wydarzyło się w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym roku, kiedy przyjechał pan do Nowego Warpna i mieszkał u ofiary przez jakiś czas? – zapytał nagle Kustlera.

– Skąd pan o tym wie? – Po minie Niemca aspirant się zorientował, że Cehak jeszcze go o to nie pytał.



I dobrze.

– To nieistotne – stwierdził. – Tak było, prawda? Był pan tu jako uczestnik rajdu rowerowego. Zaprzeczy pan?

Kustler pokręcił w milczeniu głową.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie.

– Nie zaprzeczam. Byłem tam wtedy.

Przeworski dopiero się rozkręcał, i kiedy spojrział na Cehaka, a ten nie dał mu spojrzeniem żadnego znaku, że ma przestać, przeszedł do ofensywy.

– Czy jest pan ojcem Remigiusza Remusa, urodzonego w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym roku?

– Nie.

– Pana nazwisko zostało podane do księgi metrykalnej jako ojca.

– Co z tego?

– Nie znalazło się tam bez powodu.

– Nie interesuje mnie to. To nie ja podałem swoje nazwisko, tylko pewnie ona. Mogła podać jakiegokolwiek.

– Nie do końca.

– Zdaję sobie sprawę, że są na to procedury, ale jak widać, jednak jest to możliwe.

– Czy wiedział pan, że Regina Remus miała raka?

Kustler powoli podniósł głowę, a wyraz jego oczu świadczył ewidentnie, że nie miał o tym pojęcia.

Pudło. Był moment, kiedy Przeworski zastanawiał się, czy nie było to zabójstwo z litości, kiedy sprawca pod wpływem cierpienia ofiary skraca w swoim mniemaniu jej męki. Inna sprawa, że często przybierało to formę wspomaganego samobójstwa i choć Knapik twierdził, że nowotwór nie był zbyt zaawansowany, mogło być tak, że Remusowa jednak cierpiała i bała się choroby. W końcu zmiany fizyczne mogące być objawami choroby zauważył nawet jej lekarz rodzinny.

Poza tym aspirantowi właśnie skończyła się amunicja. Nie miał niczego, czym mógł Kustlera sprowokować. I chyba niewiele się

dowiedział. Praktycznie same pudła. Niemiec spuścił głowę, zamilkł i nie odpowiedział już więcej na żadne z kilku ogólnych pytań, które zadał mu Przeworski, strzelając na ślepo i licząc na łut szczęścia, więc aspirant i Cehak wychodzili z aresztu lekko zniechęceni.

– Próbowalesz... – pocieszał Przeworskiego prokurator.

– Byłem blisko, widziałeś to?

– Tak. Niewiele brakowało. Coś się tam zadziało u niego w głowie, myślałem, że facet zaraz pęknie i wypłacze wszystko. No, ale się ogarnął. Co nie musi oznaczać, że nie pęknie w najbliższym czasie, nie? – Cehak spojrzał na aspiranta jakby weselej.

Przeworski wzruszył ramionami, wpatrzony w płyty chodnika.

Gnębiła go jedna, natrętna myśl. Co znaczyło dla Kustlera więcej niż wolność i opinia, którą szargała mu ta sprawa? Dlaczego uparcie milczał, skoro wyjaśnieniem wszystkich okoliczności mógł ugrać ładne parę lat życia i kto wie, może nawet spędzić ostatnie jego miesiące, czy nawet lata, na wolności? Kogo chronił, skoro wszystkie potencjalnie uwikłane w te relacje osoby nie żyły? Odpowiedź na to pytanie, jak i na wiele innych w tej sprawie, wydawała się jednak znajdować poza zasięgiem i Przeworskiego, i Cehaka.



*Maj 2018*

Regina Remus kochała i nienawidziła Georga Kustlera ponad czterdzieści lat. Oba te uczucia były zakazane, niegodne dziecka Boga, prawdziwej chrześcijanki, za jaką przez całe życie się uważała. Ale oba owładnęły nią na dziesięciolecia. Zastanawiała się, jak rozmawiać z człowiekiem, który był jej tak bliski i zarazem daleki, z którym nie miała kontaktu tyle lat, który okazał się bydlakiem i tchórzem, uwiódł ją, porzucił i nie miał krzty honoru i cywilnej odwagi, by uznać swoje dziecko. Nawet gdy zmarło, nie wykrzesał w sobie choć krzty człowieczeństwa. Bała się, że rzuci się na niego z paznokciami, żeby wydrapać mu oczy, a jeszcze niedawno truchlała na myśl, że kiedy go zobaczy, może go przytulić tak mocno i żarliwie, jakby nic się nie wydarzyło.

Przebaczyć mu, choć na to nie zasługiwał.

Kiedy zadzwonił, rozmawiali tylko kilka minut. Nie poznałaby jego głosu, gdyby nie wiedziała, że to on. Obniżył się znacznie, zrobił się szorstki, zmienił mu się też akcent. Nie chciał rozmawiać o przeszłości, ona też nie. Nie przez telefon. Potwierdziła fakt znalezienia dokumentów i to mu wystarczyło. Kiedy zapytał, co teraz, odpowiedziała krótko: przyjeźdź, i rozłączyła się.

Stał teraz na środku jej pokoju i rozglądał się. Był lekko wstrząśnięty, wiedziała to. Domyślała się również dlaczego, bo widziała jego auto. Nie znała się na motoryzacji, ale zdawała sobie sprawę, że to, którym przyjechał, musiało kosztować

fortunę, sumę dla niej zupełnie abstrakcyjną. W małym pokoiku starego domu w Nowym Warpnie spotkały się dwa kompletnie różne światy. Jej i jego. Kiedyś miała nadzieję, że to będzie jeden i ten sam świat.

To nigdy nie nastąpiło.

Wymienili zdawkowe grzeczności, niemal nie patrząc sobie w oczy, i Regina przystąpiła do zasadniczej części. Nigdy nie miała żyłki do handlu, ale teraz chciała załatwić mały interes. Coś za coś. Choć gorzkie słowa cisnęły się jej na usta, wiedziała, że Georg nie pojmie ich znaczenia. Nie dlatego, że jej niemiecki zepsuł się przez lata, tylko dlatego, że nie potrafił.

Chciała tylko dziesięć tysięcy na pomnik dla syna. Marne dziesięć tysięcy. Nie za jego życie, tylko na to, żeby kiedyś, tu, na tej ziemi, pamiętano, że ktoś taki jak Remigiusz Remus żył. Nieważne, co zrobił i jak zginął. Żył. Był jej synem. Kiedyś położą ją obok niego, tuż obok grobowca, w którym leżeli jej rodzice, i chciała, żeby ich doczesne szczątki spoczywały w godnej oprawie. Tylko tyle. Reszta nie miała już znaczenia.

– Wiesz już, że znalazłam pewne papiery, które najprawdopodobniej ukrył mój ojciec. Tego wtedy szukałeś, prawda? Po to przyjechałeś, a nie na Rajd Przyjaźni. Rajd był tylko pretekstem. Mój ojciec podejrzewał, że ty i twoja rodzina macie nieczyste intencje. Miał rację, jaki ojciec, taki syn. A ja głupia mu nie wierzyłam. Sama nalegałam, żebyś zatrzymał się u nas. – Pokręciła głową i straciła kontrolę nad tym wszystkim, co tak starannie sobie zaplanowała: pieniądze przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie, zółć wylała się z niej obfitym potokiem. – Wpuściłam diabła pod nasz dach. Umarł przez ciebie, wiesz?

Spojrzała mu w twarz.

– Coś ty powiedziała? – zdumiał się.

– Powiedziałam, że mój ojciec umarł przez ciebie. – Poczula, jak łzy napływają jej do oczu. – Zabiłeś go...

– Jak śmiesz oskarżać mnie o zbrodnię? Miał zawał serca!

– Dziwne, że dostał go akurat wtedy, kiedy rozmawialiście, a ja przypadkiem spałam! – krzyknęła. – Jesteś winien śmierci mojego ojca! Odpowiadasz za nią tak, jakbyś zabił go osobiście. Jesteś mordercą!

Kustler oddychał szybko i chrapliwie. Poczzerwieniał na twarzy i wyglądał, jakby miał zaraz eksplodować.

– Nie będziesz mnie oskarżać o morderstwo, rozumiesz? Jestem szanowanym człowiekiem! To był przypadek! Gdybym nie przyjechał wtedy, to stałoby się pewnie kilka dni albo tygodni później. Nie waź się nazywać mnie mordercą, kobieto!

– Prawda boli, co?

– Prawda? – zapytał, zniżając głos do szeptu, a oczy zwięziły mu się jak kotu, który zaraz zaatakuje. – Prawda, mówisz? Chcesz prawdy? To cię oświecę. To nie był twój ojciec!

– Co powiedziałeś?

Kiedy zobaczył, jak zareagowała, nakręcił się jeszcze bardziej: jeszcze bardziej zmrużył oczy w wyrazie mściwej satysfakcji i powtórzył:

– Karl Remus nie był twoim ojcem.

– Kłamiesz – szepnęła bez tchu.

– Teraz wiesz, jak boli prawda, co?

– Kłamiesz, kłamiesz, kłamiesz... To zemsta. Prymitywna zemsta. – Łzy leciały jej ciurkiem po policzkach i spływały po szyi na dekolci.

– Łakisz. Twój biologiczny ojciec nazywał się Łakisz. – Teraz już patrzył na nią obojętnie. – Był Polakiem, tutejszym funkcjonariuszem komunistycznej bezpieki. A kto wie, może nawet Żydem, bo z tego, co wiem, sporo ich tam służyło w tamtych czasach. I Karl Remus wiedział to od początku. Nie jesteś Niemką. Jesteś... – Machnął ręką. – Chciałaś prawdy, to ją masz.

Poczuła, jak ziemia pod jej stopami pęka, rozstępuje się i pochłania ją bezdenne czeluść.



*Obecnie*

Przeworski siedział z Natalią w ogródku baru „Argus”. Był czwartek, wczesne popołudnie, na zewnątrz było słonecznie, choć dość chłodno i wietrznie. Zaczynał dziś służbę o czternastej, więc stwierdził, że zaprosi Natę na obiad. Dała mu się wyciągnąć z pracy pod warunkiem, że da sobie udowodnić, że łosoś i śledź to niejedyne jadalne ryby na świecie. Zgodził się i teraz, grzejąc się w promieniach słońca, czekali na rosół z leszcza z pierożkami rybnymi, panierowanego sandacza i pierogi z jagodami. Przy stoliku obok bujnych hortensji siedziało dwóch mężczyzn, tutejszych, i tak się składało, że obaj byli na liście problematycznych mieszkańców, którą Przeworski dostał onegdaj od ustępującego dzielnicowego Zajdla. Przez te kilka miesięcy, które aspirant tu spędził, nie zdążyli się zasłużyć niczym szczególnym, znał ich po prostu z widzenia. I teraz wszyscy udawali, że nic szczególnego się nie dzieje, bo faktycznie, było to przypadkowe spotkanie w popularnym miejscu. Dziś nie było weekendowego tłumu, zresztą „Argus” leżał trochę na uboczu, więc w środku przy stolikach siedziało tylko kilka osób, a dwie starsze mieszkanki Nowego Warpna czekały przy kontuarze na swój obiad na wynos.

Przeworski uśmiechnął się do Natalii.

– Ależ jestem masakrycznie głodna. – Pokręciła głową, jakby była zdziwiona faktem, że doprowadziła się do takiego stanu.

– Co będzie, jak mnie nie przekonasz do tego sandacza?

– Zastanowię się. – Oddała uśmiech. – Dziś kończysz normal...



Przeworski uniósł dłoń.

– Przepraszam cię na chwilę – powiedział cicho, marszcząc brwi.

– Co się...

– Nic nie mów i nie odwracaj się, dobrze? – Jego głos był czymś pomiędzy szeptem a mrużeniem. – Ćśś...

Natalia zamilkła zdziwiona, a Przeworski lekko odwrócił głowę w stronę stolika przy hortensjach i zaczął się przysłuchiwać cichej rozmowie dwóch mężczyzn, przybierając znudzoną minę.

– ...sprosił tych swoich do Magdy i imprezę zrobił, czaisz? Postawił piętnastu chłopom żarcie, kto co chciał. Jak panisko, kurwa. Obdartus jebany, a jak się rządził. Pierogi dla kolegi, kurwa! Jeszcze jedne naleśniki! Rybka z fryteczkami!

– Skąd forszę miał?

– A skąd mam wiedzieć? Zajumał pewnie. Potem poszli gdzieś w las ze skrzynką wódki i tak się wszyscy najebali, że jeszcze rano połowa ich w trawie leżała. Można ich było zbierać jak grzyby.

– Co się dziwisz? Jak ktoś całe życie jest biedakiem i dorwie się na chwilę do forsy, to mu odpierdala...

Przeworski pochylił się lekko w stronę Natalii.

– Przepraszam, już – szepnął, uśmiechając się łobuzersko.

– Zaczynasz o czternastej, przypominam ci, a teraz jesteś ze mną na obiedzie.

– Wiem, ale zaszły pewne okoliczności...

– Podśłuchiwanie cudzych rozmów?

– Ja bym to nazwał pracą operacyjną...

– Którą zaczynasz o czternastej.

– Nata, proszę cię, już, dobrze? Przepraszam, ale to dość ważne.

– Nie podoba mi się to, Dominik.

– Mnie też... – Zerknął zamyślony w stronę stolika pod ścianą: mężczyźni skończyli rozmowę i teraz siorbali zupę. – Mnie też się nie podoba.

Po chwili milczenia zjawiała się jedna z właścicielek, przynosząc im zupę, rybę i pierogi, więc zajęli się jedzeniem. Natalia spochmurniała lekko, więc Przeworski spał się i nie myśląc o tym, co przed chwilą usłyszał, zaczął bawić ją rozmową.

– Wygląda jak schabowy – stwierdził, wskazując widelcem rybę, gdy odgarnął frytki.

– Nie grzesz – ostrzegła go. – Spróbuj najpierw zupy...

Spróbował. Przez chwilę był perfekcyjną wizualizacją powiedzenia o psie i jeżu, ale kiedy tylko przełknął pierwszy kęs pierożka, mina mu się wydłużyła.

– Ożeż...

– Prawda? – Natalia uśmiechnęła się bez troski. – W ogóle cię nie rozumiem. Siedzisz tu już kilka miesięcy i nie przyszło ci do głowy spróbować tu zjeść?

– Jadłem tu raz... – Wspomniał przez chwilę czynności w domu Remusowej, kiedy przyniósł Cehakowi tutejsze pierogi, sam zjadł wtedy na miejscu.

– Co jadłeś? – zdziwiła się.

– Ruskie.

– Ruskie są wszędzie, Dominik, nawet tam, gdzie nikt ich nie chce. Tu się je to. – Dziabnęła widelcem jego sandacza: wbił się w panierkę z apetycznym chrupnięciem.

Jedli w milczeniu przez kilka minut.

– Jak twój „schabowy”? – zapytała Natalia.

– Zajebisty – powiedział Przeworski z pełnymi ustami.

I faktycznie, ryba wręcz się rozplýwała, doskonale komponując się z chrupiącą panierką. Gdy zajęli się deserem, Natalia zabrała mu z talerza trzy pierogi, a kiedy już zjedli, odprowadził ją do domu, bo stwierdziła, że nie chce się jej wracać do Podgrodzia.

– Nie będą pytać, czemu cię nie ma? – spytał zdziwiony Przeworski.

– To ja tam jestem od pytania, czemu kogoś nie ma. – Roześmiała się.

Pod domem dała mu buziaka i przytuliła gorąco.

– Widzimy się wieczorem u ciebie? – zapytała.

– Jasne. – Patrzył jej w oczy, w których migotały wesołe iskierki i gdzieś z tyłu głowy kołatała się myśl, pytanie, czy Natalia jest teraz w fazie manii, czy leki działają tak, jak powinny i jaki jest realny wpływ tego wszystkiego na jej zachowanie.

Wciąż przyzwyczajał się do myśli, że kobieta, którą pokochał, jest chora. Nie snuł dalekosiężnych planów, ale zdawał sobie sprawę, że nie jest to przelotna miłostka, a Natalia zagościła w jego sercu i głowie na dłużej. I nie miał nic przeciwko temu, żeby to trwało dłużej niż długo. Wiedział, że pewne rzeczy też będzie musiał przepracować, ale był na to gotowy. Zdecydował się stać przy niej zawsze i wszędzie. Być z nią na dobre i na złe. Ale wiedział też, że dziesięć do piętnastu procent chorych popełnia samobójstwo, i świadomość tego nie była przyjemna.

– Kocham cię – powiedział niespodziewanie, nawet dla samego siebie.

– Za każdym razem, kiedy mi to mówisz, jestem zaskoczona, wiesz? – Przekrzywiła lekko głowę. – Może mówisz mi to za rzadko?

– Gdybym mówił ci to często, straciłoby urok.

– Tylko nie przesadź z tym niemówieniem. – Ujęła jego twarz w dłoń i pocałowała w czubek nosa.

Kiedyś tego nie cierpiał. Nie znosił, kiedy ktokolwiek dotykał jego twarzy. Nawet jego była żona. Nie lubił, kiedy mierzwiła mu włosy, przeczesywała je palcami, albo gładziła go po policzku. A kiedy Natalia zrobiła to pierwszy raz, po prostu zamknął oczy i poddał się temu z przyjemnością. To też był jakiś znak.

– Będę się starał, proszę pani. – Też ją pocałował, w czoło. – Do zobaczenia.

– Do zobaczenia. I umyj usta, wyglądasz, jakbyś miał przed chwilą ekstrakcję czwórek.

Odprowadził ją spojrzeniem do drzwi, pomachali sobie. Kiedy Natalia zniknęła w środku, Przeworski spojrział na zegarek. Do rozpoczęcia służby miał jeszcze pół godziny. Nikt go tu nie rozliczał z czasu pracy, nie co do minuty, ale jego pedanteria miała bezpośrednie przełożenie również na podejście do czasu, dlatego starał się być punktualny. Wracając wzdłuż brzegu jeziora, minął rewir i skierował się w stronę baru „U Magdy”.

– Mogę cię poprosić na chwilę? – zapytał Ułę, ładną, tlenioną blondynkę z krótkim warkoczem, która właśnie podała komuś rybę z frytkami.

Ula była sporo starsza od niego, mieszkała w Warnołęce i pracowała w barze praktycznie od początku jego istnienia.

– Jasne. – Uśmiechnęła się do aspiranta, błyskając białymi jak śnieg zębami. – Wolisz w kuchni czy na zewnątrz?

– Na zewnątrz, ale spokojnie, tylko jedno pytanie.

Widział, jak się uwija, i nie chciał jej zabierać czasu. Wyszli na powietrze. Słońce zniknęło za dużą chmurą, wiatr przybrał nieco na sile i nagle zrobiło się jakoś jesiennie. Ula objęła się ramionami.

– Kto ostatnio robił u was jakąś imprezę? – zapytał cicho Przeworski. – Proszony obiad, ale jakieś dziwne okoliczności. Ktoś, kogo niekoniecznie było na to stać.

– Aa, to pewnie chodzi ci o Błacha. Też byłyśmy zdziwione, bo groszem nigdy nie śmierdział ani się tu nie pojawiał. Sprosił koleżków. No i zachowywali się jak świnie, aż go opieprzyłam, to potem zostawił stówę napiwku.

– Błach zrobił imprezę?

– Chodziłam z nim do klasy. Wiesz, że kiedyś siedział?

– Wiem. – Przeworski patrzył na taflę jeziora migoczącą w słońcu, które właśnie wyszło zza chmury.

– Za co? – dopytywała Ula.

– Za jakiś napad czy pobicie, nie wiem nawet dokładnie.

Nie chciał jej mówić, że dwadzieścia lat temu Błach skatował z kolegami nastolatka, robiąc z niego kalekę. Został skazany, odsiedział wyrok i wrócił na łono społeczeństwa, jak to się mawiało, choć w przypadku Błacha trudno było to tak określić. Dostał drugą szansę, choć zanosilo się na to, że właśnie skończył z niej korzystać.

– Mieszka na Jeziornej – powiedziała Ula.

– To też wiem. – Aspirant zastanawiał się nad dwiema rzeczami: jakby to wyglądało, gdyby naprawdę napluł sobie w brodę i czy „idiotyzm” było wystarczająco obraźliwym określeniem tego, co zrobił.

Czy też raczej czego nie zrobił. A przecież sugerował to nawet Cehakowi w domu Reginy Remus w dniu zabójstwa.

– Tak. – Kobieta posmutniała nagle. – Mieszka ściana w ścianę z Remusową, tą naszą nauczycielką, którą zabili...

Kiedy Przeworski wrócił do siebie, natychmiast zadzwonił do Cehaka.

– Słuchaj: Błach Rafał, mówi ci to coś?

– Błach... A powinno?

– Sąsiad Remusowej.

– Aa, ten chlor. Tak, rozmawialiśmy z nim. Typ, który widział na ulicy Kustlera i jego samochód.

Przeworski usłyszał jakiś szelest. Może Cehak przewracał strony akt sprawy, a może rozpakowywał kanapkę.

– Zgadza się.

– Co z nim?

– W domu Remusowej nie znaleźliśmy żadnej biżuterii, chociaż jej znajoma twierdziła, że nosiła złoty łańcuszek z jakimś wisiorkiem i widziała kiedyś u niej w domu złoty sygnet.

– No tak.

– Tak mi chodziło po głowie, że to bez sensu, że Kustler, forsiasty gość, łasi się na jakieś tanie błyskotki. Powinniśmy sprawdzić tego Błacha od razu, w końcu był karany za ciężkie

pobicie. Otóż typ ostatnio zorganizował w knajpie przy plaży przyjęcie dla kumpli. Widziałeś go, to tutejszy niebieski ptak. Brak zatrudnienia, prace dorywcze, mała renta z powodu chorób będących skutkiem powikłań alkoholizmu. Wegetuje na krawędzi ubóstwa. To informacje jeszcze z notatnika Zajdla, sprzed lat i nie sędzę, żeby coś się zmieniło.

– Nie dostał spadku, nie pożyczył?

– O spadku nic nie wiem i szczerze wątpię, bo inaczej całe Nowe Warpno już by huczało, a pożyczka... To jeszcze mniej prawdopodobne niż spadek.

– Chcesz, żeby mu wjechali na kwadrat? Mam wystawić nakaz?

– To poważne pytanie?

– Musisz to przekazać najpierw swoim. Chcę mieć podkładkę, skoro zleciłem czynności powiatówce.

– Wiem. Zaraz zadzwonię. Szykuj kwit i rozgrzewaj długopis.

Kiedy Przeworski rozłączył Cehaka, natychmiast wybrał numer Krzemińskiego.

– Komisarz Krzemiński – usłyszał w komórce, jakby łąch nie widział, kto mu się wyświetla.

– Przeworski – powiedział krótko. – Mam coś interesującego w związku ze sprawą Remusowej. Jej sąsiad zza ściany wyprawił niedawno w lokalu imprezę na kilkanaście osób.

– A to już tam u was zakazane? – Krzemiński najwyraźniej dobrze się bawił, niewykluczone, że był na głośnomówiącym i razem z nim bawili się jego koledzy. – Czy złamał warunki żałoby?

Przeworski postanowił, że dołączy do nich na chwilę i też będzie zabawny.

– Tak sobie leżałem wczoraj po Kiepskich i trochę myślałem przed zaśnięciem, nie za dużo, żeby się nie przemęczyć i migreny nie dostać, ale wyszło mi, że skoro u denatki nie znaleziono nic cennego, a ten jej sąsiad gołodupiec płaci za żarcie dla kilkunastu swoich koleś i zostawia stówę napiwku, to coś może być na rzeczy.

Miał być ubaw po pachy, ale chyba mu nie wyszło, bo nikt się nie śmiał. Bywa. Nie każdy jest taki zabawny jak Krzemiński.

– No i co mam z tą zajebicie ciekawą informacją zrobić? Właśnie stąd spieprzam do chaty, więc nie myśl sobie, że zostanę w fabryce, zwłaszcza dla ciebie.

– Możesz ją na przykład jutro z samego rana przekazać Cehakowi. – zasugerował, dodając: – Nie ma za co.

Krzemiński oddychał przez nos i milczał przez chwilę. Chyba już nie chciał się bawić.

– Skoro masz z nim takie układy, że aż mu pierogi donosisz, a może i nie tylko pierogi, to po co dzwonisz z tym do mnie? – zapytał.

– Dziwne: nie jadłeś ich wtedy, a wciąż ci w gardle stoją – stwierdził ze zdziwieniem aspirant. – Ale życzę ci, żeby nie stanęły jeszcze raz na wyjściu. Droga służbowa, słyszałeś o czymś takim?

– Taki, kurwa, nagle z ciebie służbista?

Przeworski westchnął ciężko. Też mu się już znudziła zabawa.

– Przekaż to Cehakowi, zanim gościowi przyjdzie do głowy spierdolić, bo nie wiadomo, ile hajsu zabrał, bierzcie papier i róbcie nalot, bo szkoda czasu na pieprzenie. Ja w każdym razie zrobiłem, co trzeba, notatkę dostaniesz mailem. – Rozłączył się bez słowa pożegnania i to był koniec zabawy, podczas której wszyscy uśmieali się do łez.

Odłożył telefon i zapatrzył się w okno. Czy Błach znalazł ciało Remusowej i tylko skorzystał z okazji, obrabiając jej dom, czy okaże się, że jednak nie tylko, a Kustler faktycznie jest niewinny i stał się wyłącznie ofiarą niesprzyjającego zbiegu okoliczności? Miał nadzieję, że dowie się tego już wkrótce...





*2018, wcześniej*

Nie zostało jej wiele życia. Regina Remus zdawała sobie z tego sprawę, bo miała swoje lata i być może Bóg miał wobec niej plany, ale musiała rozliczyć z grzechów tych wszystkich, którzy na to zasługiwali. W zasadzie jedną osobę, reszcie była gotowa nawet wybaczyć.

Upięła włosy, które zaniedbała, odkąd zdarzyło się to wszystko, i odwróciła wzrok od lustra. Przy wejściu założyła na ramię pasek torebki, wsunęła na nogi pantofle i wyszła do kościoła. Wędrowała uliczkami, nie rozglądając się na boki, patrząc jedynie pod nogi. Nie interesowało ją, czy ktoś się za nią ogląda, czy ktoś chciałby podejść i porozmawiać, zapytać, jak się czuje i czy czegoś potrzebuje. Wątpiła nawet, czy ktoś taki by się znalazł. W oczach miała setki prostokącików bruku, a w głowie pustkę. I tak dotarła do kościoła.

Przez całą mszę myślami była gdzie indziej. Nie odpowiadała na pozdrowienia znajomych kobiet i sąsiadek, nie patrzyła na nie, nie rozglądała się po wnętrzu świątyni, tylko wpatrywała się w jeden punkt pod sklepieniem prezbiterium, a w jej głowie kotłowały się obrazy. Pomiedzy nimi chodził Bóg, a ona mu je pokazywała i zadawała pytania, na które nie dostawała odpowiedzi. Po raz pierwszy od lat, odkąd nastał tu nowy proboszcz, nie podeszła do niego po mszy, a kiedy on, otoczony wianuszkiem parafianek, szukał jej wzrokiem, jej już dawno w kościele nie było. Wracała do domu ścieżką prowadzącą wzdłuż brzegu jeziora, znów wpatrzona w czubki sandałów, drepcząc krok za krokiem, w miarowym,

jednostajnym tempie, takim samym, jakim szła godzinę wcześniej do kościoła i jakim podążała przez życie.

Dotarwszy do domu, Regina Remus, zamiast podejść do swoich drzwi, przystanęła kilkanaście metrów wcześniej, przed wejściem do części bliźniaka, w której mieszkał sąsiad, Rafał Błach. Była zdecydowana. Zapukała mocno do drzwi. Potem drugi raz i przykre wspomnienie niemal identycznych okoliczności, w jakich była tu ostatnio, uderzyło w nią jak taran. I znów, tak jak wtedy, drzwi uchyliły się powoli i stanął w nich gospodarz, w podobnym stanie jak poprzednio. Na wprost twarzy miała sprany napis „Fake Hero”, który zdobił rozciągnięty i wymięty T-shirt.

– Dzień dobry. – Błach ukłonił się Remusowej, zdziwiony, co robi u niego o takiej porze, a właściwie, co w ogóle u niego robi.

Jedyny chyba powód, z którego mogłaby tu być, zajechał kosą psa i wymeldował się z tego świata.

– Mam sprawę do ciebie – powiedziała sucho Remus. – Wpuścisz mnie na chwilę?

– Eee... Nie posprzątałem jeszcze, wczoraj miałem gości, i ten...

– Przyjdiesz do mnie zaraz? To ważne. I można zarobić. Nawet sporo.

– Chce pani, żebym skończył to okno? W niedzielę? – zdziwił się.

– Nie chodzi o okno – mruknęła. – Po prostu przyjdź, jak się ogarniesz, dobrze?

– Dobrze. – Dyskretnie poprawił niezbyt czyste bokserki wrzynające mu się między pośladki.

Regina wróciła do siebie. Zdjęła sandały, odwiesiła torebkę na wieszak i skorzystała z toalety. Ostatnio znów dość często przydarzały się jej biegunki, zaczęła też chudnąć i składała to na karb nerwów, choć doktor sugerował niedawno coś innego. Potem poszła do swojego pokoju. Usiadła w fotelu, powolnym, ostrożnym wręcz ruchem położyła przedramiona na podłokietnikach i wpatrywała się w ścianę przed sobą. Nie miała świadomości upływającego czasu, po prostu zapadła w odrętwienie, a wszystko

przystało mieć znaczenie i to był nawet przyjemny stan, bo wtedy nie bolała ją dusza. Drgnęła, wytracona z zamyślenia głośnym pukaniem do drzwi. Wstała i poszła otworzyć: za drzwiami stał Błach. Sugestię ogarnięcia się potraktował poważnie; ogolona tępą maszynką twarz czerwieniała podrażnieniami, a ulizane włosy błyszcząły w słońcu wilgocią. Tylko śmierdział jak zwykle.

Wpuściła go, wprowadziła do pokoju i wyminęła, bo stanął na jego środku jak niemal wszyscy, którzy do niego wchodzili. Usiadła w fotelu, przyjmując dokładnie taką samą pozycję, w jakiej spędziła ostatnie dwadzieścia minut. Błach patrzył na nią wyczekująco: on z kolei stał w takiej samej pozycji, w jakiej stawał w pustej klasie, gdy dostawał od niej reprimendę. Ludzie się nie zmieniają, uznała. Wszystko się w nich tylko pogłębia.

– Byłeś w więzieniu, prawda? – zapytała.

– Noo... Byłem. Stare dzieje.

– Za co cię skazali?

– Koledzy mnie wrobili w jedną sprawę. – Podrapał się w głowę z zakłopotaniem.

– Nie musisz mi kłamać, Rafał. Możesz mi powiedzieć prawdę. Znam cię od dziecka.

– A jeśli pani nie chce znać prawdy?

– Zdziwisz się, ale im gorsza będzie, tym bardziej się ucieszę.

– Co pani mówi?

Pomyślał, że stara zwariowała.

– Potrafiłbyś kogoś zabić? Za pieniądze?

Teraz był już tego pewien. Normalnie jej odpierdoliło z tej zgryzoty.

– Eee...

– W głowie ci się to nie mieści, co? – Pokiwała głową, i on też.

– Szczerze mówiąc, jestem...

– Rozumiem, oczywiście. Ale chciałabym wiedzieć, czy rozmawiam z właściwym człowiekiem. Oczywiście zapłacę.

Chrząknął.

– A ile? Nie żebym mówił, że to zrobię, po prostu...

– Pięć tysięcy – przerwała mu, a jej twarz była jak nieprzenikniona maska. – To wszystko, co mam.

Błach zaczął nieświadomie przebierać palcami. Pięć patoli. Kurwa, majątek! Takich pieniędzy nie widział nigdy na oczy, nie myślał oczywiście, że ustawiłby się za to do końca życia, ale taka suma pozwoliłaby mu pożyczyć przez jakiś czas. Wesoło.

– Kogo trzeba... – Nie chciał używać tego słowa.

– Powiem ci potem. Teraz chcę tylko wiedzieć, czy to zrobisz.

– To nie jest jakiś żart? – upewnił się jeszcze.

– Nie. – Ton, jakim Remus wypowiedziała to słowo, potwierdzał to bez żadnych wątpliwości, choć dopiero po chwili Błach uświadomił sobie, że nikt nigdy nie widział ani nie słyszał Remusowej żartującej.

Teraz też nie było powodu, dla którego to miałoby się zmienić.

– Być może znam kogoś, kto podjąłby się tego. – Pokiwał głową, jakby się poważnie zastanawiał, usiłując wyglądać na profesjonalistę, przynajmniej w swoim wyobrażeniu. – Nie wiem, czy za pięć tysięcy, czy nie będzie chciał więcej...

– Nie mam więcej. – Remus patrzyła mu w oczy zimnym jak lód wzrokiem. – I nie będę miała. Powiedz to temu komuś.

Błach uświadomił sobie, że ona wie, że nie ma nikogo innego. Poczul, jak rumieniec wypełza mu na twarz. Nie do wiary, że ta starucha wciąż miała nad nim taką władzę, jak czterdzieści lat temu, i że się temu poddawał, choć mógłby chyba udusić ją gołymi rękoma za to, że w klasie poniżała go przed chłopakami, nazywając go osłem i głupkiem.

– Zastanowię się – mruknął.

– Kiedy mi powiesz? – Patrzyła na niego bez zmrużenia powieki, aż nieświadomie się skulił.

– A kiedy muszę dać odpowiedź?

– Jak się namyślisz, ale niech to nie trwa za długo. Chcę to załatwić jak najszybciej. Muszę załatwić to jak najszybciej –

dodała po chwili zastanowienia, kładąc nacisk na pierwszy wyraz.

– Dobrze. – Włożył ręce do kieszeni, żeby coś z nim zrobić. – Postaram się szybko.

– Dziękuję, Rafał. – Zrozumiał, że był to sygnał do opuszczenia jej domu.

Spierdalaj, stara ruro – pomyślał, szurnął nogami, odwrócił się i wyszedł.

Regina Remus siedziała jeszcze chwilę w fotelu, potem wstała, poszła do kuchni i zrobiła sobie herbaty. Siorbała ją powoli, stojąc obok kredensu, i wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w stojący na półce na wysokości jej oczu kubek, w którym zawsze herbatę pijał jej syn. Nagle odstawiła swój na blat i poszła do jego pokoju, gdzie klęknęła pod oknem, zdjęła obluzowaną deskę parapetu i wyjęła papiery, które Remigiusz tam znalazł. Zdjęć nie oglądała, przeczytała tylko dokumenty i znów serce się jej ścisnęło. Odłożyła wszystko na miejsce i poszła w stronę wyjścia. Włożyła buty, wzięła torebkę, starannie zamknęła drzwi i ruszyła przed siebie. Kilka minut później dotarła pod dom człowieka, z którym chciała porozmawiać. Zadzwoiła do drzwi i czekała. Była niedziela, więc liczyła, że będzie w domu, i nie przeliczyła się.

Widziała w jego wzroku zdziwienie, podejrzewała, że to samo zobaczyłaby teraz w oczach wszystkich bez wyjątku mieszkańców Nowego Warpna, ale już się tym nie zajmowała. Nabrała głęboko tchu i powiedziała:

– Dzień dobry, panie Zenonie, mam pewną sprawę do pana...



Regina Remus czekała. W czekaniu była zawsze dobra, choć dziś nazwałaby to naiwnością, a nie cierpliwością. Bycie w czymś dobrym jest zdolnością, a to ze zdolnością nie miało nic wspólnego. Przyszedł czas, żeby zakończyć wszystko.

Zadzwoiła do Georga dwa dni temu. Nie odebrał. Oddzwonił wczoraj.

– Po co znów się ze mną kontaktujesz? – zapytał, nawet się nie witając.

Dobre manierey zniknęły, a może nigdy ich nie było, były tylko pozory, a on cały był z nich utkany. Po ostatniej rozmowie, kiedy doszła do siebie, jego już nie było. Ale przynajmniej dom był nienaruszony.

– Załatwiam ostatnie sprawy – powiedziała.

– Co ja mam z tym wspólnego?

Każdy zaniepokoiłby się, słysząc słowa o załatwianiu ostatnich spraw. Każdy, ale nie on. Jak mogła być tak ślepa?

– Jesteś ostatnią sprawą, którą chcę załatwić – odpowiedziała mu chłodno.

– To znaczy?

– Chcę się pozbyć tych papierów. Nie chcę, żeby w moim domu znajdowało się cokolwiek mającego coś wspólnego z tobą i twoją rodziną. Przyjedź i zabierz to, skoro ci tak na tym zależy, choć mogłabym to po prostu zniszczyć. Ale pewnie chcesz się dowiedzieć, kim naprawdę jest twój ojciec. Chciałbyś poznać prawdę o nim, co?

– Kiedy mogę przyjechać? – Słyszała w jego głosie napięcie.

– Jak najszybciej. – W jej głosie z kolei nie było cienia emocji. – Nawet jutro.

Była praktycznie pewna, że Błach będzie na miejscu.

– Zjawię się jutro około południa – powiedział i rozłączył się bez słowa pożegnania.

Siedziała teraz przy stole i wspominała tę rozmowę, czekając na niego. Przed nią leżało zdjęcie, które dostała od Owczarka. Wśród kolegów stał jej ojciec. Polak. Antoni Łakisz. Ubek. Ilu ludzi zniszczył? Ilu zabił? Czy kochał jej matkę? Czy ona kochała jego? Zamknęła oczy i przypomniała sobie ukłucia, tak bolesne, które wciąż jak zadry tkwiły w jej duszy. Niemra. Czy gdyby wiedzieli, że miała ojca Polaka, nawet ubeka, jej dzieciństwo wyglądałoby inaczej?

Mogła wmawiać sobie, że nie wierzy Georgowi, łudzić się dla świętego spokoju, ale nie robiła tego. Zaprzeczanie nie miało sensu. Wierzyła mu, bo miała na to dowody. Nie słowa Kustlera, ale też słowa człowieka, którego przez całe życie uważała za swojego ojca. Wtedy nie pojęła ich sensu, teraz tłukły się w jej głowie. „To nieprawda, że dzieci są jak ojcowie. Jesteś tego najlepszym przykładem”. Tak powiedział, kiedy próbowała go przekonać, by przyjęli Kustlera pod ich dach. A ją zastanawiało coś innego: co z wnukami?

Ale najgorsze i najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że Karl Remus wiedział.

Wiedział, że nie jest jego córką. Wiedział to, choć nie miała żadnych wątpliwości, że ją kochał. Bywał surowy, ale kochał. Matkę również kochał, choć Regina zastanawiała się wielokrotnie, czy dostawał od niej tyle, ile sam dawał. I teraz uzmysłowiła sobie, że nikt nigdy nie powiedział jej, że jest podobna do ojca. Z matki też niewiele miała, ale z Karlem Remusem nie łączyły ją żadne cechy podobieństwa. Czy jego miłość do niej była szczerą? Czy z jakichś powodów udawał? Wiedziała już, że mężczyźni to potrafią. Czy kochał, czy jednak rzeczywiście nic jej z nim nie



łączyło, oprócz wspólnego zamieszkiwania razem przez prawie trzydzieści lat? Pytanie: co z wnukami, znów zaprzątneło jej umysł. Zastanawiała się czasem, dlaczego Remigiusz nie jest podobny do ojca, tylko do niej. Nie żałowała tego, bo życie z kopią Georga Kustlera pod jednym dachem rozdrapywałoby ranę za każdym razem, gdyby na niego spojrzała. Teraz wiedziała, dlaczego tak było. Bo jej ojciec, prawdziwy ojciec, miał silne geny.

Patrzyła mu w oczy. Były identyczne z jej oczami. Fałdy powiek, kształt łuków brwiowych, rozstaw. Tylko ich wyraz był inny. Próbowwała w nich czytać, ale były nieprzeniknione. Zwierciadła duszy zaśnieziały i ukryły to wszystko, co w niej było. Jedyne, co widziała, co sobie wyobrażała, że widzi, to kpina. Kpił ze wszystkich. Z niej też. Nie spuszczać z niego wzroku, sięgnęła po nożyczki, ujęła je i mocno zacisnęła na nich palce, a potem uniosła ramię. Przez chwilę jej ręka wisiała w powietrzu. Nagle zamknęła oczy i uderzyła. Mocno. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła, że ostrze tkwi dokładnie pośrodku jego twarzy, rozdzierając ją niemal na pół. Poczowała, jak złość wzbiera w niej masywną falą i przestała się kontrolować. Uderzała raz za razem, precyzyjnie i robiła to tak długo, aż z twarzy człowieka, który był jej ojcem, nie zostało praktycznie nic. Obrus pod zdjęciem znaczyły drobne nacięcia, ale nie dbała o to. Już nie. Odłożyła nożyczki i ukryła twarz w dłoniach, wbijając łokcie w stół. Płakała długo i cicho, zanurzona w mroku, aż do rzeczywistości przywołało ją pukanie do drzwi. Otarła łzy, wstała i jej wzrok padł na zdjęcie, o którym prawie zdążyła zapomnieć. Odniosła je na półkę, gdzie leżało od kilku dni, potem strzepnęła na podłogę drobiny papieru, jeszcze niedawno będące wizerunkiem twarzy człowieka, który ją spłodził, i poszła otworzyć.

Georg Kustler miał na sobie czarną koszulę. Wyglądał trochę jak ksiądz, ale jej i tak było wszystko jedno, nie patrzyła już na niego jak na mężczyznę z marzeń. Teraz był tylko ziszczeniem koszmaru, uosobieniem ludzkiego zła. Wpuściła go w milczeniu do

środku. Znów nie zapytał, jak się czuje po śmierci syna, ich syna. Jak znosi samotność, rozpacz, biedę, ludzkie spojrzenia. Jak to jest, kiedy Bóg zapomina, a może wręcz nigdy nie pamiętał.

Znów stanął na środku pokoju i czekał. Po prostu czekał, jakby przyszedł po swoje do obcego, nie mając zamiaru zamienić nawet słowa. Wejść, zabrać, wyjść i zapomnieć.

– Nie dostaniesz tych dokumentów – powiedziała.

Stał z otwartymi ustami i to było dla niej najlepszym dowodem na to, że przez całe życie chodziło mu tylko o jedno. O te papiery. Teraz jeszcze mocniej utwierdziła się w przekonaniu, że nigdy ich nie dostanie.

– Muszę je mieć. Muszę dowiedzieć się, czy mój ojciec... – Urwał.

– Nie dowiesz się tego.

– On... On mi powiedział... Ale jest już bardzo stary, mówi różne rzeczy i nie mogę mieć pewności, co jest prawdą, a co nie...

– Teraz był bezradny jak dziecko.

Ton jego głosu i wyraz twarzy sprawiły, że poczuła się odrobinę lepiej, jakby los wyrównał jednak krzywdy, a przynajmniej próbował je wyrównać. Każdy nosi swój krzyż, choć jego ciężar uświadamia sobie często bardzo późno.

– Będziesz musiał z tym żyć – oznajmiła mu. – Co ty na to? Dałeś mi prawdę o moim ojcu, koszmarną prawdę. Ale widzę, że czasem nie znać całej prawdy jest jeszcze gorzej. I już teraz wiesz, jak to jest, kiedy twój ojciec skrywa mroczną tajemnicę, co? Już wiesz, jak to jest, kiedy masz ojca potwora!

– Obiecałaś mi... – zaskrzeczał.

Stał przed nią stary człowiek, z którym w kilka upalnych dni siedemdziesiątego szóstego roku przeżyła całe życie. Ojciec jej dziecka, którego już nie było, i nie było też już niczego, co ją mogło z tym mężczyzną łączyć. Ale ona też nie była młoda. Naprzeciw siebie stało dwoje starych ludzi u schyłku życia. Jedno miało wszystko, drugie nic. Ale każde dźwigało swój krzyż.

– Zmieniłam zdanie. Ty też mi obiecywałeś wiele rzeczy – powiedziała gorzko.

Zamknął usta i jego twarz wykrzywił brzydki grymas. Patrzyła na przekrzywione okulary, zmierzwione siwe włosy, obwisłe policzki, markowy garnitur i widoczną nad rozpiętym kołnierzykiem koszuli pomarszczoną, ale opaloną skórę. Był jej obcy. Zawsze. Nawet kiedy kochała go z całego serca. I kiedy niszczył jej życie swoją nieobecnością i zaprzeczaniem.

– Nigdy niczego ci nie obiecywałem. Nigdy. Nawet jednym słowem. Po prostu ulegliśmy nastrojowi chwili. A teraz wcale nie zmieniłaś zdania. Od początku nie chciałaś mi ich oddać. Więc po co mnie tu sprowadziłaś? – zapytał.

O ile jeszcze przed spotkaniem dopuszczała do siebie myśl, że to, co planowała, nie musi się wydarzyć, to teraz była już tego pewna. Musiała i, przebacz Boże, chciała to zrobić. I nie chodziło o pieniądze na pomnik. Już jakiś czas temu doszła do wniosku, że rzeczy ziemskie nie mają znaczenia. Że to, co zostawia się po sobie na tym łez padole, ma znaczenie wyłącznie dla tych, dla których zostało to zostawione. A ona nie miała nikogo, komu mogła cokolwiek zostawić. Na pamięci też jej już nie zależało, przeciwnie: chciała, żeby wszyscy jak najszybciej zapomnieli o niej i jej synu. Żeby oboje zostali wymazani z ludzkiej pamięci.

I najlepiej na zawsze.

– Pytam po co, skoro nie chcesz mi ich oddać? – Patrzył na nią tak, jak niektórzy ludzie patrzą na bezdomnych leżących na ławce w parku.

– Żeby ci powiedzieć prosto w oczy, że odpowiesz za to, co zrobiłeś. Kiedyś przed Bogiem, a dziś przed ludźmi. Za to, że zostawiłeś. Nie mnie. Jego. – Wskazała zdjęcie syna stojące w ramce na stole, tuż obok płonącej świecy.

Wzięła do ręki nóż i zbliżyła się do Georga. Patrzył z zaskoczeniem na jej dłoń zaciśniętą na trzonku, a w jego oczach nie widziała strachu, może tylko lekkie zaskoczenie i...

rozbawienie. I to zabolalo ją najbardziej. Uniosła nóż, wzięła niezdarny zamach, a kiedy złapał ją za nadgarstek i drugą dłonią sięgnął po niego, pozwoliła mu go sobie wyjąć z ręki. Odłożył nóż na blat i otrzepał ręce, jakby dotykał przed chwilą czegoś brudnego.

– Masz jeszcze szansę wziąć to sobie sam – oznajmiła nagle. – Możesz dokończyć to, co zacząłeś czterdzieści dwa lata temu, tylko też będziesz musiał kogoś zabić. Wtedy mojego ojca, teraz mnie. Zabij i poszukaj tych dokumentów, nikt ci nie będzie przeszkadzał. To mój warunek.

– Stara wariatka – powiedział, rozdzierając jej serce do końca.

Ostatkiem sił powstrzymała łzy cisnące się do oczu. Nie będzie więcej łez.

– Mówiłeś mi kiedyś, że pochodzisz z długowiecznej rodziny, Georgu Kustlerze – wysyczała. – I życzę ci, żebyś ty też żył długo. Jak najdłużej. A teraz wynoś się z mojego domu, kanalio.

Jej słowa ścigały go w drzwiach. Wyszedł na zewnątrz, a czerwona mgła zasnuwała mu oczy. Wsiadł do samochodu i ruszył gwałtownie, nie oglądając się za siebie, świadomy, że nigdy więcej tu nie wróci.



2018

Krzemiński wykazał się chyba profesjonalizmem, bo już przed południem następnego dnia do Przeworskiego zadzwonił Cehak.

– Gotów. Szesnasta. Przyjedź, szeryfie. A nie, przepraszam; przyjdź, masz rzut kamieniem. Albo dobra, podjadę po ciebie.

– Spokojnie, podejdę. – Przeworski stwierdził, że lepiej nie dawać kolegom pożywki do kolejnych plotek.

Niby miał to gdzieś, ale trzeba było jakoś funkcjonować. Konflikt z kolegami z komendy nie był co prawda otwartym konfliktem, tylko niesnaskami z kilkoma z nich, głównie kryminalnymi blisko związanymi z prowodyrem, czyli Krzemińskim. Może mieli kompleksy, a może zazdrościli mu urody? Praktycznie rzadko się z nimi spotykał w pracy, na odprawach czy szkoleniach, nie wspominając już o gruncie towarzyskim, i nie czuł żadnej potrzeby, żeby to zmienić. Furda też dał mu spokój, jakby aspirant swoją decyzją o pozostaniu w Nowym Warpnie wytrącił mu z ręki wszelkie argumenty do dyskusji na jakikolwiek temat, pokazując, że jest po prostu dziwny. Ale to też Przeworski miał gdzieś. Był coraz większym samotnikiem, wątpliwości zmieniły się w ostatnim czasie w pewność. I teraz pytał sam siebie, czy stał się nim, czy był taki od zawsze, a jedynie sobie tego nie uświadamiał. Nowe Warpno wydobyło to z niego: jeśli tłumił tę potrzebę, przekonało go do jej wyartykułowania, jeśli w ogóle nie zdawał sobie z niej sprawy, to mu ją uświadomiło. Potrzeby towarzyskie całkowicie zaspokajała mu przede wszystkim Natalia i kilkunastu mieszkańców, z którymi zdążył się zżyć przez te kilka miesięcy

służby. Ludzie o różnym statusie społecznym i majątkowym, za to porządni. Kiedy na samym początku Zajdel, dzieląc się z nim swoimi doświadczeniami dzielnicowego, opowiadał mu o miejscowych cudach, to Nowe Warpno jawiło mu się jako siedlisko patologii. Dziś wiedział, że to takie samo niewielkie, zwykłe miasteczko jak tysiące innych, może tylko wyjątkowe pod jednym względem: lokalizacji. Nawet sprawa z Remusem nie zdołała Przeworskiemu obrzydzić tego miejsca. I to dało mu do myślenia. Najwyraźniej zaczynał zapuszczać tutaj korzenie.

Na miejscu Przeworskiego spotkała przyjemna niespodzianka: Krzeziński nie przyjechał. Zamiast niego był Siudek z komendy wojewódzkiej, przysadzisty, trochę narwany facet po czterdziestce, chlubiący się swoim wyjątkowym, fantastycznie stuningowanym bmw serii 7 E23 z siedemdziesiątego ósmego roku, w którego wkładał chyba całą wolną forszę, jaką udało mu się wyszarpać z budżetu rodzinnego. Kiedy zdarzyło mu się przytarcie, podobno płakał, i to nie dlatego, że zamawiany w fabryce lakier i felga kosztowały fortunę, bo winę ponosił drugi uczestnik zdarzenia i miał zwrot z OC sprawcy. Przeworski trochę to rozumiał, a trochę nie. Aspirant słyszał też, że Siudek sporo się nadenerwował, próbując przekonać rzeczoznawcę, że zaproponowana wycena nijak ma się do rzeczywistych kosztów naprawy. Lakier musiał zostać zmieszany według starej receptury w fabryce, a felga wytrzymać siły występujące przy prędkościach, których nie dało się legalnie osiągnąć na autostradzie, a nawet na polskich torach wyścigowych.

Obyło się bez fajerwerków. Na Jeziorną nie przyjechała ekipa kontrterrorystów, żeby roznieść mały domek na strzępy, zjawił się tylko Siudek i kilku funkcjonariuszy sekcji kryminalnej z Polic, a broń w ich rękach była w zasadzie zbędna. Błach właśnie odgrzewał sobie pizzę z pudełka, popijając ciemną warkę z puszki. Kiedy Przeworski z Cehakiem weszli do jego domu, siedział już skuty na nakrytej włóczkową narzutą wersalce, która pełniła

chyba też funkcję jego łóżka. Był wyraźnie przestraszony i zrezygnowany. Widząc ich obu, wyprostował się i wyciągnął do nich ręce.

– Nic nie zrobiłem! – zawołał.

– Już to kiedyś słyszałem – stwierdził Cehak i spojrzał na aspiranta. – A ty?

– Też. Całkiem niedawno, całkiem niedaleko stąd i nawet od tego samego gościa. – Wycelował palec w Błacha. – To się chyba nazywa *déjà vu*.

Błach nie był tytanem intelektu i aspirant liczył się poważnie z tym, że nie będzie wiedział, o co chodzi. Było to oczywiście nieistotne, bo Siudek zjawił się już po chwili, a w obleczonej niebieskimi, lateksowymi rękawiczkami dłoniach trzymał jakiś ciuch. Wisiał mu w nich jak żagiel podczas flauty.

– Może mi powiesz, co to jest? – zwrócił się do zatrzymanego.

– Bluza – bąknął Błach.

– Wkurwić mnie chcesz? – spytał zdumiony Siudek.

– Przecież pan zapytał.

– Rozumiem, że twoja, tak?

– Tak. – Widać było, że odpowiedź sporo Błacha kosztowała. Zdawał sobie sprawę, że zaprzeczanie nie ma najmniejszego sensu.

– A to? – Siudek skrzyżował ręce, odwrócił bluzę i pokazał plamę krwi na jej przodzie.

Była spora.

– Nawet nie próbowałeś jej uprać, debilu. A jak powiesz, że zaciałeś się przy goleniu, to będzie z tobą słabo – ostrzegł Błacha.

Przeworski z Cehakiem patrzyli na to w milczeniu, a Błach tylko zwiesił głowę.

– Szukamy dalej czy powiesz, gdzie świecełka? – zapytał prokurator i rozejrzał się. – Gorszego bajzlu nie da się tu zrobić, ale jak skończymy, to będziesz miał sporo roboty, żeby to ogarnąć. A nie, zapomniałem, przecież jedziesz z nami. – Teatralnym



ruchem klepnął się w czoło. – I prędko tu chyba nie wrócisz. Jeśli w ogóle. Gdzie są? Sprzedałeś czy masz?

– Mam, ale zrozumcie: ona sama mi to dała...

– Nie pierdol, tylko mów, gdzie są. – Siudek westchnął ciężko.

– Tam. – Błach wskazał ruchem podbródka rozpadającą się meblościankę. – W barku.

– W barku? – Cehak podszedł do mebla i przekręcił kluczyk tkwiący w zamku; wiedział, co mężczyzna ma na myśli, bo jego babcia miała kiedyś podobny wynalazek, jak chyba wszyscy Polacy przed ostatnią dekadą dwudziestego wieku.

Kiedy uchylił skrzydło, jego oczom ukazało się kilkanaście butelek wódki.

– Widzę, że w twoim barku jak w dobrej restauracji: im mniej dań w karcie, tym lepsza, co? – Odwrócił się. – Gdzie?

– Pudełko za flaszkami – burknął Błach.

Cehak przesunął ostrożnie butelki i zobaczył niewielkie, płaskie, metalowe pudełko po jakichś tanich perfumach. Wyciągnął rękę w stronę Siudka i wzrokiem poprosił o rękawiczkę. Siudek wygrzebał ją z niewielkiej torebki, jaką nosił przy pasku, i podał prokuratorowi, a ten naciągnął ją na dłoń. Potem wziął pudełko, kciukiem podważył wieczko, a kiedy odskoczyło, najpierw sam zajrzał do środka, a później pokazał je Przeworskiemu i Siudkowi. Zobaczyli biżuterię Remusowej. Cehak potrząsnął lekko pudełkiem, złoto zagrzecotało i precjoza rozsunęły się, a na środku został sygnet. Miał duże, lekko wklęsłe oczko z wygrawerowaną na nim łodzią.

– Porządna robota, nie jakaś tandetna „ślizgawka” – mruknął z uznaniem Siudek, mając na myśli popularne ślepe sygnety, które nosili dziś mężczyźni jako biżuterię.

– No dobra, fanty są, a za imprezę zapłaciłeś gotówką. – Cehak zamknął pudełko. – Skądś ją miałeś. Od niej, tak? Ile zabrałeś? Dwa? Trzy tysiące?

Błach milczał.

– Dobra, będziemy się zbierać. – Prokurator zagrzechotał biżuterią. – Nie przemyślałeś tego dobrze, chłopie. Zabiłeś ją, a potem napisałeś jej krwią na podłodze „Georg Kustler”. Musiała ci o nim kiedyś opowiedzieć, co? I skorzystałeś, że u niej był, żeby rzucić na niego podejrzenia. Tylko nie przyszło ci do głowy, że przy tak masywnym krwotoku z tak dużej rany nie miałaby czasu tego napisać.

Przeworski zastanawiał się, co próbuje zdziałać Cehak, dobrze wiedząc z opinii grafologicznej, że było wyjątkowo mało prawdopodobne, żeby napis mógł sporządzić wtórny analfabeta, jakim był Błach. Sam tak zresztą twierdził.

– Nie zabiłem jej, przysięgam!

– Nie? To kto, jak nie ty?

– Nie ja... Kurwa, nawet nie wiem, jak się pisze tego Gerharda!

– Krzyk uwiązał Błachowi w gardle, ramiona mu opadły, jakby właśnie stracił ostatnią nadzieję, a może właśnie ją dostrzegł, choć był świadomy, że jest nikła i niewiele mu pomoże. – To nie ja napisałem...

– Ten napis był tam wcześniej, prawda? – zapytał nagle Przeworski. – Kiedy ona była jeszcze cała i zdrowa?

Błach spojrzał na niego jak na zbawcę, a Cehak jak na wariata.

– Tak, był już tam, kiedy do niej przyszedłem. – Błach opuścił głowę. – Dobra. To ja już wszystko powiem...

– Po to tu jesteśmy. – Cehak znów spojrzał na Przeworskiego, tym razem po prostu znacząco. – Ty, żeby powiedzieć. A my, żeby wysłuchać. No, więc?

– Sama to zrobiła...

– Co ty pierdolisz? – zdenerwował się Siudek. – Mamy się już śmiać? Ogarnij się chłopie, myślisz, że ktoś uwierzy w takie brednie? Długo masz tak zamiar kluczyć? Bo nam się już nie chce, ja jestem głodny na przykład, więc się łaskawie streszczaj.

Błach spojrzał na policjantów i prokuratora z udręką w oczach. Znów schował głowę w ramionach, jakby chronił się przed

niewidzialnym ciosem

– Zabiła się sama, rozumiecie? – jęknął. – Sama...



*2018, wcześniej*

Rafał Błach był bardzo zdenerwowany. Postanowił jednak zrobić to, o co prosiła go Remusowa, a przynajmniej tak mu się wydawało, choć wciąż nie mieściło mu się w głowie, że Niemra może chcieć kogoś zabić. Ale był jeden warunek, a może raczej wyjątek. Podejrzał, że stara może chcieć zemścić się na gliniarzu, który odbił Remkowi dziewczynę i na to nie zamierzał pójść. O nie. Nie powiedział jej tego wcześniej i wciąż liczył po cichu, że chodzi jednak o kogoś innego i zarobi te parę koła, ale gliniarza nie tknie za żadne pieniądze świata. Już taki jeden był, co tknął, i teraz nie żył. A gliniarz owszem, żył dalej. I akurat to Niemra powinna zrozumieć.

Kiedy zobaczył, jak starszy mężczyzna wybiega z jej domu i wsiada do czarnego mercedesa zaparkowanego na ulicy, odczekał piętnaście minut i poszedł do Remusowej, ale przez ogród, tak jak się wczoraj wieczorem umawiali. Nie znał całego planu, miał po prostu obserwować ulicę przez okno, poczekać kwadrans od odjazdu jej gościa i do niej przyjść. Odchrząknął i zanim zapukał w drzwi, z ciekawości zajrzał najpierw przez okno, żeby podejrzeć, co robi. Zobaczył ją klęczącą przy kanapie, ze złożonymi rękami i zadartą do góry głową, na jednej dłoni widać było coś białego. Modliła się. Modliła się tak, jak małe dzieci, które dopiero co nauczyły się pacierza i zmawiają go z żarliwością świeżej wiary, nieskażonej jeszcze kompromisami czy wyborem mniejszego zła. Stał i patrzył, przestępując z nogi na nogę. Nie ogarniał tego kompletnie. Chore, kurwa – pomyślał, splunął na zapuszczony

trawnik i podszedł do tylnych drzwi. Dał Niemrze jeszcze pół minuty, a potem zapukał.

Otworzyła mu blada i lekko wystraszona. Wyrzała zza jego ramienia, jak gdyby bała się, że ktoś jest w ogrodzie, i on też odruchowo obejrzał się za siebie. Oczywiście nikogo tam nie było. Wpuściła go w milczeniu do środka, a on bez słowa przeszedł do dużego pokoju i stanął niezdecydowanie na jego środku. Na stole leżał duży kuchenny nóż, obok niego biała, wypchana koperta, a na podłodze zobaczył nasmarowany czerwoną farbą napis: GEORG KUSTLER. Widać było, że został zrobiony palcem, choć mimo tego litery były bardzo staranne. Przypomniał sobie, jak Niemra tępiła go za pisanie lewą ręką. Nigdy nie nauczył się ładnie pisać prawą, choć Bogiem a prawdą, lewą też pewnie nie szłoby za dobrze. Do innych rzeczy się nadawał, po prostu.

– Kogo mam usunąć, proszę pani? – zapytał, wskazując napis. – Tego gościa? To ten, co tak wyskoczył przed chwilą?

Wzrok byłej nauczycielki powędrował za jego palcem, zatrzymał się na napisie i wrócił do jego twarzy.

– Nie, nie jego. Mnie.

– To... To jakiś żart?

– Nie. To nie jest żart.

– Ale... Pani chce popełnić samobójstwo?

– Nie – wyjaśniła cierpliwie. – Nie chcę popełnić samobójstwa, tylko chcę, żebyś mnie zabił, Rafał. Nie bój się, nie złapią cię, nawet nie będą cię podejrzewać, bo cała wina pójdzie na kogoś innego; na kogoś, kto zasłużył na piekło. I ja mu chcę to piekło stworzyć. Wszystko już przygotowałam.

– Ale to ten człowiek, który przed chwilą od pani wyszedł? – Kątem oka zauważył na jej dłoni krew i stwierdził: – Chyba skaleczyła się pani w rękę.

Spuściła głowę, jej wzrok prześlizgnął się po zakrwawionej dłoni.

– To nieważne, nic już nie jest ważne – powiedziała cicho, wycierając ją papierowym ręcznikiem. – Nie pytaj o nic, to nie ma

dla ciebie żadnego znaczenia, po prostu to zrób. Zrób dobry uczynek i zabij mnie, bo ja już nie mam po co żyć...

– To dlaczego... – Chrząknął. – Ja przepraszam, ale skoro już o tym rozmawiamy i nic pani nie powstrzyma... I już się na tę kasę umówiliśmy... To ja mogę pani podwiesić gdzieś sznurek, pomóc jakoś...

– Nie. – Jej głos był twardy. – Nie mogę zrobić tego sama. To wykluczone.

– Proszę pani... – Błach rozejrzał się płochliwie po wnętrzu, jakby bał się, że gdzieś ukryte są kamery, albo jacyś ludzie, a to, co się dzieje, jest jakimś sprawdzianem jego odwagi, determinacji, a może głupim telewizyjnym show, w którym nieświadomie bierze udział.

– Tu jest obiecane pięć tysięcy. – Podeszła do kuchenki, otworzyła drzwiczki i wrzuciła w ogień pobrudzony krwią kawałek papieru, a potem podeszła do stołu, sięgnęła po kopertę i podniosła rękę, w której ją trzymała. Małeńka strużka krwi spłynęła na nią, znacząc jej brzeg na czerwono. – Więcej nie mam. Te pieniądze są twoje. Możesz wziąć jeszcze biżuterię, przygotowałam wszystko, leży na stole. Nie jest tego dużo, ale zawsze parę złotych za nią dostaniesz. Musisz tylko być ostrożny. Nie szastaj pieniędzmi, biżuterię sprzedaj w Szczecinie, nawet nie w Policach. Jedź do dużego miasta. Musisz mnie tylko zabić tym nożem, ale tak, żeby nie dotykać trzonka, rozumiesz? – Słowa nagle zaczęły wylewać się z jej ust jak wezbrany od deszczu potok występujący z koryta. – Weź w palce ostrze i uderz wnętrzem dłoni w czubek trzonka. Wbij mi go w serce, zrób to mocno i szybko i pod żadnym pozorem nie dotykaj potem noża. Zabierz pieniądze i złoto, zamknij się w domu i nie wychodź. Wieczorem ma przyjść do mnie koleżanka, znajdzie mnie pewnie. Gdyby cię później o coś pytała policja, powiedz tylko, że widziałeś o dwunastej starego człowieka wychodzącego z mojego domu. Przez okno go zobaczyłeś. Nic poza tym nie wiesz. Nie widziałeś,

nie słyszałeś. Nie wymyślaj niczego, nie dodawaj od siebie: starszy mężczyzna i czarny samochód. Tyle. – Odłożyła kopertę na stół i wzięła nóż.

Oddychała szybko, bo z emocji, słowotoku i strachu zabrakło jej powietrza. Czuła, jak nagły dopływ tlenu sprawia, że zaczyna się jej kręcić w głowie. Patrząc swojemu byłemu uczniowi prosto w oczy, ze spokojem i ufnością, jaką nie obdarzyła nigdy nikogo poza synem i kiedyś Georgiem, chwyciła ostrze palcami i przyłożyła je sobie do piersi, wymacawszy drugą ręką przerwę między żebrami.

– Pchnij – szepnęła, przykładając drugą dłoń do końcówki trzonka i czując, jak czubek ostrza przecina skórę i zagłębia się w nią. – Jestem gotowa i pogodzona z losem. Bóg ci wybaczy, bo robisz dobry uczynek...

Wyglądała teraz niemal jak święta błagająca Stwórcę o pokój dla świata; z natchnionym wyrazem twarzy wpatrywała się w niego z ufnością, jakiej nie pokładał w nim nikt i nigdy.

– Pani Regino, ja... – Żrenice Błacha były szerokie, on też oddychał szybko, wręcz spazmatycznie. – Ja chyba nie mogę... Przepraszam, jednak nie dam rady.

– Możesz i dasz, Rafał – powiedziała z przekonaniem i zerknęła w dół, widząc, jak po dekolcie, wzdłuż wystającego z chudej klatki piersiowej żebra spływa strużka krwi z przeciętej skóry, a skraj bluzki barwi się czerwienią, tak samo jak przed chwilą koperta z pieniędzmi. – Powiedziałeś, że potrafisz. Obiecałeś mi to. Więc po prostu to zrób. To proste. Pchnij tylko i będzie po wszystkim. Mocno.

Przesunęła się lekko w jego stronę, a on się cofnął, choć nie miał dużo miejsca. Tuż za jego plecami była już ściana. Pokręcił głową, uciekając wzrokiem w bok.

– Pchnij! – wrzasnęła niespodziewanie, a on drgnął, tak jak kiedyś na lekcjach, gdy pani Remus zauważyła, że śpi albo gra z kolegą z ławki w statki czy kółko i krzyżyk.



Jej twarz zmieniła się w ułamku sekundy. Nie była już świętą; była diabłem i w tej strasznej chwili Błach pomyślał, że ta twarz będzie mu się śnić do końca życia.

– Nie potrafię... – jęknął.

– Ty od początku wiedziałeś, że tego nie zrobisz – syknęła nienawistnie. – Kłamca! Wszyscy jesteście kłamcami! Rozumiesz? Wszyscy, jak jeden, kurwa, mąż!!!

Prędzej spodziewałby się trzęsienia ziemi w Nowym Warpnie niż tego, że usłyszy takie słowo z ust Niemry. Spojrzał jej w oczy, prostując się, a wtedy ona, wciąż z ustami otwartymi do krzyku, puściła końcówkę trzonka, wciąż przytrzymując ostrze, chwyciła Błacha za kark, jakby chciała go pocałować i przyciągnęła do siebie, równocześnie dając zdecydowany krok w jego stronę. Poczul bolesne uderzenie trzonka w swoją klatkę piersiową i jej oddech na swojej twarzy, ale niczego już nie był w stanie zrobić. Mógł tylko patrzeć.

Z zaciśniętego gardła Reginy Remus wyrwał się głuchy jęk, ale powietrze nie uchodziło z płuc, tylko tam docierało razem z bólem i drętwieniem oblewającym całe jej ciało. Głęboki i głośny wdech, jaki zrobiła, gdy ostrze przebijało się przez skórę, tkankę tłuszczową, mięśnie i osierdzie, aż wreszcie dotarło do komory serca, uszkadzając po drodze aortę, był ostatnim dźwiękiem, jaki wydała. Drgnęła, przymknęła oczy i zaczęła się osuwać po Błachu, który odruchowo uniósł ramiona, jakby bał się jej dotknąć. I tak było. Bał się. Był sparaliżowany ze strachu, choć niejedno w życiu widział i zrobił. Zaszokowany nie spuszczał wzroku z twarzy Remusowej, która w końcu bezwładnie upadła na podłogę u jego stóp. Runęła z głuchym hukiem na brzuch i lekko przekręciła się na bok, gdy ciało oparło się na trzonku noża. Spod tułowia zaczęła wypływać krew, falami, coraz więcej i więcej krwi. Przy upadku proteza wysunęła się z ust i leżała teraz obok głowy otoczona jasnoczerwoną plamą, która dotarła aż do niej. Regina Remus leżała z ręką wyciągniętą w stronę napisu na podłodze. Dłoń

zadrzała, kiedy kobieta próbowała ją zgiąć i przyciągnąć do siebie, ale nie starczyło już sił. Remus patrzyła gasnącym spojrzeniem na ścianę, wydając z siebie kilka urywanych, spazmatycznych westchnień. Nagle jej podbródek zadrzał lekko jak z zimna i Remus znieruchomiała. Plama krwi wypływającej falami spod ciała przestała się powiększać i do Błacha dopiero teraz tak naprawdę dotarło, co się wydarzyło.

I w tej samej chwili zdał sobie sprawę, że napis nie był zrobiony farbą, tylko krwią.

– Chore, kurwa, chore – powiedział do siebie i rzucił się w stronę stołu po kopertę, uważając, żeby nie wdepnąć w ciemną kałużę na podłodze.



2018

Kiedy Błach skończył opowiadać, jeszcze przez chwilę wszyscy: Przeworski, Cehak i Siudek przyglądali mu się w milczeniu, stojąc nad nim jak sępy nad wydającą ostatnie tchnienia ofiarą.

– Była bardzo wierząca, a wiara zakazuje odbierania życia, również sobie. To wbrew piątemu przykazaniu – stwierdził Cehak.

– Taki zaznajomiony jesteś? – zdziwił się Przeworski.

– Owszem. Jestem wierzący i praktykujący.

– Gratulacje. – Przeworski zastanowił się przez chwilę. – Co to za wierzący, jak niepraktykujący?

– Na pewno jesteś gotowy na dyskusję teologiczną? – Prokurator spojrzał na aspiranta ze zdumieniem.

– Absolutnie nie. – Na wszelki wypadek Przeworski podniósł ręce w obronnym geście.

– Wybrała dziwne rozwiązanie. – Cehak był wyraźnie wstrząśnięty. – Zemstę i ucieczkę równocześnie...

– Wariatka. – Siudek kręcił głową. – Wiara zakazuje jej popełnić samobójstwo, ale kogoś zrobić w morderstwo, a drugiego zmusić do jego popełnienia, to już można, tak? Zakładając, że to wszystko prawda. – Spojrzał na Błacha i znów pokręcił głową. – Stara wariatka...

– Pokaż, jak to było – zażądał nagle Przeworski.

– Ale co? – zdziwił się Błach.

– Pokaż, jak trzymała nóż, kiedy to się stało. – Odwrócił się w stronę Siudka i zapytał: – Rozkujesz go na chwilę?

Siudek spojrzał zdziwiony na prokuratora, który skinął głową, więc policjant zrobił to, a kiedy Błach miał już wolne ręce, aspirant podał mu długopis.

– Jeśli spróbujesz mi coś nim zrobić, na przykład wbić w szyję, oko albo coś podobnego, skończysz na wózku inwalidzkim i do końca życia będziesz przyjmował pokarmy wyłącznie w postaci płynnej – ostrzegł go. – Pokaż, jak to zrobiła.

Stanął przed nim, patrząc mu uważnie w oczy. Błach z wahaniem spojrzał na długopis, potem przeniósł wzrok kolejno na aspiranta, Siudka i Cehaka.

– Ale... Ale jak? – zapytał. – Znaczy, że na panu, czy na sobie?

– Skoro sama się zabiła, to pewnie, że na sobie – odparł lekko zniecierpliwiony Cehak.

Błach wziął od Przeworskiego długopis.

– Kiedy już wiedziała, że nie będę potrafił jej zabić, wzięła ten nóż za ostrze, tak, wicie... – powiedział i ujął go delikatnie w dwa palce, przykładając sobie do klatki piersiowej.

– Za płaz – podpowiedział Cehak.

– Co?

– Nic. Tak, wiemy.

– Potem przytrzymała drugą ręką za koniec trzonka...

– Jak? Pokaż dokładnie, jak to zrobiła.

Błach przyłożył wewnątrz dłoni do końcówki długopisu, a Przeworski w tym samym momencie zerknął na Cehaka.

– I potem znów chwyciła ostrze, spojrzała mi w oczy, Jezu, jaki miała wzrok... I po prostu rzuciła się na mnie, zanim się zorientowałem, co robi. Wpadłem na ścianę, ona się o mnie oparła, tak dziwnie jęknęła, a później upadła na podłogę i zalała się krwią, kiedy ten nóż chyba się przekręcił od uderzenia. I jeszcze sztuczne zęby jej wypadły. Obróciła się na bok i tak zastygła. – Błach zaczął nagle płakać. – Musicie mi uwierzyć, kurwa, musicie! Ja naprawdę jej nie zabiłem... Nie chcę iść

siedzieć za to, że mnie wykorzystała! Przecież to chore jakieś jest...

Umilkł i zwiesił głowę, wpatrując się w swoje bose stopy.

– Chodź, muszę z tobą pogadać. – Cehak trącił lekko Przeworskiego w ramię.

Wyszli przed dom, Siudek został w środku.

– Co o tym myślisz? – zapytał prokurator.

– Brzmi niewiarygodnie, ale całkiem prawdopodobnie. Paradoks, nie? – Przeworski zerknął na niego.

Cehak skinął głową, ale powoli, jakby nie był jednak do końca przekonany.

– To nie było mądre – stwierdził nagle. – Mówię o twoim pytaniu, czy napis zrobiony krwią był tam wcześniej.

– Masz na myśli to, że było sugerujące?

Właśnie.

– Możliwe, że się trochę pośpieszyłem, ale nagle mnie to uderzyło. Opinia grafologiczna Koźmińskiego. Historia z ojcostwem. I to, że ona była leworęczna.

– Co to ma do rzeczy?

– Nacięcie, to, które braliśmy za obrażenie obronne, było na prawej dłoni. A ona była leworęczna; kiedy była u mnie tuż przed śmiercią, widziałem, jak wyciąga chusteczki z torebki. Gdyby się broniła, odruchowo wyciągnęłaby przed siebie lewą dłoń, więc to nie było obrażenie obronne. Skaleczyła się sama, bo potrzebowała swojej krwi. Wszystko nagle zagrało, wszystko pasuje. Poza tym Błach ma mózg wypalony alkoholem, nie byłby w stanie wymyślić czegoś takiego, chyba wiesz.

– Ale może Kustler był w stanie?

– Myślisz, że się dogadali? Zapłacił mu za morderstwo i powiedział, co ma zeznawać? A wiedząc, że to pijak i że w końcu jakoś się zdradzi, skierował podejrzenia na samego siebie, żeby je w spektakularnym stylu oddalić? I zostać męczennikiem?

– Możliwe...

Wzrok Przeworskiego był kpiący.

– Zaufałbyś pijakowi, angażując go w tak skomplikowany plan?

– Przekrzywił lekko głowę. – Praktycznie w całości oparty na nim i jego zachowaniu?

– To pytanie do Kustlera, a nie do mnie – stwierdził prokurator.

Przeworski uśmiechnął się lekko.

– Taki teatrzyk to tylko w filmach, Mariusz. I zapewne świetnie się dogadywali, tylko ręce ich bolały od machania. Albo Kustler użył translatora z komórki. No i koniec końców, to moje pytanie sprawiło, że zaczął gadać.

– Ale to było ryzykowne. – Cehak nie patrzył na aspiranta.

– Opłaciło się.

– Nie masz prawa podejmować ryzyka.

Przeworski grzebnął czubkiem buta w kurzu pokrywającym bruk.

– Hmm, rozumiem, że to opierdol?

– Drugi. Pamiętasz?

– Więcej mnie nie zabierzesz na czynności, które będziesz przeprowadzał w Nowym Warpnie?

Cehak westchnął.

– Ostateczny rachunek zysków i strat wypada na twoją korzyść, ale postaraj się, żeby to był ostatni raz. Co ci szkodzi powiedzieć mi na ucho czy napisać? – Teraz spojrzał na aspiranta.

– Jasne. – Przeworski zamilkł na moment i zapytał po chwili: – Co zrobisz? Mówię o oskarżeniu. Wycofasz zarzuty względem Kustlera? A Błach?

– Muszę to przemyśleć. – Prokurator wzruszył ramionami. – Nawet jeśli jej nie zabił, to przyjął zlecenie na morderstwo. Nie udzielił ofierze pomocy. Dokonał zaboru mienia.

– Zlecenie, jak się okazało, obejmowało pomoc w samobójstwie. Pomoc nic by nie dała. A biżuterię i kasę dostał. Jeśli wierzyć jego słowom. A wątpliwości rozstrzygamy na korzyść oskarżonego.

– W momencie przyjęcia zlecenia jeszcze nie wiedział, o kogo chodzi. Z tą pomocą może faktycznie, ale mógł zadzwonić po pogotowie, przecież też nie wiedział, czy rana jest śmiertelna. Z kradzieżą... No właśnie: była czy nie? Dała mu to czy zabrał?

Przeworski pokręcił głową.

– Nieprawdopodobne. Regina Remus starannie to zaplanowała, Mariusz. Wyreżyserowała spektakl. Może tylko w ostatniej fazie realizacji nawalił jeden z kluczowych aktorów. Wszystko na to wskazuje. Najpierw przedstawienie u mnie w rewirze, bo tak trochę interpretuję jej wizytę u mnie. Sugestie zagrożenia z czyjejs strony. Ściągnięcie Kustlera do Nowego Warpna, choć wciąż nie wiemy, jaka naprawdę była przyczyna, i pewnie się nie dowiemy. Poza tym to, jak wszystkich przeproszała. Natalię, mnie... Często się zdarza, że samobójcy, planując swoje odejście, starają się uporządkować wszystkie sprawy. Jeśli mogą i mają w ogóle rodzinę, jakoś ją zabezpieczają finansowo. Często oddają długi. Albo właśnie przeproszają. Czasem jest to ewidentny sygnał, że coś się dzieje i to ostatni czas na reakcję.

– Zawsze fascynował mnie ten temat, wiesz? – Cehak zagryzł wargę i zapatrzył się w głąb ulicy. – Nie chodzi teraz o aspekt teologiczny, moja wiara nie ma tu nic do rzeczy. Fascynowało mnie, do jakiego stanu musi być doprowadzony człowiek, skoro robi coś, co jest sprzeczne z instynktem, z tym, w co wierzy całe życie, jak w przypadku Remus, jak opanowuje jakoś naturalny strach przed śmiercią i zabija się, często w bolesny sposób.

– O tym bólu dowiaduje się pewnie dopiero wtedy, kiedy nie ma już odwrotu.

– Może i tak. Tylko co musi się stać, żeby zrobić coś takiego?

– Na przykład to, co przydarzyło się Reginie Remus. I jeszcze jedno: sekcja wykazała, że miała nowotwór jelita grubego. Rozmawiałem z jej lekarzem rodzinnym, sugerował jej to podczas wizyty, choć podobno jednak nie zrobiła badań. Ale to też mógł być



kamyk, który uruchomił lawinę. Jedni znoszą pewne rzeczy lepiej, inni gorzej.

– Możliwe... Tylko widzisz, samobójstwa poprzez zadanie sobie rany ostrym narzędziem to bardzo rzadka sprawa. – Cehak przyjął nieco mentorski ton. – Jakiś jeden procent z ogólnej liczby. Zwykle jest kilka cech takich obrażeń, które wyraźnie świadczą o tym, że to samobójstwo. Rana pozioma w przypadku noża, co wynika z anatomicznej wygody ręki wbijającej narzędzie w klatkę piersiową, obecność nakłuc próbnych, celowanie narzędziem w przestrzeń międzybrowową, a co za tym idzie brak nacięć na zębach, co najwyżej na częściach chrzęstnych. O, i jeszcze uniesienie ubrania, na przykład. No i płeć oraz przedział wiekowy, które tu się zgadzają. W naszej sprawie praktycznie wszystko wskazywało na zabójstwo, choć wątpię, żeby ona takie rzeczy wiedziała. To raczej kwestia przypadku. Przebieg zdarzeń podany przez Błacha jest bardzo prawdopodobny, przyznaję. To mogłoby się wydarzyć i jako prokurator mam z tym trochę problem, choć to oczywiście sąd stwierdzi, kto ma rację, ale wszyscy będą się zastanawiać, jak było naprawdę. Jak zwykle, nie? Wszystko może się zdarzyć. Ja przedstawię sądowi swoją wersję, Błach swoją. Papugę dostanie z urzędu, więc albo gość będzie się starał, a ma czego się chwycić, albo będzie miał to w dupie i sobie odpuści. Ale to już nie moja sprawa. Ja zrobię swoje, tamten swoje, a sąd swoje. Nie mam pojęcia, jak to się skończy.

– Zebranie dowodów to twoja sprawa.

– Mamy to, co mamy, Dominik. I słowa, sam to powiedziałeś. A więc słowo przeciwko słowu. To nie będzie łatwy proces, na szczęście nie ja podejmę decyzję. Ja tylko opowiem, jak mogło być. Błach robi to samo. I zobaczymy. – Cehak zerknął na zegarek. – Chodź, zbieramy się.

Wrócili do domu i znów owionął ich ten zaduch niewietrzonych i niesprzątanym pomieszczeń. Błach został zatrzymany,

poinformowany o przysługujących mu prawach, przepytany na okoliczność leków, które bierze, a potem Siudek wyprowadził go do radiowozu i wyglądało na to, że sprawa Reginy Remus, przynajmniej tu, w Nowym Warpnie, zakończyła się.

Niejasno, tajemniczo i absolutnie niesatysfakcjonująco.



1946

– Co tu robicie? – Łakisz oświetlił jego twarz i twarze pozostałych latarką.

Bał się. Cholernie się bał. Zobaczył w ręku ubeka broń, ale kiedy Łakisz ich rozpoznał, lufa nieznacznie opadła.

Eugen Kustler puścił kierownicę i podniósł ręce, a rower przewrócił się z chrzęstem na bok.

– Do roboty jechaliśmy, do piekarni i usłyszeliśmy strzały, Herr Offizier! – powiedział do Łakisza drżącym głosem. – To chyba na posterunku policji. Albo się chłopaki popili, albo co gorsza jacyś bandyci! Woleliśmy przyśpieszyć kroku.

– Wszyscy trzej do piekarni? – Ubek oddychał chrapliwie.

– Brat pomaga...

– A on? – Lufa wycelowwała w niego, przez chwilę spotkali się wzrokiem.

– Komendant kazał napiec więcej, bo jakiś towarzyszczy przyjeżdża... – jęknął Kustler.

– Pies też pomaga? – Łakisz przyglądał im się uważnie i podejrzliwie.

– Pan wie, że dziś niepewne czasy, nie wiadomo, kogo można spotkać po nocy.

– Podnieś rower – polecił ubek Kustlerowi. Jego niemiecki był nie tylko szkolny, ale drewniany. – I macie iść prosto do piekarni, zrozumiano?

– Tak jest, Herr Offizier!

Eugen Kustler schylił się i chwycił rączki kierownicy. Kątem oka zauważył, że Łakisz się odwraca, a żółty plamek bladego światła znika. W jednej sekundzie w jego dłoni pojawiło się parabellum, które chwycił mocno za lufę, błyskawicznie się podniósł, wziął zamach i uderzył kolbą w tył łysej czaszki ubeka. Ten jęknął krótko i tracąc przytomność, runął na ziemię.

– Szybko, ty za nogi... – Eugen wskazał najpierw na niego, potem na brata. – Ty za ręce, i do niego do domu. Tylko cisza!

Pies pisnął cicho i Kustler krótko szarpnął smycz.

– Co z rowerami? – zapytał Erwin.

– W krzaki. Załatwimy sprawę, zanim się rozjaśni, i wrócimy po nie.

Wyglądało na to, że on ma to zrobić, więc po kolei przeprowadził rowery w gęste krzewy porastające pobocze drogi i wrócił do Kustlerów. Byli niedaleko domu, w którym mieszkał Łakisz. Ubeka zakwaterowano nieopodal posterunku, w budynku dawnej elektrowni. Stępkając z wysiłku, on i Erwin zanieśli bezwładnego Łakisza na miejsce i już wewnątrz rzucili go na środek dużego pokoju. Stali przez chwilę, przyglądając się w milczeniu majaczącemu w mroku ciała, a kiedy od strony drzwi dobiegły ich czyjeś kroki, obaj odwrócili się. Na szczęście to był tylko Eugen. Bez psa, widać zostawił go przed domem.

– Zapalcie lampę i powieście koce na oknach – zakomenderował Kustler, a sam, przyświecając sobie latarką Łakisza, poszedł do kuchni, wziął z szafki wyszczerbiony kamionkowy kubek, nalał do niego wody i wrócił do pokoju.

Stanął nad Łakiszem i chlusnął mu w twarz wodą, ale ten się nie ocknął. Erwin podszedł do niego z palącą się lampą naftową i też zaczął się przypatrywać nieprzytomnemu. A on wieszał koc na oknie, utykając jego brzegi na rogach skrzydeł, i słuchał cichej rozmowy braci Kustler.

– Dlaczego po prostu tego nie spaliłeś, zanim weszli ruscy? – zapytał Erwin. – To naprawdę naiwność z twojej strony...

– Zamknij się!

– Do czego niby miały ci się przydać te dokumenty, Eugen? Po co je...

– Zamknij się, powiedziałem! Za takie gadanie w czterdziestym piątym wieszali na latarniach!

– Jest czterdziesty szósty. I już nie ma tutaj tych, co kazali wieszać. Zaraz sami zawisną. Naprawdę nie masz instynktu samozachowawczego?

– Stul pysk, rozumiesz? I ocuć go, na co czekasz?

Erwin wyjął mu z ręki kubek i zrobił to samo, co przed chwilą brat: poszedł do kuchni, napełnił go wodą, a następnie wylał ją Łakiszowi na głowę. Tym razem podziałało. Ubek zamrugał oczami i zacharczał przeraźliwie. Kiedy zaczęło do niego docierać, co się stało, szarpnął się na podłodze, ale podeszwa buta Kustlera ostudziła jego zapędy. Zresztą i tak nie miał siły się podnieść. Widać było, że cios oszołomił go na tyle, że jeszcze przez dłuższy czas nie będzie w stanie pozbierać się do kupy. Mrugał, poddając się naciskowi stopy, jakby rozumiał, że opór nie ma sensu. Nie w tej chwili. W końcu zdołał utrzymać powieki otwarte na tyle długo, by się rozejrzeć, i kiedy poznał swoich oprawców, znów się szarpnął, a jemu wydało się, że kiedy spojrzał na niego, w jego oczach coś błysnęło.

– Spokój! – warknął Kustler.

– Zaraz przyjadą moi – wycharczał Łakisz.

– Nie przyjadą. Nie żyją, a ci z Ziegenort nieprędko dowiedzą się, co się stało. – Eugen Kustler uśmiechnął się złośliwie, specjalnie używając dawnej nazwy Trzebieży. – Kabel telefoniczny na posterunku jest przecięty, a okoliczni mieszkańcy, którzy słyszeli strzały, zamknęli się w domach i nie wytkną nosów do południa. Mamy parę godzin, ale dla ciebie to będzie wieczność. Chyba że od razu powiesz, gdzie to jest. Jesteś cholernym złodziejem.

– Pocałuj się w tą swoją tłustą, faszystowską dupę.

– Wszedłeś sobie do mojego domu i zabrałeś, co nie twoje. Więc teraz nalegam, żebyś mi to oddał. Oszczędzisz sobie bólu. A uwierz mi, sporo o nim wiem. Jak go zadawać.

– Nie wątpię, gnido. Za to pewnie nie umiesz go znosić.

– To nieistotne, nie będzie ci dane tego sprawdzić. A my zabawimy się z tobą, stalinowska świnió. Będziemy tak długo się bawić, aż pęknie. Szybciej, niż myślisz.

– Nie złamali mnie w Berezie ani na Pawiaku. Wam też się nie dam, skurwysyny. Nie dostaniecie nic. Tylko kulę w łeb albo sznur na szyję, i to prędzej, niż myślicie.

Kopnięcie w głowę znów pozbawiło go przytomności, a on mógł tylko patrzeć, jak z rozbitego łuku brwiowego Łakisza na deski spływa strużka krwi.

– Zwariowałeś?! – zawołał Erwin. – Jak zdechnie, to nie nic nam nie powie!

Nie chciał na to patrzeć. Nie był w stanie. Nagle Eugen odwrócił się do niego i powiedział:

– Przeszukaj tę norę, a przynajmniej zacznij. Dokumenty muszą być gdzieś tutaj. Zajrzyj wszędzie, rozumiesz? Do każdej pieprzonej mysiej dziury. A my się zabawimy z panem oficerem.

Poczuł ulgę. Ruszył do drzwi i nagle zatrzymał go głos Eugena.

– Latarkę weź!

Zawrócił, wziął ją od niego i szybko wyszedł z pokoju, oddychając głęboko. Wszedł do sąsiedniego pomieszczenia, a kiedy zobaczył pełzający po ścianie zębaty cień, zorientował się, że to schody na górę. Latarka dawała tak mało światła, że ledwo rozpraszała mrok panujący we wnętrzu domu, ale to mu nie przeszkadzało. Nie bał się ciemności, bo to nie ciemności trzeba było się bać. Bać się należało Eugena Kustlera.

Nie zamierzał niczego szukać. Jedyne, co zamierzał, to być wszędzie, tylko nie tam, gdzie Kustler katował Łakisza. Wciąż zastanawiał się, po co z nimi poszedł. Erwin był jego kolegą, nawet nie przyjacielem, choć całe dzieciństwo spędzili praktycznie

razem. Eugena nie cierpiał; był kilka lat starszy i zawsze się wywyższał, i kiedy zniknął z Neuwarp, posłany do szkół, odetchnął z ulgą. Erwin też, widział to, choć nigdy mu się do tego nie przyznał. Kiedy Eugen miał przyjechać z Berlina na kilka dni czy tygodni, atmosfera w Villi Waldhof, rodzinnym domu Kustlerów, robiła się ciężka. Kiedy szedł czasem do piekarni po pieczywo i widział, że Erwin jest jakiś markotny, wiedział już, że jego brat niedługo zjawi się w Neuwarp. W jakiś niewytłumaczalny i niezrozumiały dla niego sposób Erwin był pod wpływem Eugena. To, co Erwin zrobił na posterunku, wstrząsnęło nim. Z zimną krwią zabił człowieka. Wiedział, że tamten Polak załazł mu za skórę, wykorzystując pozycję zwycięzcy, ale mimo to zszokował go wyraz mściwej satysfakcji, który wykwitł na twarzy Erwina, kiedy naciskał spust.

Ale dziś w nocy on również był pod wpływem Eugena. I też tego nie rozumiał. To był strach, przeraźliwy i paniczny strach przed człowiekiem, który miał w sobie samego diabła. Nie potrafił zareagować na słowa: „idziesz z nami” inaczej, jak tylko wkładając buty i po prostu idąc z nimi. To nie była prośba skierowana do bliskiego kolegi brata. To był rozkaz wydany żołnierzowi.

Wszedł na górę, żeby odciąć się od odgłosów dochodzących zza drzwi. Wąskie, strome schody zaprowadziły go na zaniedbane i niezamieszkałe poddasze. Gołe deski pokrywał kurz, odsłonięte krokwie pachniały żywicą, w półmroku majaczył jaśniejszy kwadrat okna, więc poszedł w tamtym kierunku, tupiąc głośno, żeby ci na dole wiedzieli, że się stara. Uderzeniami podeszew wzbił tuman kurzu, więc przyśpieszył kroku i dopadł okna, mocując się przez chwilę z dawno nieużywanym zamknięciem. Kiedy wreszcie otworzył okno, zaczerpnął głęboko tchu. Zimne, nocne powietrze wdarło się na strych, a kiedy zachłysnął się nim i załaskotało go w gardle, z ledwością powstrzymał się przed głośnym kaszlnięciem. Oparł się o skrzynkowy parapet i wystawił twarz na zewnątrz. Stał tak przez kilka minut, aż przypomniał



sobie, po co tu jest. Przeszedł ciężkim krokiem w kierunku schodów i podskoczył kilka razy w miejscu, potem omiół strych skąpym promieniem światła latarki i gdy zobaczył jakieś deski, podniósł jedną i rzucił na podłogę, znów wzniecając tuman kurzu. Uznał, że to na razie wystarczy i wrócił do okna. Znów opierając się o parapet, głęboko oddychał, modląc się, żeby to, co działo się teraz na dole, skończyło się jak najszybciej. Zakończenie mogło być tylko jedno i nie miało znaczenia, czy Łakisz powie, gdzie są te rzeczy, te tajemnicze dokumenty, których szukali Kustlerowie, czy nie. Miał nadzieję, że ów koniec nastąpi wtedy, kiedy on będzie jeszcze tutaj, na poddaszu. Ale za dużo czasu też nie mógł tu spędzić.

Gdy znów cofał się w głąb strychu, by zamarkować poszukiwania, zawadził łokciem o płytki rowek w parapecie, który odprowadzał skroploną wilgoć spływającą na niego z szyb. Deska poruszyła się lekko. Fach, który miał w rękach, sprawiał, że dotykał drewna inaczej niż inni ludzie i miał odruch, by naprawić wszystko, co było z niego zrobione. Ale kiedy chciał ją poprawić, została mu w rękach. Przez chwilę trzymał ją niezdecydowanie, a potem włączył latarkę, żeby ją dokładniej obejrzeć i wtedy okazało się, że coś o wiele bardziej interesującego spoczywa we wnęce, którą przykrywała. W miejscu, gdzie powinna być cynowa szufladka na wodę, leżało coś innego. Odłożył deskę na bok i poświecił na znalezisko. Skórzana okładka błysnęła w świetle i wiedział już, co odnalazł, choć zdawał sobie sprawę, że to był czysty przypadek. Nigdy by nie wpadł na to, żeby szukać czegoś w takim miejscu.

Latarka dawała coraz mniej światła. Postawił ją na parapecie, tak żeby oświetlała jego rękę, wyjął z niszy coś w rodzaju niewielkiego notatnika czy raczej portfela i otworzył go. W środku były jakieś zdjęcia i złożone na cztery pisma, to widać było na pierwszy rzut oka. Wyjął kilka i zerknął szybko.

Kiedy mizerny placek światła wydobył z ciemności obrazy i litery, poczuł, jak robi mu się gorąco. Usiadł pod oknem, opierając się o ścianę, wpatrywał się w jedno ze zdjęć i sam nie wiedział, czy bardziej drży mu ręka ściskająca latarkę, czy ta trzymająca dokumenty Eugena Kustlera.



2018

– Dzień dobry, panie Dominiku, taka sprawa jest – powiedział burmistrz Durka i po jego smętnym tonie sączącego się z telefonu cichego głosu Przeworski poznał, że sprawa jest poważna.

I tak w istocie było. Durka zaprosił go do ratusza, gdzie w jego gabinecie był już Owczarek. Przeworski zobaczył go od razu przez otwarte drzwi. Mrugnął przyjaźnie do sekretarki burmistrza i wszedł do gabinetu, a kiedy tylko uścisnął Durce rękę, ten minął go i zamknął drzwi, a potem podszedł do okna i je otworzył. Do środka wpadło świeże, ciepłe i pachnące wodą powietrze. Lato miało się już ku końcowi, przynajmniej w kalendarzu.

Aspirant popatrzył na Owczarka, też poważnego, a potem przeniósł spojrzenie na konferencyjny stół stojący na środku pomieszczenia. Leżało na nim coś w rodzaju niewielkiego notesu w brązowych okładkach.

– Niech pan siada. – Durka wskazał Przeworskiemu miejsce.

Aspirant usiadł i czekał. Burmistrz stanął przy krawędzi stołu i wbił wzrok w notesik.

– Jak pan wie, Regina Remus zmarła bezpotomnie... – zaczął z namysłem. – W związku z tym podjęliśmy działania zmierzające do ustalenia członków jej dalszej rodziny, bo niewykluczone, że trzeba będzie wszcząć procedurę przejęcia przez gminę nieruchomości i majątku zabezpieczonego w jej domu. Wygląda na to, że trochę to potrwa, ale w związku z tym, że jej dom w chwili obecnej jest opuszczony, i mówię tu o obu połówkach bliźniaka... A, właśnie, co z Błachem?

– Siedzi w areszcie. – Przeworski wzruszył ramionami. – Zobaczymy jak długo.

– Uhm... – Durka pokiwał z przejęciem głową. – Młyny sprawiedliwości miały powoli, co? W każdym razie podjęliśmy wejście interwencyjne do jej nieruchomości w związku ze skargami sąsiadów, że w środku, i w okolicy pojawiły się szczury. Gdy specjalistyczna firma w obecności naszego pracownika weszła do środka, okazało się, że mamy również do czynienia z insektami. Kiedy szukali gniazd, przypadkiem znaleźli w parapecie to... – Wskazał na notes.

Owczarek sięgnął po niego w milczeniu i zaczął otwierać. Zaczął, bo okazało się, że nie jest to tradycyjny notes, tylko coś w rodzaju etui zawiązywanego rzemykiem. Kiedy odwiązał go i odgiął miękkie, skórzane wieczko, aspirant zobaczył jakieś papiery. Owczarek przechylił etui, a papiery wypadły i przejechały kilka centymetrów po blacie. Rozsunął je i ułożył obok siebie, po lewej leżało kilka niewielkich, czarno-białych zdjęć z ząbkowanymi brzegami, po prawej jakieś pożółkłe dokumenty. Po chwili Przeworski zorientował się, że to złożone na cztery arkusze normalnego formatu. Owczarek rozłożył je i teraz leżały z uniesionymi krawędziami, jak niedokończone żurawie origami.

– Oto cała prawda o rodzinie Kustlerów – powiedział. – Mówię o poprzednim pokoleniu, nie o Georgu, choć to musiało mieć jakiś wpływ także na niego. Niech pan zerknie na to. – Położył na stole jedno ze zdjęć, położył na nim palce i przesunął w jego stronę.

Kiedy Przeworski wziął je do ręki i spojrzał na nie, poczuł na plecach lodowate zimno. Kilka dni wcześniej rozmawiał z Ossowskim, z którym skontaktował się ciekawy postępu prac nad szczątkami więźniów. Potwierdziły się przypuszczenia dotyczące dziwnego podziału ofiar i zastanawiającej różnicy w sposobie zadania im śmierci. Od strzału w głowę zginęli wyłącznie Niemcy, albo przynajmniej ludzie pochodzenia biogeograficznego mogącego świadczyć o narodowości niemieckiej.

Przyczyna śmierci pozostałych, pochodzenia semickiego, wciąż nie była znana. Ale jedna rzecz, ustalona ostatnio podczas szczegółowych oględzin prowadzonych w ramach badań laboratoryjnych, zastanawiała i Ossowskiego, i Przeworskiego.

– Wie pan... – W głosie medyka, gdy to mówił, było lekkie zaskoczenie. – Kiedy wspominałem tam, w Nowym Warpnie o tych obrażeniach na kościach, uznałem, że to ślady żerowania zwierząt: psowatych albo dzików. Tylko że teraz okazało się, że nie są to typowe przykłady takich obrażeń. Zwykle występują one na częściach dystalnych; stopach i dłoniach, a więc tych, które są odsłonięte. Co prawda pochowano ich w pasiakach, ale... Przy żerowaniu kości są przez zwierzęta zgryzane, są na nich ślady kruszenia, brakuje ich fragmentów. A w tym wypadku te obrażenia od kłów obecne nawet na kościach długich wyglądały bardziej na hmm... Jakby jakieś zwierzę ich zaatakowało.

A teraz aspirant miał przed sobą wyjaśnienie tej zagadki.

Zdjęcie przedstawiało dwóch mężczyzn stojących nad ciałem trzeciego. U nogi tego stojącego po prawej siedział wielki doberman, który patrzył przed siebie. Obaj mężczyźni robili to samo: wpatrywali się w obiektyw, jakby zastygli, czując niezwykłą wagę tej chwili uwiecznianej przez fotografa. Ale mimo to na ich twarzach widać było uśmiech zadowolenia. Człowiek leżący u ich stóp ubrany był w obozowy pasiak, u góry niemal czarny od krwi. Leżał na plecach z odgiętą do tyłu głową i rozrzuconymi szeroko rękami, a w jego szyi ziała otwarta, poszarpana rana. Przeworski odwrócił wzrok. Różne rzeczy widział w pracy, ale to było wyjątkowo obrzydliwe, jednak nie z powodu krwi i obrażeń więźnia. W oczach mężczyzn była duma. Była wypisana na ich twarzach, w ich pozie i w tych przyklepionych do twarzy uśmiechach.

– Chryste, polowali na ludzi?

Owczarek pokręcił przecząco głową.

– To nie tak. – Położył palec na zdjęciu. – Ten po lewej to Erwin Kustler, ojciec Georga, piekarz. Po prawej stoi Eugen, o którym do tej pory wiedziałem tyle, że był lekarzem i wojskowym. I to pierwsze potwierdzam: był lekarzem, konkretnie psychiatrą. Ale nie był wojskowym. Był SS-manem w randze Untersturmführera, członkiem załogi obozu Sobibór, odpowiedzialnym za służby wartownicze. – Przysunął drugie zdjęcie, na którym Eugen Kustler pozował w paradnym mundurze SS, z zawadiacko przekrzywioną czapką z trupa główką. – To dlatego nie znalazłem nic o nim, kiedy szperałem w sieci, bo skupiłem się na Ravensbrück i Sachsenhausen. Wcześniej Eugen Kustler uczestniczył w akcji systemowej eksterminacji osób chorych psychicznie, tak zwanej akcji T4. Miał specyficzne poglądy, był między innymi zafascynowany eugeniką czy frenologią. Współpracował z kancelarią Führera, partyjnym organem zajmującym się między innymi osobistymi sprawami Hitlera, ale to tam właśnie zaprojektowano akcję T4 i spośród funkcjonariuszy kancelarii rekrutowano później członków załóg kilku obozów w Generalnej Guberni, także tym w Sobiborze, nadając im przy okazji stopnie SS.

Przeworski wpatrywał się w twarz zadowolonego z siebie skurwysyna i zastanawiał się, na ile taką postawę tworzyły czasy, w których się żyło, a na ile była to kwestia braku człowieczeństwa.

Owczarek przesunął ku niemu dwa dokumenty i aspirant poczuł woń stęchlizny.

– Te pisma wyjaśniają w pełni, co się wtedy wydarzyło. To jest datowany na piętnasty stycznia czterdziestego trzeciego roku rozkaz wysłania transportu pięciu wskazanych z numerów więźniów żydowskich oraz pięciu pochodzenia aryjskiego przebywających w KL za przestępstwa kryminalne z obozu męskiego Ravensbrück do Neuwarp celem przeprowadzenia eksperymentu. Tak enigmatycznie jest to tu określone:

eksperymentu. Osobą odpowiedzialną za transport oraz za eksperyment jest SS-Untersturmführer Eugen Kustler, rozkaz podpisał SS-Hauptsturmführer Fritz Suhren, komendant KL Ravensbrück, opatrzone go klauzulą Geheim, czyli „tajne”. – Owczarek podniósł kolejny papier. – Ale ten dokument jest jeszcze bardziej wstrząsający i w pełni odpowiada na pytanie, po co więźniów przywieziono do Neuwarp. To pismo Eugena Kustlera do Odilo Globocnika. SS-Brigadeführer Globocnik był szefem Einsatz Reinhardt, akcji zagłady Żydów z Generalnej Guberni, nazwanej tak na cześć zabitego w Pradze Reinhardta Heydricha, szefa RSHA i protektora Czech i Moraw. To Heydrich zorganizował konferencję w Wannsee, na której opracowano szczegółowy plan eksterminacji europejskich Żydów, czyli tak zwane „ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej”. Globocnik kierował tą akcją w trzech obozach: Bełżcu, Treblince i właśnie Sobiborze. A ten list... To propozycja Kustlera przeprowadzania szkoleń psów ras obronnych i przygotowania ich do służby wartowniczej w obozach koncentracyjnych ze szczególnym uwzględnieniem ucieczek więźniów oraz ich niesubordynacji. Zaprasza na pokaz urzędników i prosi w ramach podnoszenia kwalifikacji o kilku więźniów, których można by użyć jako „pozorantów”. Píše też, że, tu cytuję: Z racji swojego wieloletniego doświadczenia w pracy z psami niemieckich ras obronnych jestem przekonany, że zwierzęta te posiadają nadzwyczaj wyczulony węch nie tylko w aspekcie fizjologicznym, ale również niezwykłą jeszcze naukowo zdolność rozróżniania ras ludzkich na podobnej zasadzie, jak identyfikują „swoich” i „obcych”. Jak powszechnie wiadomo, istnieją spore różnice anatomiczne i fizjologiczne pomiędzy osobnikami poszczególnych ras, co udowadniają badania naukowe. Dzięki autorskiemu rozwinięciu przeze mnie metody pawłowskiej warunkowania klasycznego udało mi się osiągnąć niezwykle efekty reakcji zwierząt na niepożądane zachowania osobników



kwalifikowanych jako podludzie, jednak wykorzystywanym do szkoleń materiałem były używane obozowe ubrania, w które odziewano manekiny. Udział w eksperymencie więźniów zarówno żydowskich, jak i pochodzenia aryjskiego pozwoli potwierdzić tę teorię i posunąć badania wiele kroków naprzód, a przede wszystkim sprawdzić ją w realnych warunkach. – Owczarek odsunął dokument od oczu i spojrzał na Przeworskiego. – Te brednie są wstrząsające, ale wie pan, jakie pseudomedyczne eksperymenty przeprowadzano w obozach na ludziach? Jak kuriozalne nawet w świetle ówczesnej wiedzy medycznej?

– Słyszałem...

– No właśnie. Najprawdopodobniej pokaz w pełni się udał, o czym może świadczyć to straszne zdjęcie i to, że zastrzelono pięć ofiar. Kustlerowi zapewne za zasługi na tym polu nadano stopień oficerski SS i skierowano razem z jego psami do służby w dopiero co utworzonym obozie w Sobiborze, gdzie mógł się dalej wykazywać. Dogrzebałem się w internecie, że jemu i kilku innym osobom wytoczono proces za Sobibór, skazano go na sześć lat, to było na początku lat osiemdziesiątych. Informacje były bardzo skąpe, takich spraw w Niemczech Zachodnich raczej nie rozdmuchiwano. Sześć lat, wyobraża pan sobie?

Przeworski westchnął głęboko.

– Czy będę mógł to zabrać? – Wskazał etui, ale nie dotykał go.

– Po co to panu? – zapytał z ciekawością Owczarek. – Chce pan nadać temu jakiś bieg?

Aspirant zrobił nieokreśloną minę.

– Być może, w każdym razie ma to jakiś związek ze sprawą Reginy Remus i wolałbym pokazać to prokuratorowi. Z tak zwanej ostrożności procesowej.

Owczarek zorientował się nagle, że aspirant chciałby już zakończyć spotkanie, a przynajmniej tę oficjalną jego część. Pozbierał dokumenty, poskładał je, zebrał razem ze zdjęciami na kupkę i schował do etui, a potem odruchowo wytarł palce

o koszulę. Zdjął okulary i położył jej ostrożnie na stole. W tym samym momencie Durka otarł pot z czoła, usiadł za stołem i mocno splótł palce, ale wtedy Przeworski powiedział:

– Nie będziemy dłużej zajmować czasu. Bardzo dziękuję za informację o znalezisku. Będę pana informował, jeśli pan sobie życzy. – Spojrzał na Durkę.

– Oczywiście, oczywiście. – Twarz Durki rozpromieniła się nagle i burmistrz spojrział na zegarek.

Wyglądało na to, że jemu koniec spotkania też jest na rękę. Przeworski z Owczarkiem pożegnali się z nim i wyszli na rozgrzany słońcem plac przed urząd, gdzie odlany z brązu niemiecki malarz Hans Hartig niestrudzenie uwieczniał budynek ratusza, stojąc nieruchomo przed sztalugą i nigdy nie kończąc swojego dzieła.

– Pozwoliłem sobie zakończyć spotkanie szybciej, zanim rozmowa zesłaby na tory, na których nie powinny znaleźć się osoby niezwiązane ze śledztwem – mruknął aspirant, zerkając odruchowo na blejtram stojący przed malarzem.

– Domyśliłem się. – Owczarek uśmiechnął się znacząco.

Minęli pomnik Hartiga i poszli dalej, w kierunku budynku rewiru.

– Zastanawiam się, jakie to miało bezpośrednie przełożenie na późniejsze wydarzenia. – Przeworski poklepał się po kieszeni, w której spoczywało skórzane etui z makabryczną zawartością. – Czy to w związku z niechlubną przeszłością stryja i ojca Georg Kustler odwiedzał Nowe Warpno. Wtedy, czterdzieści lat temu, i teraz. Ale mówiąc „późniejsze”, mam na myśli nie tylko to, co stało się w Nowym Warpnie. Chodzi na przykład o interes Kustlera. Pan wie, że Eugen był współzałożycielem stoczni oprócz Georga? Tak przynajmniej jest napisane na stronie „Kustler Bootswerft”. Obejrzałem ją sobie.

– Wie pan, z mojej wiedzy nie wynika, żeby to była jakaś bogata rodzina, jak ci wszyscy pruscy junkrzy, freiherrzy, grafowie i inni,

co to z pokolenia na pokolenie dziedziczyli błękitną krew i majątki rodzinne. Erwin był skromnym piekarzem, to Eugena wysłano na nauki. Nie wiem, na ile w tamtych czasach można się było dorobić, prowadząc praktykę lekarską, zwłaszcza jako psychiatra. Skoro wymieniono go jako współzałożyciela stoczni, może to oznaczać, że jakiś majątek posiadał i być może to był jego wkład w interes, który potem prowadził jego bratanek. Skąd go wziął? Czy jego przeszłość w SS i służba w Sobiborze jest odpowiedzią? Czy te pieniądze były okupione żydowską krwią? A może to Georg dorobił się szybko na Zachodzie, nie wiem... I pewnie się tego nie dowiemy.

– Ciekawe, czy ona wiedziała, co jest ukryte pod parapetem?

– Regina? Nie mam pojęcia.

– Jest jeszcze jedna zastanawiająca rzecz. Karl Remus zmarł dwudziestego dziewiątego czerwca siedemdziesiątego szóstego. Tego dnia uczestnicy Rajdu Przyjaźni przebywali jeszcze w Nowym Warpnie. A Georg Kustler mieszkał wtedy u Remusów. Czy miał coś wspólnego ze śmiercią Karla?

– Tego też się nie dowiemy.

– A może jednak? – Przeworski spojrzał w okno, ale nie widział, co jest za nim.

– Co ma pan na myśli?

Aspirant przystanął na rogu Kościuszki i Kilińskiego i popatrzył na Owczarka.

– Jest jeszcze jedna możliwość dowiedzenia się wielu rzeczy, choć, jak sądzę, raczej teoretyczna.

– Dlaczego teoretyczna?

– Bo nie wiem, czy Kustler będzie chciał odpowiedzieć na te pytania.

– Chce pan go o to zapytać? – zdziwił się Owczarek.

– Tak. – Przeworski powiedział to takim tonem, jakby to była najoczywistsza rzecz na świecie. – Tak będzie chyba najprościej.

– Hmm, powodzenia. – W głosie Owczarka pobrzmiwał sceptycyzm. – Da mi pan znać?

– Jasne.

Owczarkowi wyrwało się parsknięcie.

– Naprawdę pan myśli, że panu odpowie? – Jego usta wykrzywiły się w sceptycznym półuśmiechu.

– Nie wiem. – Przeworski też się uśmiechnął. – Ale nie dowiem się tego, jeśli nie zapytam. Bo wie pan, z czym jest największy problem w takich sytuacjach?

– No?

– Z tym, że ludzie boją się pytać. Boją się zacząć. Boją się usłyszeć przykre słowo. Wielu rzeczy się boją, często samej odpowiedzi na swoje pytanie. A ja? Ja się nie boję. Najwyżej usłyszę „nie” albo coś dosadniejszego, ale nie zamierzam się tym gryźć do końca życia. – Rozłożył szeroko ręce i uniósł ramiona. – I tyle...

Rozstali się i każdy poszedł do siebie: Owczarek na obiad, a Przeworski kuć żelazo póki gorące.

Wizytówkę Christiana Panka miał wciąż w służbowym notatniku i to oszczędziło mu grzebania w sieci. Zadzwoił do prawnika tuż po tym, jak u siebie w rewirze skończył dokładnie oglądać papiery znalezione w domu Remusowej. Już teraz wiedział, że wieczorem będzie musiał pobiegać i że to będzie długi dystans.

– Dzień dobry, z tej strony Dominik Przeworski, pamięta mnie pan? – powiedział po niemiecku, kiedy Panek odebrał. – Funkcjonariusz policji z komendy w Policach, widzieliśmy się podczas przesłuchania pana klienta, Georga Kustlera, byłem razem z polskim prokuratorem.

W telefonie zapadła na chwilę cisza. Adwokat Kustlera usiłował zapewne wyłowić spośród wspomnień ostatnich tygodni postać Przeworskiego, a aspirant zastanawiał się, czy zdołał się w jego pamięci zapisać na tyle mocno, by te wysiłki przyniosły skutek.

– Tak, pamiętam – stwierdził w końcu Panek. – Słucham, czym mogę panu służyć?

– Chciałbym się z nim skontaktować.

– A w jakiej sprawie?

Przeworski rozumiał powód dociekania, spodziewał się tego.

– Rozmowy. Chciałem z nim porozmawiać.

– Jaki charakter ma mieć ta rozmowa?

Mimo że rozumiał, zaczął się lekko denerwować.

– Chciałbym z nim po prostu porozmawiać. – Westchnął, ale cicho, starając się nie dać Niemcowi do zrozumienia, że zaczyna się trochę niecierpliwić.

– Czyli nie jest to nic oficjalnego? Z moich informacji wynika, że zakończył się udział pana Kustlera w sprawie zabójstwa popełnionego w Nowym Warpnie?

– Zgadza się. Ale ja nie dzwonię oficjalnie, proszę tylko o możliwość rozmowy. Mogę nawet przyjechać do Stralsundu.

– Przykro mi, obawiam się, że to niemożliwe – odparł zdecydowanie adwokat. – Mój klient nie życzy sobie więcej żadnych kontaktów z polskim wymiarem sprawiedliwości.

– To jego słowa czy pana?

– Są tożsame. – Znów ta drażniąca pewność siebie.

Aspirant nie zamierzał się poddawać, a przynajmniej nie za szybko.

– A jednak prosiłbym, żeby pan go zapytał. Proszę powiedzieć, że chciałbym porozmawiać o Sobiborze. Zapamięta pan? Sobibór. Nalegam. To leży w jego interesie, a pan, jako jego prawnik, również powinien o niego dbać. Czekam na odzew. Auf Wiedersehen.

Przeworski odłożył telefon na stół, rozparł się na krześle i wbił wzrok w komórkę. Nie czekał długo. Zadzwoiła dziesięć minut później, pierwszymi cyframi numeru po plusiku były czwórka i dziewiątka, co oznaczało, że połączenie przychodziło z Niemiec.

– Halo? – Odebrał i przyłożył telefon do ucha.

– Dzień dobry, panie oficerze. Mówi Georg Kustler.

– Dzień dobry. Choć może być tak, że jednak nie do końca dobry, przynajmniej dla pana. Przykro mi.

Kustler chrząknął.

– To hasło, które przekazał pan mojemu prawnikowi... – Zawiesił głos.

– To nie było hasło, chyba że dla niego. Nic panu nie mówi ta nazwa?

W telefonie zapadła cisza.

– Jaki ma być cel rozmowy, którą pan proponuje? – Kustler westchnął ciężko.

– Wyjaśnienie do końca wszelkich aspektów tej sprawy. Sprawy Reginy Remus.

– Ona nie miała z tym nic wspólnego. Mówię o... Sobiborze.

– Naprawdę nic? – Przeworski nie zamierzał kpić, ale tak chyba to zabrzmiało.

– O czym chce pan rozmawiać? – Głos Kustlera stwardniał lekko.

– Na przykład o SS-Untersturmführerze Eugenie Kustlerze i transporcie więźniów obozu Ravensbrück. O Antonim Łakiszu. I paru innych sprawach. O Reginie Remus też.

– Mój stryj odpowiedział za swoje czyny.

Odpowiedź padła szybko, za szybko, i aspirant uznał, że przez te wszystkie lata musiała stać się dyżurną odpowiedzią udzielaną automatycznie każdemu, kto jej oczekiwał.

– O ile wiem, to był wyrok za służbę w Sobiborze, i nie będę dociekał teraz, czy kara była adekwatna do przewinienia. Nie chcę niczego udowadniać, Herr Kustler. Sprawa jest formalnie zamknięta. Ja chcę tylko wiedzieć, rozumie pan? Po prostu wiedzieć.

– O Reginie już rozmawialiśmy, gdy siedziałem w areszcie, i nie ma potrzeby do tego wracać.

Przeworski odpalił petardę i zrobił to bez satysfakcji. Po prostu realizował swój cel.

– W jej domu znaleziono pewne materiały, które mogą rzucić nowe światło na niektóre sprawy, choć nie dotkną pana w jej najistotniejszym aspekcie: zabójstwa. Tę akurat kwestię mamy zamkniętą.

W telefonie zapadło długie milczenie.

– Halo? – Aspirant pomyślał, że Kustler się rozłączył.

– Jestem, jestem – uspokoił go Niemiec. – Jakie to materiały?

– Zdjęcia i dokumenty, stawiające w niezbyt dobrym świetle pana stryja, ale także ojca. Ale myślę, że pan chyba wie, jakie to materiały. Prawda?

Głębokie westchnięcie było jak potwierdzenie. Przeworski znał już odpowiedź na swoje i Owczarka pytanie, czy Kustler znał niechlubną przeszłość swojej rodziny.

– Czy mogę pana zaprosić do siebie? – spytał Kustler zgaszonym i matowym głosem. – Nie chodzi o to, że wolę być na swoim terenie, ja... Niech pan przyjedzie. Być może całkowicie zaspokoje pańską ciekawość. Za chwilę wyślę panu wiadomość z adresem mojego biura w Stralsundzie. Kiedy może pan przyjechać?

– Jutro – odparł Przeworski. – Jedenasta.

– Bardzo dobrze. Zapraszam.

Odłożył komórkę i poszedł się przebrać. Z rozmysłem zostawiając telefon na stole, wyszedł na zewnątrz, skręcił w stronę jeziora i ruszył przed siebie, narzucając sobie szybkie tempo. Biegł jakieś półtorej godziny, nie rozglądając się na boki, skupiony jedynie na utrzymaniu rytmu i omijaniu przeszkód w terenie. Nie miał pojęcia, ile przebiegł, choć mógł to policzyć, słysząc bicie kwadransów i godzin z wieży ratusza, ale kompletnie go to nie interesowało. Nie wziął nawet opaski: ilość kroków, kilometrów, spalonych kalorii i wartość tętna też były tym razem nieistotne. Gdy dotarł z powrotem pod budynek rewiru, był spocony, złachany i czuł się jak wyżęta szmata. I to mu pomogło.

Przynajmniej trochę. Wysięk spuścił nieco ciśnienia, wściekłości, niezgody i obrzydzenia. Wziął długi prysznic, splukując z siebie pot i kurz, potem przykręcił kurek z ciepłą wodą i stał z twarzą uniesioną ku słuchawce, z której spadał chłodny strumień. Przeworski czuł się, jakby wyszedł na dwór, żeby postać w wieczornym deszczu, który przyszedł niespodziewanie po upalnym dniu.

A wieczorem zaprosił do siebie Natalię. Wszystko było już przyszykowane. Wpuścił ją do mieszkanca i został przy drzwiach, obserwując, jak idzie w kierunku stołu, na którym stała butelka prosecco, nowozelandzkie cabernet sauvignon, kieliszki i sushi, które przygotowywał pół nocy. Z przyjemnością patrzył na jej figurę. Zatrzymała się niezdecydowanie i obejrzała na niego zdziwiona, a on wciąż stał przy drzwiach z rękami założonymi na piersi i uśmiechał się do niej.

– Co to za okazja? – zapytała, odwracając się i marszcząc podejrzliwie brwi. – Zapomniałam o twoich urodzinach? Nie, ty jesteś przecież ze stycznia?

– Od wczoraj nie jestem już żonaty.

Zamrugła, jakby nie rozumiała, co do niej mówi. Odwróciła się i powoli podeszła do niego, zarzuciła mu ramiona na szyję i splotła dłonie.

– Powtórz to. – Popatrzyła mu z bliska w oczy. – Chcę to usłyszeć jeszcze raz.

– Jestem wolny.

– Jesteś wreszcie mój...

– Jak wolisz. – Pocałował ją w czubek nosa, wziął na rękę i zaniósł do stołu, śmiejącą się jak dziecko.

Patrząc, jak rozkosznie nie radzi sobie z pałeczkami, zastanawiał się, co jest istotniejsze; czy to, że właśnie zakończył jeden etap swojego życia, czy to, że zaczął następny. A potem doszedł do dwóch wniosków: że jemu też nie chce się pieprzyć



z tymi cholernymi pałeczkami, i że żadne końce i początki tak naprawdę nie mają znaczenia.

Ważne jest życie. I cieszył się, że będzie je teraz wiódł z Natalią, a nie z Kariną.



1946

Siedział na strychu pod ścianą, czując na plecach jej chłód oraz kolbę parabellum zatkniętego za pasek spodni i wpatrywał się w twarz człowieka, którego znał od dziecka. To jedno zdjęcie z kilku ukrytych w notatniku wstrząsnęło nim najbardziej. To, że po Eugenie można spodziewać się wszystkiego, wiedział od zawsze. Nawet tego, na co teraz patrzył. Na jednym ze zdjęć Eugen Kustler był w mundurze oficera SS i to go zdziwiło, bo oficjalnie Eugen występował jako pracownik kancelarii Führera, ale dało się to jakoś zrozumieć, znając tego człowieka osobiście. Ale do tej pory był przekonany, że Erwina też zna, i to o wiele lepiej niż jego brata. Pasja myśliwska Eugena Kustlera była powszechnie znana w Neuwarp. Jego zamiłowanie do psów też. Klatki z nimi, pobudowane nieopodal Villi Waldhof, były stałym elementem krajobrazu, ale nikt by się nie spodziewał, że mógł połączyć tę pasję z czymś takim. A o tym świadczyło drugie zdjęcie, które było w etui. Tyle że nad ciałem więźnia kacetu zagryzionego przez psa nie stał tylko Eugen, lecz i Erwin. Obaj mieli na twarzach radosne uśmiechy. Pozostawało jeszcze pytanie, kto robił zdjęcie, ale to go mniej interesowało. Magda, żona Eugena, też nie była aniołem i czasem Bogu dziękował, że nie dopuścił, by tych dwoje miało dzieci. Ale Erwin miał syna.

I Erwin nie tylko wiedział o tym, co robił Eugen, ale nawet mu w tym pomagał.

Erwin. Poczciwy piekarz, z którym za dzieciaka kradł jabłka w sadzie Hausera, z którym zakładał się, który pierwszy pocałuje

Ingę, córkę lokaja z pałacu von Eckenwortów, z którym wypił hektolitry piwa we wszystkich okolicznych gospodach.

Otarł dwie wielkie łzy, które zebrały mu się pod powiekami, i schował zdjęcie do notesika. Wstał z podłogi i ściskając skórzane etui, zastanawiał się, co zrobić. Schować z powrotem i zapomnieć? Łakisz może w końcu zdradzić miejsce, gdzie ukrył dokumenty i zdjęcia. Oddać Kustlerom? Będą wiedzieli, że zajrzał do środka, zresztą i tak musieli zdawać sobie z tego sprawę, że się nie oprze, a więc albo to akceptowali, albo... Albo ich plan odzyskania papierów miał ciąg dalszy, niekoniecznie dobry dla niego. Po co by go w ogóle wzięli ze sobą? I wtedy pomyślał, że Eugen Kustler, i Erwin też, oni obaj nie widzą nic złego w tym, co zrobili. Jedyne, co Kustlerów bolało, to świadomość, że dowody ich bestialstwa zobaczą niepowołane oczy. Ale jego zabolęło również to, że uznali go za godnego podzielenia się swoją tajemnicą. Tylko dlatego, że był Niemcem? Że kolegował się z Erwinem?

W jednej chwili zdecydował, co dalej. Podwinął skraj wełnianego rybackiego swetra, odsunął pasek spodni i wcisnął za niego etui. Gruby sweter doskonale wszystko maskował. Jeśli Łakisz wyśpiewa, gdzie schował dokumenty, po prostu zaoferuje się, że przyniesie je, najwyżej narażając się na połajankę za pobieżne przeszukanie. A jeśli nie wyśpiewa...

O prawdziwym bogactwie Eugena Kustlera krążyły legendy. Kiedy polskie władze odebrały Kustlerom hotel, nie rozpaczał aż tak bardzo, jakby odebrano mu cały majątek. Był po prostu wściekły, i tyle, każdy na jego miejscu by był. Jednak z jakiegoś powodu nie uciekł od razu z Neuwarp, ryzykując jak wszyscy Niemcy, którzy zostawali. Prawdopodobnie miał coś więcej niż tylko hotel, może ukrył gdzieś coś i teraz tego pilnował, wyczekując okazji, aż będzie mógł to wywieźć. Kustler przebąkiwał o wyjeździe od kilku miesięcy i miał podejrzenia, że to tylko kwestia czasu. I punktem docelowym na pewno nie będzie zona sowiecka. A kiedy już Eugen Kustler ucieknie, z pewnością

sobie poradzi. Będzie bogaty, a on nigdy, i tego akurat był pewien. I być może ten notatnik, małe, skórzane etui, a w zasadzie jego zawartość, był jego szansą na to, by coś z tego uszczknąć.

Mimo wszystko nie chciał dalej klepać biedy, a wyglądało na to, że komuniści na dłużej opanowali ten kraj. Przyszłość w Niemczech była niepewna, zresztą Niemcy już nie istniały, były tylko strefy okupacyjne, a przejście przez granicę do sowieckiego sektora było jak wpadnięcie z deszczu pod rynną. Z tych, którym nie udało się przedostać dalej na Zachód, radzili sobie tylko ci, którzy albo potrafili się z czerwonymi dogadać, albo umieli ich oszukiwać. A on nie chciał ani gadać z komunistami, ani nie potrafił oszukiwać. Dlatego musiał chwycić okazję. Tak jak teraz. To etui, jego zawartość, było jak lina ciągnąca się po wodzie za przepełnioną rozbitkami szalupą ratunkową, w której nie było już miejsca na nikogo innego. Tylko chwycenie tej liny mogło uratować tego, który nie zmieścił się w szalupie. I to właśnie zrobił. Niepostrzeżenie. Wiedział, co mu grozi w razie odkrycia prawdy przez Kustlera, ale postanowił zaryzykować. Musiał tylko wynieść etui na zewnątrz, ukryć gdzieś w krzakach i wrócić po nie, kiedy wszystko ucichnie, może wieczorem.

Problem w tym, że żeby wyjść z domu, trzeba było najpierw przejść przez pomieszczenie, które obecnie było salą tortur.

Zamknął okno, położył deskę parapetową na miejsce i wytarł z wąsów krople wilgoci. Potem zgarnął z podłogi trochę kurzu, wysmarował sobie nim twarz i zwichrzył włosy. Idąc w stronę schodów, zgarnął jeszcze starą pajęczynę i udrapował ją sobie na ramieniu. U szczytu schodów odetchnął głęboko kilka razy i zszedł na dół. Kiedy cicho otworzył drzwi do pokoju, zobaczył plecy Kustlerów. Łakisz wciąż leżał na podłodze zalanej krwią.

– Nie ma – powiedział, stając w progu.

Smród krwi i potu aż go odrzucił. Eugen odwrócił się.

– Na pewno dobrze szukałeś czy Erwin ma pójść sprawdzić? – zapytał.

Spojrzał na Erwina beznamiętnie.

– Szukałem wszędzie, gdzie tylko dało się wcisnąć rękę – odparł z przekonaniem, nie spuszczając z niego wzroku.

Pocziwina Erwin...

– No to pytamy dalej. – Kustler westchnął, jakby naprawdę żałował, że musi to robić, kucnął i poklepał Łakisza po policzku. – Myślałeś, że to koniec, co? Ale jeśli nie chcesz dalej cierpieć, wystarczy, że powiesz. Tylko tyle. I damy ci spokój. Co mówisz? Głośniej! – Kucnął koło ubeka i zbliżył głowę do jego twarzy.

Spomiędzy warg Łakisza, przez szpary po wybitych zębach wypłynęła strużka zmieszanej ze śliną krwi. Próba oplucia kata nie powiodła się.

– Czyli mało. – Kustler wstał, obejrzał się i widząc, jak on zmierza w kierunku drzwi, krzyknął: – A ty gdzie?

Stanął nagle z ręką wyciągniętą w kierunku klamki. Etui cisnęło go w podbrzusze.

– Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza – wystękał.

– Nie bądź babą i siedź tu! Zresztą gdzie chcesz łazić, jeszcze cię kto zobaczy! – Eugen znów pochylił się nad Łakiszem. – Gdzie to masz? – Uderzenie. – Pytam, gdzie to masz. – Uderzenie. – Gdzie? – Uderzenie. – Gdzie?

Kustler przestał zadawać pełne pytania. Jego krótkie, szczekliwe wo? przeplatały głuche odgłosy uderzeń w różne miejsca ciała i tak trwało to kilka minut, aż się zmęczył. Oddychał ciężko przez nos, ręce pokryte miał krwią, a Łakisze rzeził u jego stóp, trzęsąc się jak osika. Jego twarz przypominała krwawą miazgę, nos był zniekształcony, a spod opuchniętych powiek nie widać było oczu.

– Dobra, wkurzyłem się. – Eugen potarł wierzchem dłoni policzek, nieświadomy, że została na nim smuga rozmazanej krwi i popatrzył na niego. – Idź po Prinza.

Wydał to polecenie głosem nieznoszącym sprzeciwu, a on zmartwiał z przerażenia. Widział przecież przed chwilą, co

potrafią psy Kustlera. Nie widział, czy na zdjęciu oglądanym przed chwilą na strychu był akurat Prinz, ulubieniec Eugena, ale nawet nie chciał tego wiedzieć.

– No, na co czekasz, psiakrew! – Zniecierpliwiony Kustler podniósł głos. – Przed chwilą chciałeś oddychać świeżym powietrzem! Nagle ci się odechciało?

– Boję się go... – Ledwo wydusił z siebie te słowa.

– Nic ci nie robi, póki mu nie każę. Tylko złap smycz lewą dłonią, rozumiesz? Lewą. I nie chowaj rąk za siebie, musi je widzieć, bo inaczej będzie myślał, że coś w nich masz i zaatakuje. Zapamiętasz?

– A Erwin nie może iść? – próbował się jeszcze jakoś ratować.

Kustler wyprostował się i spojrzał na niego w sposób, który go przeraził.

– Pójdiesz ty, zrozumiano?

Pastwił się nad nim. Nie było żadnych przeszkód, żeby to Erwin przyprowadził psa, w końcu mieszkali w tym samym domu i musiał go znać, a jednak z jakiegoś powodu Eugen kazał to zrobić jemu. Nie, to nie tak. Nie było jakiegoś powodu. Był tylko potwór upajający się władzą.

– Czy-zapamiętałeś-co-ci-powiedziałem? – zapytał Kustler, rozbijając zdanie na wyrazy, z których każdy zaakcentowany był równie mocno.

– Tak...

– Idź. – Niedbale machnął bronią w kierunku drzwi. – Już.

Poszedł. Otworzył drzwi wejściowe i zimne powietrze uderzyło go w twarz. Nad drzewami niebo miało kolor stygnącej stali, zbliżał się świt i wiedział, że to już długo nie potrwa, ale on stał nieruchomo, zastanawiając się, co dalej.

Ucieczka stąd nie miała sensu. Dokąd miałby uciec? Nie znał języka, no i nie zostawi przecież wszystkiego, nie zostawi Trudi, a pozostanie na miejscu równałoby się wyrokowi śmierci. Do czerwonych nie mógł pójść, Kustlerowie, broniąc się, zrzuciliby na

niego większą część winy i dostałby taki sam wyrok. Kulka w łeb od Eugena czy od Ruskich, co to za różnica? Śmierć we własnym domu czy w lesie za Albrechtsdorfem, tak samo – co to za różnica?

Chryste miłosierny, nie mógł nawet wyciągnąć etui i wyrzucić go gdzieś w krzaki, bo musiałby włożyć przynajmniej jedną dłoń pod sweter, a wyglądało na to, że przywiązana do drzewa smycz zerwałaby się, gdyby ten przeklęty kundel nieco mocniej się szarpnął. Był pewien, że pies dobrze go widzi, choć on ledwo rozróżniał zarys jego sylwetki na tle ciemnego krajobrazu. Wydawało mu się, że widzi jego spiczaste uszy, którymi zwierzę strzygło, łowiąc wszystkie odgłosy z otoczenia. Dopiero teraz wpadł na to, że mógł zostawić notes w miejscu, gdzie go znalazł, albo wyrzucić przez okno w krzaki i wrócić po niego. Ale teraz było już za późno. Był niemal sparaliżowany strachem. Stał niezdecydowany w drzwiach i w ciemności słyszał tylko ziajanie Prinza, który wyczuwał jego obecność. A może pies czuł coś jeszcze. Krew Łakisza, której niewyczuwalny dla ludzi zapach wydostał się na zewnątrz, kiedy uchylił drzwi.

Trzęsąc się, szedł z wyciągniętymi przed siebie rękoma.

– Dobry pies, dobry... – szeptał uspokajająco, bojąc się, że zwierzę wyczuje jego strach i zaatakuje.

Ale Prinz siedział nieruchomo, z bliska widział go lepiej. Trzęsącą się ręką odwiązał psa od drzewa. Zwierzę nie wyglądało, jakby chciało się na niego rzucić, ale kiedy na moment nieuważnie schował rękę za siebie, Prinz warknął ostrzegawczo i ugiął łapy, jakby szykował się do skoku. Pokazał mu dłoń i pies uspokoił się, a kiedy pociągnął lekko smycz, ochoczo ruszył obok jego nogi w stronę drzwi. Weszli do środka.

– Prinz, piesku! – Twarz Eugena wypogodziła się.

Patrząc na to, mógłby przysiąc, że każdy, kto zobaczyłby Kustlera w tej chwili, uznałby go za najmilszego człowieka na świecie.



– Teraz inaczej pogadamy, czerwona świnió – oznajmił Kustler i wypowiedział jakieś niezrozumiałe słowo, na które Prinz zareagował natychmiast, rzucając się Łakiszowi do brzucha.

Kiedy pies zatopił białe jak śnieg kły w skórze, z opuchniętych ust Łakisza wyrwał się krótki krzyk. Ale on nie był w stanie na to patrzeć.

– Będę rzygał... – Poczuł, jak zawartość żołądka puchnie i wlewa się do przełyku.

Pochylił się, oddychając głęboko i przyciskając rękę do brzucha. Prawie zahaczył o etui.

– Gdzie? – Erwin odsunął się od niego z obrzydzeniem. – Idź rzygać na górę! I wracaj tu zaraz, łajzo jedna!

Pobiegł w kierunku schodów, przeskakując po dwa stopnie naraz, ale nie zdążył. Żołądek opróżnił się w połowie schodów. Kiedy skończył, usiadł na nich, dwa stopnie wyżej, i nakrył głowę ramionami, ale skowyt docierał do jego uszu mimo to. I to nie Prinz wydawał te odgłosy. Włożył sobie w uszy palce i mocno docisnął. Teraz było lepiej. Siedział tak, kiwając się w przód i w tył, modląc się i na zmianę przeklinając chwilę, w której poznał Eugena i Erwina. Ocknął się nagle, uświadamiając sobie, że dochodzące z dołu odgłosy ucichły. Ogarnął się jakoś, starł wymiociny z ust i powoli, jak skazaniec idący na ścięcie, wrócił do pokoju. Wchodząc tam, uzmysłowił sobie z przerażeniem, że etui wciąż tkwi za paskiem spodni. Mógł wykorzystać okazję i odłożyć je na miejsce, a potem wrócić... Chciał poprawić sweter, ale bał się, że tym ruchem się zdradzi, a może nawet Kustler coś zauważy. Z trudem powstrzymał ręce przed sięgnięciem do ubrania. Było za późno.

Głupiec z niego, po prostu głupiec... Skończony idiota.

Prinz siedział karnie przy ścianie, patrząc na swojego pana. Łakisz cały pokryty był krwią i nie ruszał się. Podłogę wokół niego znaczyły krwawe ślady pazurów psa, który szczuty przez Kustlera rozmazywał łapami to wszystko, co wypłynęło z Łakisza.

Widok był potworny, niemal tak potworny jak ten ze zdjęcia tkwiącego w skórzanym etui za paskiem jego spodni.

Eugen stał nad swoją ofiarą na szeroko rozstawionych nogach, z rękami opartymi o biodra i kręcił głową, a poczciwina Erwin podpierał ścianę i obojętnie przyglądał się bratu.

– Faktycznie, twardy jest, nic z tego nie będzie. I tak już długo nie pociągnie. – Eugen pochylił się nad Łakiszem, a w jego oczach było obrzydzenie pomieszane z odrobiną podziwu. – Twardy jesteś, bezpieczeniaku, słyszysz? Trzeba ci to uczciwie przyznać...

Łakisz wykrzywił usta. Leżał na wznak, nie miał siły się ruszyć, nic nie widział, ale słyszał, że Kustler jest tuż nad nim. A on patrzył na nich obu; na kata i ofiarę.

– Będziecie się zastanawiać... czy komuś tego nie dałem... – wyszeptał z trudem Łakisz, trzęsąc się jak w febrze – ...i czy... ten ktoś nie zrobi z tego użytku... Może za miesiąc... może za rok... może za dziesięć lat. – Nagle rozchylił opuchnięte powieki na tyle, na ile zdołał, i zobaczyli jego przekrwione oczy: obrócił lekko głowę, odszukał jego spojrzenie i patrzył mu w twarz mętniejącym wzrokiem.

Przez chwilę pomyślał, że może Łakisz domyślił się, że zabrał to z kryjówki, i daje mu to do zrozumienia spojrzeniem. Może nawet sugeruje, co ma z tym dalej robić, choć to przecież było niemożliwe. Ten człowiek był już jedną nogą w zaświatach. Nieprawdopodobne, że wytrzymał tak długo.

Nagle Łakisz przeniósł wzrok na Eugena i jego głos zabrzmiał jakby odrobinę mocniej, a on pomyślał, że to łabędzi śpiew i więcej słów nie będzie. Nie pozwoli na to ani jego stan, ani Kustler.

– Będziesz się trząsał... Przez całe życie... Skurwysynu jeden... – rzeził ubek. – A potem trafisz tam, gdzie ja... Do samego piekła...

Eugen Kustler zebrał ślinę, zmełł ją w ustach i z pogardą wypisaną na twarzy splunął na Łakisza. To było obrzydliwe i pomyślał, że dałby naprawdę wiele, żeby to się już skończyło. Chwilę później okazało się, że życzył sobie tego w złą godzinę.

– Wykończ go – powiedział nagle Eugen, kierując te słowa właśnie do niego.

– Dlaczego ja? – Struchlał.

– Nie możemy do końca ci ufać. My już paru z nich rozwaliliśmy, teraz twoja kolej. Wtedy będziemy mieli pewność, że nie polecisz kapować. Na samego siebie nie doniesiesz.

A więc taki był plan Eugena... Kustler nie musiał go zabijać, żeby mieć gwarancję milczenia.

– Nie... Nie potrafię. – Zmuszał się, żeby nie patrzeć na strzęp człowieka, który leżał u jego stóp.

– A co w tym trudnego?

– Nigdy nikogo...

Eugen Kustler westchnął i wznosił oczy do sufitu, a potem spojrzał na niego jak na dziecko, które nie wiadomo, czy trzeba za coś skarcić, czy najpierw łagodnie wytłumaczyć mu, co zrobiło źle.

– Ten wieprz rżnie twoją żonę, wiesz? Teraz cię przekonałem?

Obaj Kustlerowie patrzyli na niego z rozbawieniem, a on nienawidził ich z całego serca. Stał w milczeniu z opuszczoną bronią, Łakisz charczał cicho u jego stóp, a on doskonale zdawał sobie sprawę, że nawet jeśli jego życia nie zakończy kula, to i tak za wiele mu go nie zostało. W zasadzie strzelając mu w głowę, wyświadczyłyby mu przysługę. To byłby akt miłosierdzia.

Milczał.

Erwin spojrzał na brata szeroko otwartymi oczami.

– On wiedział! – Wskazał go lufą swojej broni. – Rozumiesz to? On wiedział!

– To prawda? – zapytał cicho Eugen. – Wiedziałeś?

– Nie wiedziałem – warknął. – Poza tym to nie wasza sprawa.

– Nasza. Gównu mnie to obchodzi, ale skoro wiedziałeś, to oznacza, że to tolerowałeś. I kto wie, może i ty lubiłeś z nim się zabawić, co? A może w trójkę? Powiedz! Bo to by zmieniało postać rzeczy. Może byłeś z nim w zмовie i to ty masz papiery?

Poczuł, jak notatnik ukryty pod ubraniem pali go żywym ogniem i nagle wyszło mu w ustach. Przestraszył się, że nie tyle wypadnie zza paska spodni i spod swetra, ile zsunie się przez nogawkę. Gdyby miał chociaż buty z cholewami, ale nie, nie zdążył ich nawet wyjąć z szafy, w takim pośpiechu wyciągnęli go z domu obaj bracia.

– Zostawcie mnie w spokoju – syknął, maskując wściekłością strach.

Kustlerowie zobaczyli, jak mięśnie napinają mu się pod grubym swetrem i materiał wybrzusza się lekko na ramionach i karku.

– Zabij go – powiedział krótko Eugen.

Jak w transie sięgnął do tyłu spodni, za pasek, gdzie spoczywał pistolet, który dał mu Eugen.

– Pośpiesz się...

Ręka ściskająca kolbę parabellum drgnęła i uniosła się lekko. Wymierzył.

– No, dalej! Gdzie twoja godność, człowieku? Bądź mężczyzną! Ta polska świnią posuwała ci żonę!

Łakisza już z nimi nie było, widział to zamglonym wzrokiem. Był już po drugiej stronie, choć jego klatka piersiowa wciąż się unosiła i opadała, a z ust wydobywał się charkot. Lufa parabelki celowała już w zakrwawioną głowę Łakisza. Trzęsła się, razem z całym pistoletem, trzymającą go dłonią, ramieniem i resztą ciała oraz duszą, która trzęsła się najbardziej.

Kustler wymierzył nagle swoją broń w jego głowę i kiedy poczuł na swojej skroni chłód metalu, zmartwiał.

– Dawaj, zaraz świt – warknął Eugen. – I mam dość. Jeśli zaraz tego nie zrobisz, ja to zrobię, a ty zginiesz zaraz po nim. Albo nawet przed nim. Trzy, dwa...

Wiedział, że Kustlera na to stać. Wiedział, że stać go na wszystko i że jeśli nie zrobi tego, co kazał, naprawdę zginie. Modlił się gorąco, żeby sweter nie podwinął się ani żeby notatnik nie wypadł nagle zza paska. Żałował tego, co zrobił, żałował, że

uległ podszeptowi diabła, ale już nie mógł cofnąć czasu, a wybór, jaki teraz dostał, nie był prosty. Ale mógł wybrać tylko jedno. Życie. Swoje, dla niej. Bo kochał Trudi ponad wszystko i wybaczał jej wszystko, nawet jeśli zblądziła. Ten Polak ją zafascynował. Na początku, kiedy się zorientował, targał nim gniew, chciał donieść na nich do gestapo, ale to oznaczałoby, że i ona odpowie za zbrodnię zhańbienia rasy. Potem pogodził się z tym jakoś. Widział, że Trudi walczy ze sobą, widział, że go wciąż kocha, a tamten jest czymś w rodzaju cukierka dla dziecka, które nigdy nie jadło słodczy. Liczył, że jej przejdzie, cieszył się, że Łakisz uciekł przed ofensywą sowiecką, przeraził, kiedy wrócił z Ruskimi, ale wciąż miał nadzieję, że jego żona się opamięta. Czy się oszukiwał? Możliwe. Ale wiedział jedno: nie mógł jej stracić, bez względu na to, co zrobiła. To dla niej ukradł papiery. Dla niej ryzykował. I teraz nie miał innego wyjścia.

Ostateczne poddanie się władzy Eugena Kustlera nastąpiło właśnie teraz. Nie w domu dwie czy trzy godziny temu, kiedy natarczywe stukanie w szybę obudziło jego i Trudi. Nie na posterunku, gdzie zginęło czterech ludzi, choć on żadnego osobiście nie zastrzelił. To stało się właśnie teraz. Diabeł wziął go w swoje objęcia i nie zamierzał szybko z nich wypuścić. Poczul, że Bóg go opuścił; że na te kilka strasznych godzin odwrócił wzrok i zajął się czymś innym. A skoro nie mógł na Niego liczyć, musiał liczyć tylko na siebie. Musiał tańczyć, jak mu diabeł zagra.

Karl Remus zamknął oczy i pociągnął za spust.



*Wrzesień 2018*

Przeworski zaparkował tuż przy nabrzeżu, zabrał z siedzenia pasażera to, co przywiózł ze sobą, wysiadł z samochodu i rozejrzał się. Na wąskim kanale oddzielającym tę część Stralsundu od lądu stałego zacumowane były łodzie, ich aluminiowe maszty strzelały w bezchmurne niebo, po którym szybowały mewy i rybitwy, a olinowanie brzęczało cicho. Przeworskiemu przypomniła się jego pierwsza wizyta w Nowym Warpnie.

Zamknął auto i ruszył w kierunku Ozeaneum, zlokalizowanego na niewielkiej wyspie w sąsiedztwie starych, ogromnych ceglanych spichlerzy, które dziś pełniły całkiem inną funkcję. To właśnie w jednym z nich mieściło się biuro „Bootswerft Kustler”, stoczni jachtowej prowadzonej przez Georga Kustlera od ponad ćwierćwiecza.

Przeworski przeszedł przez niewielki most zwodzony prowadzący na wyspę. Wiatr wiejący od strony cieśniny Strelasund i nieodległej Rugii był inny niż w Nowym Warpnie: ostrzejszy i bardziej natarczywy, a na pewno o wiele bardziej chaotyczny. Skręcał nieprzewidywalnie i uderzał zdradziecko z drugiej strony, unosząc luźne fragmenty odzieży i strącając czapki z daszkiem albo letnie kapelusze. Była ta specyficzna pogoda, świadcząca o nadchodzącym końcu lata.

Aspirant dotarł w końcu do celu. Skromne przeszklone drzwi osadzone w prostokątnym otworze wyprutym w grubym, ceglany murze było jak wejście do jaskini wykutej w pionowej, czerwonej skale. Wszedł do budynku i natychmiast otoczył go

półmrok i chłód. Wystrój wnętrza był industrialny, ale ponieważ Przeworski się spieszył, darował sobie podziwianie go i wjechał od razu na górę, dokąd skierowała go tabliczka z napisem „Kustler Bootswerft GmbH” umieszczona obok przycisku z numerem sześć. Kiedy drzwi windy rozsunęły się bezszelestnie, aspirant znalazł się w przestronnym korytarzu. Drzwi do biura, również przeszklone, miał dokładnie przed sobą. A za nimi czekał już Georg Kustler.

Ubrany był w białą koszulę rozpiętą pod szyją, błękitne dżinsy i zamszowe mokasyny. Nie wyglądał na swoje siedemdziesiąt kilka lat, chyba dość szybko pozbierał się po wyjściu z aresztu. Widząc Przeworskiego, zerknął na zegarek i aspirant widział, jak w jego oczach pojawia się uznanie. On nie musiał sprawdzać, która godzina, wiedział, że jest równo jedenasta. Popchnął tafłę szkła i wszedł do środka.

– Lubię punktualnych ludzi. – Twarz Kustlera rozjaśnił nikły uśmiech, ale kiedy zobaczył wzrok Przeworskiego, poprawił się. – No dobrze, lubię punktualność u ludzi. To bardzo dobra cecha. Zapraszam do mojego biura.

Szli przez spory open space, gdzie przy komputerach siedziało kilkanaście osób.

– Projektujemy również jachty, nie tylko je budujemy – wyjaśnił Kustler, a Przeworski skinął tylko głową, nie siląc się nawet na udawanie, że jest tym zainteresowany.

Kiedy znaleźli się w biurze Niemca, przeżył zaskoczenie. Pod oknem, z którego roztaczał się widok na cieśninę i Rugię, siedział na wózku inwalidzkim jakiś człowiek. Przeworski widział go od tyłu: pokrytą rzadkimi siwymi włosami głowę, spiczaste ramiona i zgarbione plecy, wystające ponad oparcie wózka.

– To mój ojciec. – Kustler zamknął cicho drzwi. – Nie będzie nam przeszkadzał. Ma sto dwa lata i jest w swoim świecie. Nie jest chory na alzheimera, to zwykłe starcze otępienie. Organizm czuje, że to koniec. Poza tym jest głuchy jak pień.



Przeworski rozejrzył się po biurze. Było urządzone oszczędnie i w nowoczesnym stylu niepasującym do charakteru budynku. Ściany zdobiły zdjęcia zbudowanych przez stocznię jachtów, na niektórych widać było szeroko uśmiechniętego właściciela pozującego z różnymi osobami, zapewne klientami. Jedni mieli na sobie markowe garnitury, inni burnusy, a jeszcze inni same slipy, ale za wszystkimi były jachty. Aspirantowi przypomniało się inne zdjęcie, na którym też byli ludzie o nazwisku Kustler, i też się uśmiechali. Potem znów przeniósł wzrok na jednego z nich. Na Erwina. Przez rzadkie, siwe włosy szesane w kosmyki prześwitywała bladoróżowa skóra. Erwin Kustler siedział bez ruchu, jego oddech był tak miarowy i spokojny, że nie widać było, żeby się w ogóle poruszał. Kiedy aspirant wrócił spojrzeniem do Georga, zorientował się, że ten wpatruje się w niewielkie skórzane etui, które trzymał w prawej dłoni. Nie w zwykłą, kartonową teczkę na dokumenty, którą miał pod pachą, tylko w etui.

Położył je na biurku. Obok, nieco dalej, odłożył teczkę.

– Tak, to to – powiedział. – Te dokumenty znaleziono w domu Reginy Remus. Ktoś je tam dobrze ukrył.

– Remus. – Kustler pokiwał głową. – Karl Remus. Skłamał, że ich nie znalazł w domu Łakisza...

Przeworski wstrzymał oddech. Wszystko powoli zaczynało wskakiwać na swoje miejsce.

– Rozumiem, że pańska deklaracja co do udzielenia wyjaśnień jest aktualna? – zapytał.

Niemiec, wciąż wpatrzony w etui, machinalnie pokiwał w milczeniu głową.

– Co pan wie? – zapytał w końcu aspiranta.

Przeworski otworzył okładki etui i wyjął dokumenty. Kustler stał bez ruchu, jakby bał się ich dotknąć.

– Wiem wszystko, co wynika z tych papierów. Nie wiem tylko dokładnie, co z tym wszystkim ma wspólnego Łakisza, chociaż ma,

o czym świadczą pańskie słowa sprzed chwili. Był biologicznym ojcem Reginy Remus. I przebywał w Neuwarp w czasie wojny, podejrzewam, że dowiedział się jakoś o eksperymencie, a kiedy tam wrócił, został zabity przez pańskiego stryja.

Kustler podszedł do stołu i z wahaniem wziął do ręki jedno ze zdjęć, a potem dokumenty. Przeworski zobaczył, jak jego wzrok prześlizguje się po tekście, czasem zatrzymuje się na chwilę, potem znowu rusza w prawo. Im dłużej czytał, tym bardziej jego dłoń drżała. Aspirant milczał, pozwalając mu zapoznać się z całością. Nigdzie się nie spieszył, za to zależało mu na zakończeniu tej sprawy. Kiedy Kustler skończył czytać, rzucił dokumenty na stół i wbił wzrok w swojego ojca. I tak trwał nieruchomo dobre półtorej minuty. I tu również Przeworski nie reagował. Kiedy wreszcie Niemiec przeniósł spojrzenie na niego, jego twarz była blada jak ściana.

– To nie do końca tak, jak pan powiedział. Łakisz... – Kustler wymawiał to nazwisko „Łakisz” – ...tuż po powrocie do Nowego Warpna wszedł do domu stryja pod jego nieobecność pod pretekstem dokonania czynności służbowych, przeszukał go i znalazł dokumenty. Zabrał je. Faktycznie musiał wiedzieć, co zaszło w czterdziestym trzecim, pewnie podsłuchiwał coś gdzieś, może znał jakieś szczegóły od Gertrudy Remus, której mąż Karl przyjaźnił się z moim ojcem. Ale nie zrobił tego po to, żeby ujawnić zbrodnię, tylko dla korzyści majątkowej. Chodziło o zwykły szantaż, panie oficerze. O pieniądze. Skontaktował się z nim dzień później i wyznaczył mu tydzień na przemyślenie propozycji. Szóstego dnia stryj z ojcem dali mu odpowiedź. Przy okazji życie straciło kilku komunistycznych policjantów. Takie to były czasy...

Przeworski nie skomentował, choć go korciło.

– Sprawa poszła teoretycznie w zapomnienie, choć stryj nie odzyskał dokumentów. Wyjechaliśmy w czterdziestym ósmym roku. Ojciec zatrudnił się w państwowym przedsiębiorstwie

w Ueckermünde, stryj w tamtejszym szpitalu, ale sprawa tych dokumentów jednak nie dawała mu spokoju, zwłaszcza że nie było go już na miejscu. Coraz bardziej nie ufał Remusowi, uważał, że mógł wtedy znaleźć te papiery i schować. Gryzł się tym coraz bardziej. Rozpamiętywał przebieg zdarzeń w domu Łakisza, liczył, ile czasu Karła mogło nie być, kiedy oni ubeka...

– Torturowali – podsunął usłudźnie Przeworski, widząc, że Kustler ma kłopoty ze znalezieniem właściwego określenia.

– Nie było mnie przy tym, więc nie wiem, jak to określić. Może najlepiej działaniami zmierzającymi do uzyskania informacji o ukryciu tych dokumentów, nie wdając się w szczegóły.

– Wolę prostotę – stwierdził aspirant.

– Dobrze, na pewno był bity, jeśli panu tak zależy. Potem jeszcze podejrzewał, że Łakisza dał papiery na przechowane żonie Karła Remusa, koniec końców jednak stryj stwierdził, że to Remus zabrał papiery i ukrył, żeby we właściwym momencie je wykorzystać.

– Po trzydziestu latach tak stwierdził?

– Eugen Kustler był specyficznym człowiekiem, panie oficerze. Ojciec kiedyś mi wspomniał, że on przestał wierzyć w przetrwanie Trzeciej Rzeszy dopiero wtedy, gdy przed ratuszem w Nowym Warpnie zobaczył sowiecki motocykl. A potem zaczął wierzyć, że powstanie Czwarta. Był potworem, apodyktycznym, nieznoszącym sprzeciwu i zawsze stawiającym na swoim. Zawsze, rozumie pan? Na starość mu się to pogłębiło. Uczepił się tej myśli, że Remus znalazł wtedy papiery, ona go zżerała. No, ale jak się okazało, miał rację. – Wskazał etui. – Kiedy ogłoszono Rajd Przyjaźni, artykuł o tym ukazał się w gazecie, stryj stwierdził, że to dobra okazja, którą trzeba wykorzystać. Zostałem wysłany z misją, wyłącznie po to, żeby poszukać papierów, które mogły skompromitować mojego stryja, a pośrednio ojca. W tamtych czasach nie było łatwo pojechać za granicę, nawet do demoludu, ale to było pół biedy. Gorzej było z pobytem, który należało

udokumentować: u kogo, jak długo, dlaczego i tak dalej. A tu nagle taka okazja... Kiedy podano szczegóły i okazało się, że mieszkańcy Nowego Warpna będą gościć zawodników u siebie, napisałem do Reginy list, że nasi ojcowie się przyjaźnili i chciałbym nawiązać z nią kontakt, spotkać się przy okazji rajdu. To ona zaproponowała, żebym się u niej zatrzymał, ja nawet o tym nie wspomniałem.

– Ale nie znalazł pan dokumentów?

– Nie. – Kustler pokręcił głową. – Nie wiedziałem nawet, co dokładnie w nich jest. Stryj i ojciec byli wściekli, bo sprawa wciąż mogła wyjść na jaw. Stryj był przekonany, że jeśli to, co jest w dokumentach, zostałyby ujawnione, groziłaby mu nawet kara śmierci. Dlatego podjęliśmy później decyzję o ucieczce do NRF, dodatkową motywacją był fakt, że gdyby nawet jakimś cudem ktoś ujawnił sprawę, to maksymalną karą tam było dożywocie, a nie strycek. Udało nam się, choć stryj kilka lat później został postawiony w stan oskarżenia na skutek ustaleń historyków badających sprawę Sobiboru. Dostał tylko sześć lat, w zasadzie wyglądało to tak, że zniknął na jakiś czas, bo proces nie odbił się jakimś szerokim echem w Niemczech. A najbliższa rodzina i tak nie wierzyła, że to faktycznie on był szefem służb wartowniczych w obozie koncentracyjnym. Osiedliliśmy się w Hamburgu, tam żyliśmy do połowy lat dziewięćdziesiątych, ja pracowałem w prywatnej stoczni, w zasadzie nią zarządzałem. Właściciel, który traktował mnie jak syna, oddał mi przed śmiercią udziały, a kiedy zmarł bezpotomnie, sprzedałem ją i przenieśliśmy się do Stralsundu, gdzie otworzyłem własną.

– To nie stryj dał panu kapitał na jej założenie? Był podobno współzałożycielem stoczni?

– Stryj nie dał żadnego kapitału, bo tak naprawdę niczego się w życiu nie dorobił. Żył starymi czasami, w których coś znaczył. Pomagał mi, ale nie finansowo, a ponieważ życzył sobie, żeby figurować w aktach spółki, to życzenie zostało spełnione. To też

o czymś świadczy, prawda? – Kustler spojrzał znacząco na Przeworskiego. – Zmarł siedem lat temu w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat. Do końca życia zachował pełnię władz umysłowych. W swoich ostatnich chwilach pouczał jeszcze lekarzy, co robią źle...

Przeworski pomyślał sarkastycznie, że to piękna rodzinna historia. Ale znów nie pozwolił sobie na komentarz. Co tu było komentować?

– Odpowie mi pan na jedno pytanie? – zapytał.

– Na jakie?

– Ma pan coś wspólnego ze śmiercią Karła Remusa? Zmarł, kiedy pan tam był.

Kustler wyprostował się.

– Odpowiem panu – odparł. – Zabójstwo i tak uległoby przedawnieniu, ale tak się składa, że nie mam z tym nic wspólnego. Nie przyłożyłem ręki do jego śmierci. Zmarł po prostu na zawał, kiedy rozmawialiśmy przy stole. I skoro nie mogłem go już o nic zapytać, musiałem poszukać papierów sam. Ale i tak ich nie znalazłem...

Przeworski patrzył w milczeniu w okno.

– Rozmawialiście i on tak nagle dostał zawału? – zapytał.

– Z pewnego powodu on również podchodził do tej sprawy bardzo emocjonalnie. Skrajnie emocjonalnie, panie oficerze. Wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem. Winiłem się nawet trochę za to, co mu się przytrafiło, ale zrozumiałem, że to nie przeze mnie, kiedy stryj powiedział mi w końcu prawdę.

– Jaki to był powód?

– To on był tym trzecim, który dokonał napaści na posterunek z moim stryjem i ojcem.

– Zorientowałem się.

– Ale nie wie pan, że to nie mój stryj zastrzelił Łakisza, tylko on. Osobiście. I to nie tak, że stryj go zmusił. On mu to zaproponował, a Remus skorzystał.

– Zwykły szkutnik, który nie miał nigdy broni w ręku, nagle zabija człowieka?

– Stryj go przekonał.

– Jak? Poszczuł psem? – Przeworski nie mógł się powstrzymać.

Kustler nie zareagował na zaczepkę.

– Łakisz miał romans z jego żoną. Matka Reginy przychodziła do pałacu w Karsznie sprzątać, tam się poznali i wtedy się to zaczęło, jeszcze w czasie wojny. Ale stryj i ojciec dowiedzieli się o tym już potem, kiedy Łakisz wrócił jako bezpieczniak i ponownie wszedł w relację z Gertrudą Remus. I tylko Remus nie miał o tym pojęcia, ale tak to zwykle bywa, że najbardziej zainteresowany dowiaduje się ostatni. I oni mu to powiedzieli. Bardzo kochał żonę. A Łakisz mu ją zbrukał. I zabił go, dobił. I tak musiał to zrobić, to miało być dla pewności, że nie zgłosi się do władz i nie wsypie ojca i stryja, żeby coś ugrać. W końcu pracował dla Polaków i Rosjan.

Przeworski westchnął. A więc szantaż nie był jedynym powodem powrotu Łakisza do Nowego Warpna, a Regina nie była owocem gwałtu, tylko miłości. Tylko który powód był ważniejszy? Miłość czy chciwość?

– Skąd pan to wszystko wie? – zapytał.

– Od stryja. – Kustler rozłożył szeroko ręce. – To chyba oczywiste.

Przeworski stwierdził, że polemizowałby z tym stwierdzeniem, bo tu nic nie było oczywiste. To też nie, przynajmniej nie dla niego.

– Remus zabił biologicznego ojca dziewczynki, którą wychowywał potem jak własną córkę – powiedział z namysłem.

Przypomniało mu się, jak oglądał zrobione przed posterunkiem zdjęcie po raz pierwszy i zastanawiał się, czy jest na nim ojciec Reginy Remus, nie wiedząc wtedy jeszcze nic o jej pochodzeniu i przeszłości. Okazało się, że nieświadomie trafił.

Kustler zapatrzył się na swojego ojca, a potem wskazał go palcem.

– Kiedy pokazałem jemu i stryjowi zdjęcia z rajdu, obaj stwierdzili z całą stanowczością, że Regina jest jego córką, podobieństwo było zbyt duże jak na przypadek. I Karl Remus musiał później zdać sobie z tego sprawę, ale tamtej nocy nie miał pojęcia, że jego żona jest w ciąży, a tym bardziej że z Łakiszem. Nigdy nie pisał słowa na ten temat. Żył z Gertrudą do jej śmierci w sześćdziesiątym pierwszym. I wychowywał Reginę. Powiedziałem jej to, kiedy byłem u niej te kilka miesięcy temu. Powiedziałem jej, że jej ojcem był polski oficer służby bezpieczeństwa. To nią wstrząsnęło. – Kustler spuścił głowę.

– Po co pan jej to powiedział?

Niemiec milczał dłuższą chwilę.

– Nie wiem – odparł w końcu cicho. – Kiedy w głowie wracam do tej chwili, widzę nas jako dwoje małych dzieci, które stoją naprzeciw siebie i wykrzykują sobie okropne rzeczy, żeby dopiec jedno drugiemu. To się stało w emocjach. Próbowwała mnie szantażować. Powiedziała mi, że ma te papiery i że mnie zniszczy. Moją reputację, mój biznes, moją rodzinę. I próbowała wmówić mi, że jestem ojcem jej dziecka.

– A skąd pan wie, że nim nie jest?

– Wpis w księdze kościelnej nie musi niczego oznaczać, mówiłem już to panu. Odwraca pan kota ogonem.

– Nic podobnego. Był pan w Nowym Warpnie w siedemdziesiątym szóstym, mieszkał pan u niej przez kilka dni. Była wtedy szczęśliwa, wspominają to niektórzy mieszkańcy, tak bardzo zapadło im to w pamięć. Była szczęśliwa, bo była zakochana. Po pana ucieczce już nikt nigdy nie widział jej uśmiechniętej. Podała pana nazwisko jako ojca dziecka do parafialnej księgi ochrzczonych i nie uważamy ani ja, ani pewien ksiądz, który ją doskonale znał, żeby zrobiła to z jakiegokolwiek innego powodu niż taki, że JEST pan ojcem jej dziecka. Za dużo

tego, żeby ten kot dał się tak łatwo odwrócić, Herr Kustler. A poza tym to wciąż można sprawdzić. Nie będę pana pytał, czy w siedemdziesiątym szóstym roku uprawiał pan seks z Reginą Remus, ale zapytam inaczej: czy poddałby się pan testom genetycznym?

Kustler patrzył na aspiranta wzrokiem bez wyrazu.

– Tu są moje dzieci – stwierdził po chwili. – Tu. W Niemczech. A on i tak nie żyje.

– Pamięć o nim jest nieistotna?

– Nawet go nie znałem, jak mam go pamiętać?

– Nie znał pan, bo pan nie chciał. – Przeworski przez chwilę przyglądał się Kustlerowi zimnym wzrokiem. – Nie chciał pan zabrać jej tych dokumentów, kiedy przyznała panu, że je ma?

Niemiec oblizał usta.

– Myślałem o tym – przyznał cicho, tak cicho, że Przeworski prawie nie słyszał, co mówi. – Ale musiałbym jej zrobić krzywdę, a ja... Ja taki nie jestem. Nie jestem taki jak oni...

Zgarbił się i aspirantowi zdawało się, że zaczął płakać, więc doszedł do wniosku, że czas kończyć. Wiedział już chyba wszystko, co chciał.

– Zostawię panu kopie tych dokumentów. Oryginały zostaną przekazane historykom badającym zbrodnie nazistowskie oraz władzom Muzeum i Miejsca Pamięci w Sobiborze – poinformował Kustlera. – Wciąż jeszcze ustalany jest pełen skład załogi obozu.

– To już nie ma znaczenia. – Kustler wyprostował się i machnął ręką, ale ten gest wyglądał, jakby kosztował go mnóstwo wysiłku.

– Dla niektórych ma – odparł aspirant.

– To oczywiste, mam na myśli jego. – Niemiec wskazał ojca. – Dla mnie też już nie ma, przecież dzieci nie odpowiadają za grzechy swoich rodziców.

– To po co pan pojechał do Reginy Remus, kiedy zagroziła szantażem? Skoro to nie ma znaczenia?

Kustler milczał.



– Pan myśli, że wszystko jest czarne i białe? – zapytał w końcu Przeworskiego. – Może źle się wyraziłem, mówiąc, że to dla mnie nie ma już znaczenia... Pan jest młody i pewnie nie wie pan, kto to był Pawka Morozow. Nam, pionierom FDJ, często powtarzano tę historię. To chłopiec żyjący w Związku Radzieckim w latach trzydziestych, mały komunista pomagający w kolektywizacji wsi, który zadenuncjował własnego ojca uczestniczącego w spisku kułaków. I za to zginął z rąk własnego dziadka. Nieważne, czy tak było naprawdę, czy to propaganda, karmiono nas tym w dzieciństwie i tę historię mam wciąż w głowie, do dziś. – Kustler popatrzył na Przeworskiego z jakimś wyrzutem. – Miałem donieść na własną rodzinę? Dziś to już nikogo nie obchodzi. Wokół wybuchają coraz to nowe konflikty zbrojne. Tak, mój stryj był zbrodniarzem wojennym, przyznaję. Mój ojciec... – zerknął w stronę okna na nieruchomą postać na wózku – wiedział o wszystkim i pomagał w tresurze psów. Też jest zbrodniarzem. Jest winny śmierci tych więźniów przywiezionych do testowania psów. Kiedyś to miało znaczenie. Prawda była niebezpieczna i niewygodna. Groźna. Dla nich, dla mnie też. To dlatego pojechałem do Neuwarp odzyskać te dokumenty, choć nie wiedziałem do końca, czego dotyczą. Nie jestem dumny z tego, co zrobiłem Reginie. Bóg mnie z tego rozliczy i wiem to, wiem też, że cokolwiek bym robił dla dobra innych, to akurat tego mi nie daruje. Ale wiem to teraz. Dziś. A w areszcie... – odwrócił się i spojrzał na Przeworskiego z błyskiem w oku – doznałem prawdziwego oświecenia. Zrozumiałem, jaką krzywdę wyrządziłem tej kobiecie, która niczemu nie była winna. Wtedy, czterdzieści parę lat temu, naprawdę się w niej zakochałem. Byliśmy tacy sami. Interesowaliśmy się tymi samymi rzeczami, w taki sam sposób patrzyliśmy na świat. To nas połączyło, ale nie mogłem... Nie mogłem z nią być. A jeśli zastanawia się pan, dlaczego wolałem siedzieć w areszcie, zamiast powiedzieć

wszystko i próbować się ratować, to odpowiedź jest prosta: ze wstydu. Palącego wstydu.

Przeworski milczał. Nie wiedział, na ile to, co powiedział Kustler, jest pozą. I nie chciał już go o to pytać.

– Nie jest łatwo żyć z takim ciężarem, panie oficerze. – Kustler uparcie go tak tytułował, ale Przeworski nie sądził, żeby było to podyktowane względami innymi niż grzeczność. – Oczywiście, wiedziałem od dawna, że mój stryj był w SS, że brał udział w akcji T4. Wiedziałem, że był członkiem załogi obozu w Sobiborze. Wiedziałem, że był despotą i tyranem. Ale to wszystko stryj. Stryj. Ale nie jest łatwo, kiedy dowiadujesz się od zdemenciałego ojca, który zawsze był dla ciebie wzorem do naśladowania, że też uczestniczył w zbrodni. Konkretniej zbrodni, nie w ludobójstwie, któremu winnych było tysiące osób i gdzie ta odpowiedzialność w jakiś sposób się rozmywa, bo nie wiadomo, czy najbardziej winni są ci, którzy wydawali rozkazy, czy ci, którzy je wykonywali. Konkretna zbrodnia, popełniona przez konkretnego człowieka na konkretnych ludziach. Pomagał stryjowi szkolić te psy. Opiekował się nimi, kiedy go nie było, bo wyjeżdżał służbowo, a on był zawsze na miejscu. Może nawet to jego zasługa była większa? A fakt, że było to echo, a nie świadome przyznanie się, sprawia, że czuję się jeszcze gorzej. Nie wyznał mi grzechu, żałując za niego, tylko wybełkotał historię będącą wspomnieniem tłukącym mu się w głowie razem z innymi wspomnieniami, którymi dzielił się ze mną w najmniej spodziewanych momentach. Raz wspominał matkę. Innym razem kochankę. Jeszcze kiedy indziej wycieczkę do Berlina pod koniec lat trzydziestych, gdzie skorzystał z usług męskiej prostytutki. Przechodzisz nad tym do porządku, każdy ma jakieś intymne historie, wiesz, że takie rzeczy się zdarzają. Tobie też się zdarzają i może też kiedyś wyznasz je swoim dzieciom. Ale to są ludzkie słabości. Ale kiedy słyszysz historię polowania na ludzi... Kiedy słuchasz, jak uciekali w las, jak dopadały ich psy, jak odgryzały im palce, jak rzucały się im do

gardeł. Słuchasz, jak zbierali potem trupy po lesie i po ich obrażeniach oceniali, czy psy się dobrze spisały. I wiesz, że te psy szkoliło dwóch najbliższych ci ludzi. Szkoliło je nie do polowań na zwierzynę, tylko właśnie na ludzi, i że byli z tego faktu dumni, jakby to było ogromne osiągnięcie. – Kustler westchnął głęboko. – A potem, kiedy zaczynasz mieć nadzieję, że może mu się coś pomieszało, jakieś fakty z życia brata z własnymi wspomnieniami, dostajesz potwierdzenie, najpierw słowa, w które nie wierzysz, a potem masz to czarno na białym. Zdjęcie. Dokumenty. Wiązesz ze sobą fakty. Bo skoro stryja tak często nie było, ktoś musiał zajmować się psami. Ktoś musiał je trenować w tym określonym celu. On.

Przeworski milczał, myśląc o swoim ojcu; fantastycznym człowieku, który był mu bliski jak cholera. Czy on też miał jakieś tajemnice? Czy dowie się kiedyś o nich w podobnych okolicznościach, kiedy tata będzie bardzo stary?

– Dziś ojciec już nic nie mówi ani nie myśli, ale wciąż tu jest – kontynuował Kustler. – Jego fizyczna obecność też mnie boli. Chciałbym, żeby już nie żył. Chciałbym, żeby go nie było, żeby Bóg zabrał go do siebie i zdecydował, co z nim zrobić. – Patrzył w stronę starca z obojętnością, której uczy tylko czas. – Nikt o tym nie wie, nikt z mojej rodziny, prócz tych znanych ogólnie faktów, do których się nie wraca: że stryj był w więzieniu, bo naprawdę uważam, że dzieci nie powinny cierpieć za grzechy swoich ojców. Ale wiem też, że gdybym wiedział to wszystko wcześniej, nigdy nie zdecydowałbym się na potomstwo. Mam dwie córki i syna. Mieszkają w Hamburgu, tam dokąd wyjechałem w młodości. Miałem jeszcze jednego syna, w Neuwarp. I od chwili, w której dowiedziałem się od stryja o mrocznej przeszłości braci Kustler, żałowałem, że mam dzieci. Patrzyłem na te maluchy i żałowałem, że dałem im życie. A od kilku lat, odkąd usłyszałem od ojca historię o polowaniu, żałuję tego jeszcze bardziej. Mimo że to wspaniali ludzie, kochający mnie i swoje dzieci, od zawsze

towarzyszył mi ten żal i strach. Bo nie wiem, czy nie mają w sobie „tego”, rozumie pan? Pierwiastka czy genu zła, jakkolwiek to nazwać. Są już dojrzałymi ludźmi i ryzyko jest znikome, ale ja wciąż się nad tym zastanawiam, wie pan? Oraz nad tym, czy nie mają tego moje wnuki. I tego się być może nie dowiem. Chyba że będę żył tak długo jak on... – Ręka uniosła się i wyciągnęła w stronę okna jak nieme oskarżenie. – To dlatego tak nie chciałem nigdy wierzyć, że Remigiusz jest moim synem, mimo że wszystko na to wskazywało... Bo to był kolejny ciężar, rozumie pan? Kiedy Regina zasugerowała mi, co zawierają dokumenty, uderzyło to we mnie jeszcze mocniej. Jak taran. Od dziesięcioleci jestem rozdarty między wpojona za młodu lojalnością wobec rodziny a zwyczajną przyzwoitością. I może to zabrzmie dramatycznie, ale jestem także rozdarty między dobrem a złem. Bo taka jest prawda. Bycie Niemcem nie było kiedyś łatwe... A przez te papiery... – wskazał znów na etui – aż do dziś giną ludzie. Giną z powodu kilkunastu papierów, ukradzionych siedemdziesiąt lat temu.

– Ludzie nie giną przez papiery, Herr Kustler – powiedział dobitnie Przeworski, zmuszając się do zachowania spokoju. – Giną przez innych ludzi. To, że ktoś je ukradł, niczego nie zmienia, to nie kradzież była początkiem. Początkiem były zdarzenia, które tam opisano. A tak naprawdę początek był jeszcze wcześniej.

Zapragnął nagle wyjść. Wyjść na świeże powietrze, na słońce, opuścić te mury, zostawić ludzi i zdarzenia za sobą. Miał dość. Zebrał dokumenty do etui, wstał i ruszył w kierunku drzwi, nie zamierzając się z niczego tłumaczyć. Teczka z kopiami została na stole.

– Do widzenia – rzucił przez ramię.

– Panie oficerze!

Ostry głos Niemca zatrzymał Przeworskiego w pół kroku. Aspirant odwrócił się od drzwi i spojrzał na niego, nie puszczając klamki.

– Byłem kiedyś innym człowiekiem i mogę to składać na karb wychowania przez ludzi o określonych poglądach – powiedział Kustler, znów zerkając w stronę ojca. – Mój pobyt w areszcie traktuję jak zapłatę za to. Ale zmieniłem się, choć nadal zamierzam płacić, zapewne już do końca życia. Zaprosiłem pana do siebie nie tylko po to, żeby opowiedzieć to wszystko. Może pan liczyć na moją pełną współpracę, jeśli chodzi o ustalanie faktów dotyczących działalności mojego stryja. I ojca. To samo dotyczy napaści na posterunek komunistycznej policji i na Łakisza. Udzielę wszelkich informacji, jakimi dysponuję. Mówię również o tych dokumentach. – Wskazał leżącą na stole teczkę z kopiami, ale nie dotknął jej. – Proszę to przekazać ludziom zajmującym się sprawą. Jestem do ich dyspozycji.

Aspirant puścił klamkę.

– To będzie szok dla pana rodziny.

– Liczę się z tym. – Kustler patrzył na niego twardo. – Ale przynajmniej powiem im to świadomie. Przygotuję ich na to. Dam czas. Choć nie wybór, bo wyboru dokonałem ja.

Przeworski pokiwał w zamyśleniu głową i wyszedł. Nie skorzystał z windy, wybrał schody. Schodził powoli, pokonując stopień za stopniem, a chłód bijący z muru owiewał jego rozpaloną emocjami głowę. Wyszedł na zalaną słońcem uliczkę, skręcił w stronę cieśniny i wyszedł na nabrzeże, kryjąc się w cieniu budynków. Wiatr zelżał i już tylko lekka bryza muskała jego włosy. Aspirant stanął obok gmachu Ozeaneum; biała, zakrzywiona płaszczyzna elewacji zwisała nad nim jak ostrze gigantycznej gilotyny. Stał w bezruchu i obserwował przez długą chwilę cieśninę, most prowadzący na Rugię, jego niebosiężne pylony i wstęgę przęsła zawieszoną wysoko nad wodą. Czuł, że jest wyjałowiony z myśli. Jakichkolwiek.

A potem poczuł, jak nagle napływają i zaczynają kotłować się w jego głowie. Regina Remus przeżyła w dzieciństwie piekło tylko z tego powodu, że była Niemką. Czy kiedy okazało się, że nie jest

nią, bo jej ojciec był Polakiem, odczuła to jako jeszcze większą niesprawiedliwość? Czy była wściekła? A jeśli tak, na co mogło wskazywać to, co zrobiła ze zdjęciem, to czy dlatego, że cierpiała niezasłużenie, czy też uważała się za zhańbioną polską krwią płynącą w jej żyłach? Czy może jednak kwestia krwi nie miała znaczenia, a chodziło wyłącznie o to, że jej ojciec był szantażystą i za pieniądze zgodził się ukryć przerażającą zbrodnię? Tu aspirant niczego nie mógł być pewien. Za to jedno wiedział niemal na pewno. Był przekonany, że wewnętrzna walka między usunięciem przypadkowej ciąży a zgodą na przypięcie sobie łątki matki nieślubnego dziecka musiała ją, głęboko wierzącą kobietę, kosztować mnóstwo sił i emocji. Podjęcie takiej decyzji musiało boleć, koszmarnie boleć. Wymagało siły, pokory i miłości, której ta kobieta nigdy nikomu nie okazała, z jednym wyjątkiem. Okazała ją człowiekowi, któremu zaufała i który ją zdradził. I to ją naznaczyło na całe życie.

Nagle, kierowany jakimś impulsem, Przeworski sięgnął do kieszeni po telefon i wybrał z kontaktów numer Natalii.

– Hej, co robisz dziś wieczorem? – zapytał, kiedy odebrała.

– A gdzie jesteś?

– Jeszcze w Stralsundzie, właśnie wyjeżdżam.

– A co proponujesz?

– Chciałem cię gdzieś porwać.

– Dokąd? – W jej głosie były zaskoczenie i radość.

– Dokądkolwiek. – Przeworski obejrzał się na budynek spichlerza; wielki, rudy kłoc oświetlony słońcem, odcinający się ostrymi krawędziami od jednolitego tła błękitu nieba: gdzieś za jednym z jego okien siedział wiekowy człowiek i wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w to samo miejsce, co przed chwilą aspirant. – Najlepiej gdzieś daleko. Jak najdalej stąd.

– To po prostu stamtąd wyjeżdż! – Roześmiała się, a on zobaczył oczami wyobraźni, jak wzrusza ramionami.

– To nie takie proste, wiesz?

– Gadanie. – Znów się roześmiała. – Wsiadaj do auta i wracaj do domu.

Zapatrzył się w bruk pod nogami. Wiedział już, że czasem nie da się wyjechać z pewnych miejsc, bo one zostają w człowieku. Razem z ludźmi, którzy w tych miejscach żyją, i zdarzeniami, które są z nimi nierozzerwalnie związane.

– Wracam – odpowiedział cicho Natalii. – Wracam do ciebie.

Szczecin/Pilchowo, 23.04.2022 – 04.07.2022





## OD AUTORA

Trochę podziękowań i kilka słów wyjaśnień. Najpierw to pierwsze:

Zenek Owczarek – nowowarpieński regionalista, były komendant posterunku policji w Nowym Warpnie. Cóż, bez Ciebie nie byłoby ani tej historii, ani wcześniejszej Skruchy. A jeśli by nawet były, to z pewnością uboższe. Tacy ludzie jak Ty to szczęście dla miejsc, w których żyją. Dzięki nim trwa pamięć o zdarzeniach, miejscach i ludziach. Dzięki Tobie Nowe Warpno mocno trzyma się korzeniami w przeszłości, bo wymazanie przeszłości to utrata korzeni i w konsekwencji śmierć. Przecież miasto to nie tylko budynki i ulice. Podziwiam ludzi prezentujących historyczną mądrość pozbawioną niepotrzebnych emocji mogących zaburzyć zdrowy osąd. Jesteś jednym z nich.

Komisarz Marek Łuczak, historyk sztuki i funkcjonariusz KWP w Szczecinie, istnieje naprawdę, jest bardzo znaną w Szczecinie osobą, przede wszystkim z powodu swojego dorobku pozazawodowego: cieszących się dużym powodzeniem książek opisujących historię poszczególnych dzielnic Szczecina oraz misji przywracania pamięci o dawnych mieszkańcach tego miasta i jego okolic; porządkowanie przez niego dawnych cmentarzy to fakt. On i współpracująca z nim ekipa z Denkmal Pomorze wraz z ochotnikami byli również w Nowym Warpnie, na zapomnianym żydowskim cmentarzu. To człowiek z pasją nie tylko historyczną, tworzy również muzykę (jako Outsider). A poza tym jest po prostu fantastycznym gościem. Marek, dzięki, że się zgodziłeś na mały występ w mojej opowieści!

Leszek Koźmiński również istnieje naprawdę i pełni opisaną w tej historii funkcję w szkole policji w Pile. Jest biegłym

z zakresu kryminalistycznych badań dokumentów, a także ojcem festiwalu Kryminalna Piła. Leszku, dziękuję. Za konsultacje i za zgodę na wykorzystanie Cię w książce.

Na kartach tej powieści zgodził się wystąpić również dr hab. n. med. Andrzej Ossowski, szef Zakładu Genetyki Sądowej w Katedrze Medycyny Sądowej PUM w Szczecinie: dziękuję i za tę zgodę i za bezcenne, choć wstrząsające informacje dotyczące zbiorowych mogił ofiar systemów totalitarnych oraz szczegółów pracy badawczej.

Pani Ani Twarowskiej, bibliotekarce, również dziękuję za użyczenie swojej osoby. Drodzy Czytelnicy, nawet nie wiecie, jaką ona robi tam na miejscu dobrą robotę, i nie mówię tylko o bibliotece.

Ponadto, serdeczne dzięki:

komisarz Agnieszce Paszkowskiej z KMP w Szczecinie – nieustająco za nieocenioną i specjalistyczną pomoc.

Robertowi Barańskiemu za szczegóły współpracy polskich i niemieckich służb policyjnych.

Pani Mirce Śmieszek za garść wspomnień z dzieciństwa, które pozwoliły mi poczuć klimat tamtych lat i tych miejsc.

Pani Marcie Kasprzak z Biura Spadków i Mienia Skarbu Państwa Urzędu Miejskiego w Szczecinie za objaśnienie procedur przejęć nieruchomości po bezpotomnej śmierci ich właścicieli. Nie zdawałem sobie sprawy, jak skomplikowana jest to sprawa; to przecież materiał na całą fabułę...

Pani Joanno, pani Wando (właścicielki baru „Argus” w Nowym Warpnie), kajam się. Ryby to nie tylko łososie i śledzie, co mi Panie udowodniłyście. Niebo w gębie!

A na koniec dziękuję tym, którzy czytali surową wersję Krzywdy, zechcieli przez nią przebrnąć i podzielić się ze mną uwagami i spostrzeżeniami, dzięki którym ta historia nabrała rumieńców: Sylwii Depie, Monice Wilczyńskiej, Iwonie Wiśniewskiej, Kamilowi Antolowi i Tomkowi Rędzi. Dziękuję!

Teraz trochę o Nowym Warpnie, topografii i historii.

Faktem jest, że nie wszystkim Niemcom pozwolono wyjechać w latach tużpowojennych. Potrzebowano na miejscu fachowców, którzy znali Nowe Warpno i okolice, znali infrastrukturę. Potrzebowano ludzi, którzy mogli szkolić osadników, żeby ten żywy organizm, jakim jest miasto, mógł dalej funkcjonować w nowej rzeczywistości. Szkutnik, który musiał zostać w Nowym Warpnie, naprawdę nazywał się Ferdinand Jung, do emerytury uczył zawodu Polaków. Jego córka mieszkała w Nowym Warpnie i była rzecznikiem pojednania między Polakami i Niemcami. Losy rodziny Remus nie mają nic wspólnego z rodziną Jungów. Imię i nazwisko Karl Remus „pożyczyłem” z będącej w moim posiadaniu emaliowanej tabliczki reklamującej usługi przedwojennego szczecińskiego montera instalacji c.o. Mam ją ciągle przed oczami, wisi na ścianie na moim stanowisku pracy i pożyczyłem je już do Skruchy, kiedy jeszcze nie wiedziałem, że matka Remigiusza Remusa będzie Niemką. Że będzie myśleć, że nią jest. Wszystko dzieje się po coś...

Prawdą niestety jest również to, że w tych niepewnych powojennych latach, które niepostrzeżenie zmieniły się w trwający dekady sposób myślenia, wszystko, co zastano na tak zwanych Ziemiach Odzyskanych, traktowano po macoszemu. Nie było pewności, że Polacy tam zostaną, za to istniała obawa, że sytuacja znów się zmieni, więc nie ma sensu inwestować w cokolwiek. Kilkunastotysięczne przed wojną miasteczko zasiedlało w pierwszych latach po jej zakończeniu tylko kilkaset osób. Nieużywane budynki niszczały i rozpadały się, a ludzkie ręce kończyły dzieło. Na przedwojennych zdjęciach (zwłaszcza tych z lotu ptaka) widać zwarte kwartały i regularną siatkę ulic, ciągle pierzeje, przemyślaną urbanistykę. Dziś, mimo wciąż niezaprzeczalnego uroku, to już całkiem inne miasto. Szkoda.

Budynek dawnej elektrowni, po wojnie zmieniony w budynek mieszkalny, w którym Karl Remus zastrzelił Łakisza, istnieje do

dziś, choć jest lekko uszkodzony. Po wojnie nazywany był „agronómką”. Od dawnego posterunku MO dzieli go niewielka odległość.

Hotel Kustlerów naprawdę nazywał się Otto Vahl's Hotel. Obecnie nie istnieje, zachował się za to sąsiedni budynek, w którym przed wojną była piekarnia. Oba znajdowały się między ratuszem a kościołem.

W Villi Waldhof w rzeczywistości mieszkał SS-Untersturmführer Richard Hannemann. Został zastrzelony przez Polaków w niejasnych okolicznościach w lesie nieopodal Nowego Warpna. Z zachowanych dokumentów wynika, że miał również stopień policyjny (Polizeirat), co może świadczyć o tym, że był funkcjonariuszem gestapo. To Zenek podsunął mi pomysł, gdzie mogliby mieszkać Kustlerowie. Pasuje idealnie, czyż nie?

Niejasne są również historie o klatkach odkrytych w Nowym Warpnie po wojnie. Jedna z teorii głosi, że trzymano tam psy tresowane na potrzeby służb wartowniczych w obozach koncentracyjnych, choć nie da się obecnie stwierdzić, czy to prawda. Postanowiłem wykorzystać to w swojej historii, choć eksperymenty Eugena Kustlera są wyłącznie wytworem mojej wyobraźni. Gdyby ktoś zarzucał mi, że to zbyt chore, niech poczyta literaturę faktu dotyczącą „dorobku naukowego” nazistowskich lekarzy. To wprost niewyobrażalne, czego dopuszczali się ci zbrodniarze w białych kitlach.

Obóz w Sobiborze funkcjonował półtora roku, w ciągu tego czasu zgładzono tam sto osiemdziesiąt tysięcy polskich i europejskich Żydów. Zlikwidowano go po buncie i ucieczce więźniów. Załogę obozu w większości stanowili funkcjonariusze kancelarii Führera uczestniczący wcześniej w systemowej eksterminacji osób chorych psychicznie (Aktion T4). Wciąż trwa proces identyfikacji zbrodniarzy, odpowiedzialność ponieśli tylko nieliczni.

I na koniec: uważam, że nie ma złych psów. Poza nielicznymi wyjątkami, gdy choroba zwierzęcia skutkuje agresją, psy są

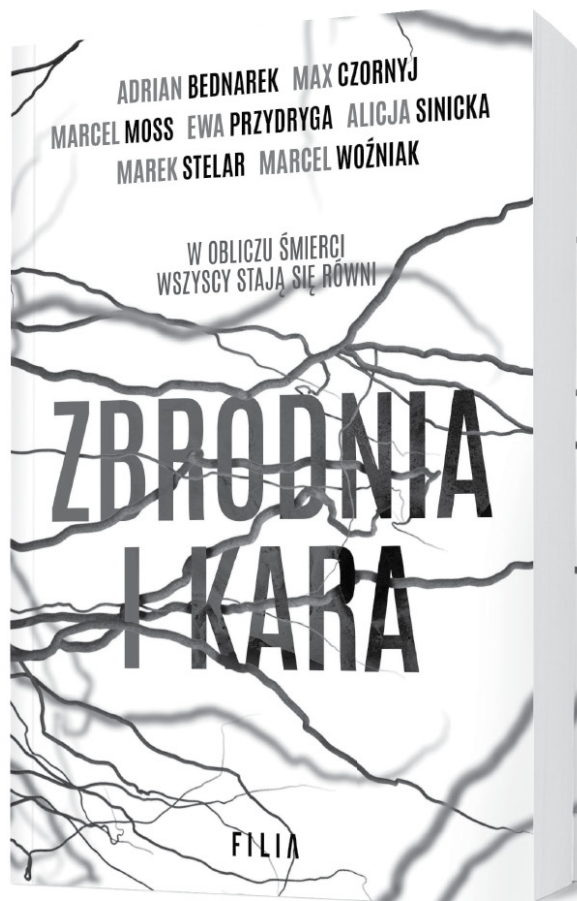
cudownymi zwierzętami. Wszystko rozbija się o wychowanie: bo to ludzie potrafią zrobić z psów bestie, nigdy na odwrót.

Fragment wiersza Heinricha Heinego Lorelei w przekładzie Aleksandra Kraushara.

Stelar



**W OBLICZU ŚMIERCI WSZYSCY STAJĄ SIĘ RÓWNI.**



**SIEDMIORO AUTORÓW BESTSELLEROWYCH KRYMINAŁÓW MIERZY SIĘ Z TEMATEM JEDNEJ Z NAJSŁYNNIEJSZYCH POWIEŚCI FIODORA DOSTOJEWSKIEGO, „ZBRODNI I KARY”.**

**FILIA**









*Ależ Stelar robi tu robotę!  
Świetny, nieoczywisty i mroczny kryminał. Brać i czytać!*

**WOJCIECH CHMIELARZ**



*Wyrazisty i trzymający w napięciu.  
Kryminał Stelara to klasa sama w sobie!*

**ROBERT MAŁECKI**

**FILIA** MRO CZNA  
STRONA

Copyright © by Marek Stelar, 2022  
Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2022

Projekt okładki: © Mariusz Banachowicz  
Zdjęcia na okładce: © Silas Manhood / Trevillion Images

Redakcja: Jacek Ring  
Korekta: Dorota Wojciechowska  
Skład i łamanie: Jacek Antoniuk

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:  
„DARKHART”  
Dariusz Nowacki  
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8280-308-2

**FILIA**

Wydawnictwo Filia  
ul. Kleeberga 2  
61-615 Poznań  
wydawnictwofilia.pl  
kontakt@wydawnictwofilia.pl  
Seria: FILIA Mroczna Strona  
mrocznastrona.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.